



MAGDALENA  
LUDWICZAK

CZTERY  
RUBINY

NOVAE RES

MAGDALENA  
LUDWICZAK



# CZTERY RUBINY



NOVAE RES

niektórzy, czyniąc komuś zło,  
nie wiedzą, że w efekcie prowadzi to do dobra  
M.L.

# Spis rozdziałów

[Teraz](#)

[Ucieczka](#)

[Irena i ja](#)

[Pniewy](#)

[Złoto](#)

[Ja, Adrianna](#)

[Rozwój...](#)

[Współpraca](#)

[Czai się choroba...](#)

[Paryż](#)

[Smutek](#)

[Replika](#)

[Utrata](#)

[Miłość. Miłość](#)

[Spełniamy życzenia](#)

[Zakochana Irena](#)

[Podmiejskie życie](#)

[Pomoc](#)

[Powiązania](#)

## Rozdział 1. | Teraz

Tak, to zdumiewające. Ile czasu minęło? Obracam w dłoniach przedmiot, w którym mogłaby mieścić się historia, tak jak w drzewach, które żyją setki lat. Nieraz stawałam pod nimi. Marzyłam o tym, by mogły mówić, by mogły mi powiedzieć, jaka jest ich przeszłość, co widziały, co czuły. Nie mogę jednak winić drzew o to, że do nas nie przemawiają, tak jest od zawsze... może to kiedyś się zmieni. Może jak w książkach fantasy odezwą się do nas i powiedzą, jak było, jak jest, jak to jest być niemym świadkiem tylu niespisanych wydarzeń. Wydarzeń drobnych, bo jasne jest, że wielkie czyny opisywane są przez świadków historii i naukowców, choć zmieniane co pięćdziesiąt lat w zależności od ustroju i nastroju. Nie tak mało istotne jak miłość pod kasztanem i rodzące się pod nim uczucie. Nie tak ważne jak przejeżdżająca nieopodal dorożka, a lata później samochód o mocy dwustu koni, choć z czworonogiem nie ma to nic wspólnego.

Tak, czas biegnie coraz szybciej i szybciej. Ma się wrażenie, że nie zatrzyma się, a nawet nie zwolni już nigdy. Choć to smutne, nie możemy nic na to poradzić. Możemy jednak zrobić coś, co pozwoli nam wrócić jak w wehikule

czasu i poczuć atmosferę przeszłości.

Cofnąć się do naszej historii, poznać, skąd jesteśmy,  
a zatem – kim jesteśmy.

## Rozdział 2. | Ucieczka

Czuła ciągły strach. Już idą czy jeszcze nie. Zaczęło się ściemniać. Strach towarzyszył im już od prawie pięciu lat. Od czasu gdy stali się członkami wielkiego zniszczenia, obracania wszystkiego w nicość. Jak to mogło się stać, jak to możliwe, że ziemia wydała na świat takiego potwora na czele armii szakali. W momencie gdy wydawało się, że może nadejść kres wojennej udręki, że ktoś ich wszystkich udręczonych oswobodzi, nadeszło najgorsze. Wieści rozchodziły się powoli, ale jednak docierały. To, co działo się na Wschodzie, przechodziło wszelkie pojęcie. Krzywd ludzkich nie da się zmierzyć żadną miarą.

Uchyliła zasłonkę, przyciemniła jasność panującą w pomieszczeniu, w którym nie zostało już nic cennego. Zbliźali się. Przygotowane wcześniej wiadro i czarna od brudu szmata, chusta na głowę to niezbędny kamuflaż. Może nie poznają, może się nie zorientują. Znowu przechodzi ją fala strachu. Łomotanie do drzwi. Truchleje. Otwiera. Czterech sowieckich żołnierzy NKWD splądrowało dom w mgnieniu oka. Dom, który już wyzuty był z atmosfery normalności. W kącie płakała czteroletnia Danusia, pierworodna córka Ireny. Dziecko nigdy nie oswoi się

z dramatyzmem sytuacji, jaki dzieje się czasami wokół. Nie mogła nie płakać, nie mogła nie czuć strachu. Może dobrze, że była czterolatką, a nie czternastolatką. Bogu za to zapłać.

Irena, starając się odwrócić uwagę od dziecka, na kolanach z nosem prawie przy podłodze miętosiła brudną szmatę, skalaną błotem przyniesionym pod wojskowymi, ciężkimi buciorami. Modliła się w duchu, choć tej wiary coraz mniej jej zostało, by jej nie kopnął, jak ostatnio. Jest brzemienna. Nie mogło przydarzyć jej się jednocześnie coś tak wspaniałego i zarazem tak strasznego jak ciąża podczas wojny.

„Dam radę, będę jak dotąd udawać kogoś, kim nie jestem. Kogoś, kto tylko wciela się w rolę, ale to się kiedyś musi skończyć” – mówiła Irena w duchu do siebie.

Domyślała się, że polskich intelektualistów, polską inteligencję wywozi się na Sybir. Musiała tego uniknąć, musiała ratować siebie i rodzinę. Musiała mieć zniszczone i spracowane dłonie, takie, jakie ma tylko ciężko pracująca w domu kobieta. Nie było to proste zadanie dla młodej Irenki, która nie zaznała nigdy pracy fizycznej. Nauczona była „zarządzania” domem, a nie wykonywania prac samodzielnie. Wychodziła więc przed dom i w czarnej, smutnej, jakby rozumiejącej wszystko jałowej ziemi brudziła swoje piękne, białe dłonie tak długo, aż brud dostał się pod paznokcie. Odwracała wtedy głowę, roniła łzę, lecz wiedziała, że to konieczność, że to ocalenie. Jak się okaże, było to bardzo słuszne założenie. Liczyła na to, może jednak naiwnie, że Matka Boska uratuje ich ponownie, tak jak



podczas bombardowania w 1941 roku, kiedy to szybko z Kaziczkiem uciekli do własnoręcznie wykopanego schronu, wieszając nad nim święty obrazek. Matka Boska ocaliła ich wtedy. Wiedziała to na pewno. Gdy nastał względny spokój, wychylili głowy, lecz wokół nie było już nic. Tylko Matka Boska zawieszona na gałęzi nad ich głowami kiwała się w przód i w tył, jakby chcąc im powiedzieć, że będzie dobrze, a zegar dla nich nadal bije i dla ich niedługo po tym narodzonego dziecka.

Zabolało. Uchroniła brzuch. Upadła, na szczęście niżej niż podłoga, na której i tak już klęczała, się nie dało. Zabrali ostatni kawałek słoniny i odeszli zadowoleni z zasianego strachu, podgryzając swoimi zepsutymi zębami łup.

Mąż na szczęście lub nieszczęście był u gospodarzy w pobliskiej wsi, odbierając cielę ostatniej chyba w okolicy krowy. Dzięki poczciwym gospodarzom, w ramach wdzięczności mieli mleko dla małej Danusi. Umęczony wrócił przed północą. Nie musiał pytać, co się wydarzyło. Wystarczyło spojrzeć w ich zastraszone oczy i na jej wielki siniak na udzie. Jego twarz wyraziła podjętą decyzję. Zachód, muszą uciekać na Zachód.

Stało się to celem, który miał uratować im życie. Przygotowania nie trwały długo, nie mieli wiele dobytku. Wszystko, co otrzymała od ukochanej babci, zostało sponiewierane i rozkradzione. Miała jednak coś, co uratuje im życie niejedyn raz. Niewielki pakunek dóbr rodzinnych mieniących się w słońcu, skrywanych skrzętnie przez wszystkie lata udręki. Wiedziała, że tego strzec musi

bezwzględnie.

Ze Lwowa do wielkopolskiej miejscowości mieli około siedemset kilometrów. W dzisiejszych warunkach to około ośmiu, dziewięciu godzin jazdy samochodem, o samolocie nie wspominając. Był jednak marzec 1945 roku, brak sprawnie działającej komunikacji, a właściwie sprawnie działającego czegokolwiek. Decyzja jednakowoż zapadła. Ubrali się bardzo ciepło, Danusia w najcieplejszych trzewiczkach miała przemierzyć swoje pierwsze długie kilometry do lepszego życia. Kazimierz, jak się wkrótce okaże, miał znaleźć swoje miejsce na ziemi. A ona... wrócić po trosze do życia sprzed lat. Spakowana dzień wcześniej podniszczona walizka mieściła w sobie niewielki zapas długoterminowego jedzenia otrzymanego od gospodarzy za pomoc przy skutecznym leczeniu zwierząt. Spakowali również wszelkie dokumenty, obrazek Matki Boskiej oraz jej ulubionego *Pana Tadeusza*. Nie wiedziała dlaczego, ale czytała go zawsze w stanach napięcia związanego ze strachem. A takowy właśnie odczuwała. Z *Panem Tadeuszem* w dłoni wsiadła do furgonu, który miał zawieźć rodzinę do Lublina. Mąż przekupił kierowcę jedną dukatową monetą. Jedynym środkiem płatniczym, który skutkował.

Ranek, a właściwie świt, był bardzo zimny, Danusia trzęsła się jak osika. Matka przycisnęła ją mocno do siebie, choć z racji swojej niewielkiej wagi za dużo ciepła pewnie oddać jej nie mogła.

- Będzie dobrze, córeczko - szepnęła. - Czekają na ciebie niespodzianki, zobaczysz.

- Ależ mam, jesteś pewna? A jakie? - Oczy małej zrobiły się okrągłe i pełne nadziei.

Irena nie mogła tego sprecyzować, bo nie miała pojęcia, co ich tam czeka, ale wiedziała, że musi dać córce motywację do zniesienia trudów podróży.

- Takie mam przeczucie, kochanie - odrzekła zgodnie z prawdą.

Danusia wtuliła się w matkę mocniej i choć niewygodna związana z podróżą na tyłach samochodu była uciążliwa, wszyscy czuli, że musi być dobrze.

Zbliżało się południe, wiosenne słońce było już wysoko, po dwóch kontrolach okupionych spirytusem przez kierowcę (chwała mu za ten spryt) dojeżdżali do Lublina. Nienarodzone dziecko dawało znaki, poruszając się w łonie, jakby oznajmiając, że ma już dość, że chce wygody, a nie ściśniętej przez kilkugodzinne siedzenie powierzchni „mieszkalnej”, którą na razie stanowiła powierzchnia maczyjnego organizmu.

*Litwo! Ojczyzno moja! ty jesteś jak zdrowie;  
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,  
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całej ozdobie  
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie.*

*Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy  
I w Ostrej świecisz Bramie! Ty, co gród zamkowy (...) [\[1\]](#).*

Usnęła...

- Jesteśmy na miejscu! - krzyknął kierowca. - Ruszać się!!

„Ruszać się” - łatwo powiedzieć, po tylu godzinach jazdy w odrętwieniu trudno wyprostować członki. Zwlekli się jednak jakoś. Danusia płakała nie wiedząc, co się wydarzy. Znaleźli się przed dworcem kolejowym w Lublinie. Jego wielkość zaskoczyła ich. Budynek wielce elegancki, wybudowany w 1877 roku, przypominał Wersal w wersji mini ze swą białą fasadą oraz sześcioma wysokimi półokrągłymi oknami. Wybudowany, by łączyć Lublin z Warszawą, która była teraz ich punktem na zaplanowanej trasie. Prawie niezniszczony. Weszli przez jedną z trzech fasad, w środku panował spory ruch. Ludzie, jak oni, chcący przemieszczać się nie wiadomo dokładnie dokąd. Na pewno do lepszego miejsca, tylko gdzie takie istnieje? Każdy próbuje. Każdy ma cel. W holu posilili się tym, co mieli w walizce: lekko czerstwym chlebem oraz kawałkiem wędzonego boczku. Zadziwiające, że nawet czteroletnie dziecko rozumiało powagę sytuacji i nie próbowało grymasić, że niesmaczne, że niesłodkie.

Zakupili bilety trzeciej klasy, która mieściła się na tyłach pociągu, w ostatnich wagonach. Zasiedli na niewygodnych kanapach wyściełanych brudnozieloną tkaniną imitującą welur. Danusia przytuliła się do ojca. Irenka tym razem mogła liczyć na pozycję półleżącą, dzięki czemu jej dzieciątko miało w swojej łupince troszkę wygodniej i przestało kopniakami narzekać.

Podróż trwać miała od siedmiu do ośmiu godzin. To

przedostatni etap podróży, około północy Nadwiślańska Kolej, jadąca około 40 km/h, powinna dowieźć pasażerów do Warszawy. Zbliżał się wieczór. Usłyszeli trzy dzwonki zwiastujące, że pociąg rusza. Gładziła dłonią okładkę książki, jakby gestem dziękując Mickiewiczowi za to, że jej ją dał. Właściwie nie musiała jej czytać, uspokajała ją sama jej obecność. Treść знаła już dawno na pamięć i recytowała ją każdego wieczora Danusi do snu jak najpiękniejszą bajkę. Dlaczego właściwie Adam Mickiewicz? Nie wiedziała. Może dlatego, że to jedyna ocalała z rodzinnego domu książka, tak samo pieszczona w dłoniach przez babkę jak dziś przez nią.

*(...) Nowogródzki ochraniaś z jego wiernym ludem!  
Jak mnie dziecko do zdrowia powróciłaś cudem,  
(Gdy od płaczącej matki pod Twoją opiekę  
Ofiarowany, martwą podniosłem powiekę  
I zaraz mogłem pieszo do Twych świątyń progu  
Iść za wrócone życie podziękować Bogu),  
Tak nas powrócisz cudem na Ojczyzny łono (...)[2].*

Spadła.

- Irenko, nic ci się nie stało? - spytał Kaziczek przerażony. Pociąg tak silnie zahamował, że upadła z siedziska na brudną podłogę pociągu. - Podnieś się, kochanie.

- Moja książka - powiedziała tak, jakby ona była mniej ważna od lektury. - Podnieś, proszę.

Tak, byli na miejscu. Stolica. To, co zobaczyli, nie

napawało optymizmem. Dworzec zniszczony, w niczym nie przypominał tego zdatnego do użytku w Lublinie. Budynki mieszkalne kompletnie zburzone. Tłumy ludzi. I oni. Z walizką w ręku. Ile razy jeszcze będą tak stać i wyglądać jak na widokówce, ze smutnymi, przerażonymi oczami. Dwoje dorosłych, małe dziecko i zaokrąglony brzuszek zwiastujący nowe życie.

---

[1] Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, Warszawa 1984, s. 6.

[2] Tamże, s. 6.

## Rozdział 3. | Irena i ja

Spoglądam na zdjęcie zrobione wiele lat temu. Przedstawia mnie i moją babcię, już wtedy około osiemdziesięcioletnią. Leżymy obie na sypialnianym łóżku w domu mojej mamy Grażyny. To zdjęcie zawsze budzi we mnie dziwnego rodzaju wzruszenie oraz zadumę nad mijającym czasem. Jestem ja – Adrianna – najmłodsza z pokolenia, Grażyna, robiąca fotografię aparatem analogowym, wtedy jeszcze nie mieliśmy pojęcia o fotografii cyfrowej, oraz Irena. Trzy pokolenia na dwudziestu dwóch metrach kwadratowych pokoju.

Leżymy obie na łóżku sypialnianym mojej mamy, złożone ręce trzymamy na podbrzuszu ozdobione ukochaną przez nas obie biżuterią. Zadziwiające jest to, że zdjęcie niepozowane, a efekt zadziwiająco przemyślany. To tak, jakby obok mnie spoczywała „ja” za jakieś sześćdziesiąt lat. Takie lustro przyszłości. Lecz obraz w lustrze zawiera w sobie inny bagaż doświadczeń, inny pogląd na życie. Życie długo przeżyte, a jednak zbyt krótkie.

- Adrianko, czy te częste przejazdy nie męczą cię zbyttnio? – zapytała po chwili, w której wyrwała się z zadumy.

Miała na myśli te dziewięćdziesiąt kilometrów, które przemierzam na początek i koniec każdego weekendu,

zmierzając do domu ze szkoły lub ze szkoły do domu.

Uczęszczam do Liceum Plastycznego w Poznaniu zgodnie z pomysłem mamy, która zawsze miała duszę artystyczną po swoim ojcu, a moim dziadku Kazimierz. To on miał wielkie zamiłowanie do fotografii, a nawet rysunku. Jego pięknie narysowane piórkami postacie Żydów, których ukochał sobie jako temat przewodni swoich małych dzieł, widnieją oprawione w ramach na ścianie naszego rodzinnego domu w liczbie dwóch sztuk. Reszta, niestety, zaginęła, jak wiele innych cennych pamiątek. Nad wielką półką z książkami, przykrytą delikatnie kurzem, wisi również ukochany przez nas, to znaczy przez mamę i mnie, dyplom doktorancki dziadka wydany w formie czterdzieści na sześćdziesiąt z wielką pieczęcią zwisającą u dołu. Takich już się nie robi, takich już nie ma. Przechowujemy go jak relikwię i wiem, że przechodzić będzie ona z rąk do rąk.

Talent plastyczny przejawiała też Danuta, malowała zawzięcie te swoje olejne obrazy, z uporem zapamiętałego artysty. Ojciec, a mój dziadek, nie zgodził się, aby jego pierworodna córka miała taki, jak to określał, nieokreślony zawód i żyła biednie niczym van Gogh. To było w jego rozumieniu niedopuszczalne. Zatem Danuta kontynuowała, chcąc nie chcąc, tradycję rodzinną, studiując medycynę ze specjalizacją stomatologiczną.

„Sztukę – jak mawiał dziadek – uprawiać można, dziecko, po pracy”. No i tak już zostać musiało.

Danuta nie poddawała się jednak i malowała te swoje obrazy nadal, trzy z nich również wiszą u nas na ścianie.



Teraz jako niemal absolwentka szkoły plastycznej muszę przyznać, że, niestety, nie miała za grosz talentu w odróżnieniu od tego, że wspaniale spełniała się zawodowo jako ceniony stomatolog. Decyzja dziadka była poniekąd słuszna.

- Nie jest mi ciężko, babciu - odparłam. - Pozostało już tylko pół semestru do obrony pracy dyplomowej i wrócę do domu.

Pogłaskała mnie po policzku swoją delikatną jak papierek dłonią.

- Widzisz, dziecko, uciekaj do miasta. Nie wracaj tutaj! Tylko duże miasto daje wielkie perspektywy. - Zawyrokowała.

Muszę po latach przyznać jej rację. Dlaczego jest tak, że gdy jesteśmy młodzi, wydaje nam się, że to my mamy rację, a starszym tylko grzecznie przytakujemy? Miejscowość, w której przyszłam na świat, rozrosła się wprawdzie, lecz nie przekracza piętnastu tysięcy mieszkańców. Jest tu kilka szkół, szpital, urząd, a miejscowość ma nawet status miasta powiatowego, ale czy to wystarczy? W mniemaniu mojej mamy również nie, dlatego stało się tak, że uczyłam się pięć lat poza domem, w miejscu zwanym „dużym miastem”. Cóż z tego jednak, skoro przez całe pięć lat czułam się, jak to się dziś określa, niczym „słoik”. Zawsze byłam nietutejsza, choćbym nawet znała całą topografię miasta oraz wszystkie galerie (nie handlowe oczywiście), muzea czy kluby rozrywkowe. Gdzieś, jakby na czole, mamy wypisane, że nie jesteśmy „stąd”. Na czym to jednak polega? Tego nie wiem

do dzisiaj. Może trzeba było cierpliwości, lat, które były do pokonania tak jak kilometry przemierzone przez maratończyków.

Moja babcia Irena była właśnie takim maratończykiem i podziwiam ją za to. Jej życie to taka podróż z wieloma przystankami, a jej celem zawsze było miasto: teatry, muzea, sklepy, komunikacja miejska. Swoboda przemieszczania się z miejsca na miejsce bez angażowania w to innych osób. Wielkomiejski styl i szyk zawsze pasował do babci. Całe życie marzyła, aby – jak to się mówi – lawirować po salonach, ale życie nie było łaskawe, zakłóciła je wojna i spustoszenie, jakie zasiała przede wszystkim w ludzkich umysłach. Nagle skończyły się spotkania, bankiety, na które zabierał młodą i śliczną wtedy Irenkę ojciec – Zdzisław Kajetan Ostrowski, mój pradziadek.

„Panna Ostrowska wygląda dziś wyjątkowo pięknie” – mawiano w towarzystwie.

W swej długiej fiołkowo-niebieskiej drapowanej spódnicy i białej, wysoko pod szyję zapiętej bluzce z maleńkimi perłowymi guziczkami idącymi wzdłuż jej smukłych pleców była olśniewająca. Włosy koloru kasztanowego upięte miała wysoko, ale to, co wzbudzało największy podziw, to brosza, którą nosiła przypiętą pod szyją. Lśniące złoto, owalne, wielkości około siedmiu centymetrów, wysadzone drogocennymi kamieniami, w tym cudnymi czterema rubinami osadzonymi jakby na gałązce z drzewa wiśniowego. Tak, był to przedmiot wielkiego pożądania. O tej miłosnej broszy krążyły już na salonach legendy. Wszyscy wiedzieli,

że podarował ją jej babce Marii generał Emil Jauernig urodzony w Austrii z okazji zaręczyn i tym okazał swoją oryginalność, pomijając tradycję dawania pierścionka z brylantem. Okazał swojej żonie tyle miłości, ile tylko oddać może człowiek człowiekowi. Dziś brosza stanowi jakby miłosny talizman oraz część tych drobnych dóbr, które kiedyś miała otrzymać od swej babki Irena.

Państwo Jauernigowie osiedlili się w pięknym niewielkim Strzyżowie, rodzinnej miejscowości Marii, w domu ze strzelistym dachem, z pięknymi wykuszami oraz drewnianą fasadą. Strzyżów do 1998 roku należał do województwa rzeszowskiego. Był pięknym małym miasteczkiem liczącym około ośmiu tysięcy mieszkańców. Klimat górski sprzyjał mieszkańcom, szczególnie ukochali go sobie właśnie dziadkowie. Zwłaszcza poranki, gdy Maria spoglądała przez okno salonu, z którego widać było zarys gór, a Emil delikatnie całował ją w dłoń na powitanie pełne miłości i szacunku. Irenka była zawsze blisko. Wychowywana w cieplarnianych warunkach przez ukochaną babcię Marię o twarzy tak łagodnej jak u anioła, spokojnej, z kącikami ust zawsze uniesionymi ku górze, jakby zawsze w uśmiechu. Może uśmiechała się, bo była szczęśliwa, że wychowała jeszcze jedną dziewczynkę.

Takiego właśnie pięknego dnia pojawił się Zdzisław Ostrowski i zabrał Irenkę na przyjęcie do państwa Nadorszańskich.

- Dlaczego jednak w jej oczach gości smutek? - pytali goście siebie nawzajem. - Dlaczego nie promienieje

szczęściem?

Na to pytanie odpowiedź znała sama budząca zainteresowanie. Wiedziała, że ten bankiet to może jeden z trzech w roku, na który zabierze ją ojciec, że będzie musiała okazywać dobre maniery, szacunek dla innych, a nawet dla samego ojca. Ojca, który od około trzech lat nie mieszka z matką Zofią. Porzucił ją dla brylowania na salonach, nie w Polsce, a w Paryżu, jak najdalej od nich. Cóż, że ją tam zaprosił, cóż, że jadła żabie udka i owoce morza tak ukochane przez Francuzów. Wiedziała, że stosunki rodzinne to fikcja, że te spotkania to tylko rodzicielski obowiązek, jedyny, do którego się poczuwał – wydania jej dobrze za męża. Co w jego mniemaniu w takim razie znaczyło „dobrze”? Trudno powiedzieć. Chyba tylko status materialny i nazwisko.

Bankiet, na którym nie mogło zabraknąć wspaniałego jedzenia, bażantów ze sterczącymi kolorowymi piórami, ryb we wszystkich możliwych postaciach oraz dzikiego zwierza zabitego podczas szlacheckich polowań, dobiegał końca. Nikt nie mógł zagościć w sercu Ireny, bo... było już tak naprawdę zajęte.

Zdzisław odwiózł córkę do domu dziadków, w którym nie mieszkała już jego żona. Po ciężkim przeżyciu, jakiego dostarczył jej hrabia Ostrowski, Zofia opuściła dom rodzinny, córkę oraz rodziców i wyjechała na północ Polski podleczyć swoje zdrowie w Sopocie. Zapewne liczyła w duszy, że jeszcze spotka miłość swego życia. Jak się później okaże, spotkała, choć trudno to nazwać miłością, powiła syna

i pozostała w Sopocie już do śmierci. Jej wybór nigdy nie został zaakceptowany, jej decyzje uznano za szaleńcze, co spowodowało całkowitą utratę kontaktów z rodziną i izolację z obu stron. Więcej o niej w rodzinie nie rozmawiano, uznano ją za żywą za zmarłą. W ten sposób Irence pozostali już tylko ukochani dziadkowie, pojawiający się od czasu do czasu ojciec oraz miłość jej życia, do której przez następnych czterdzieści lat nie miała odwagi się przyznać.

Sytuacja miała miejsce w dniu, kiedy babcia poprosiła ją o nadanie telegramu. Irena przekroczyła próg stryżowskiej poczty. Był to niewielki budynek z czerwonej cegły, z wielkimi oknami ze złuszczającą się białą farbą. Drzwi z litego drewna były tak ciężkie, że wątpiła dziewczyna z ledwością je otworzyła. W oknach były kraty. Być może w budynku znajdowało się coś cennego... Znajdowało się, choć cenę tego mogła już oszacować sama Irena.

Historię, a właściwie terażniejszość jej smutnego życia znali w Stryżowie właściwie wszyscy, od wyższych sfer po zwykłego, szarego człowieka. Dla jednych stanowiło to powody do smutku, dla innych znakomitą opowieść podczas nudnych wieczorów. Wiedział o tym również Jan Konieczkowski, urzędnik pocztowy, skromny, z poczciwej stryżowskiej rodziny. Czekał na te dwa, trzy razy w roku, kiedy Irena przekraczała tym swoim lekkim, dystyngowanym chodem próg poczty. I zawsze te smutne, wyczekujące oczy, tak pięknie błękitne, włosy spięte drobną spinką w kształcie wstążki wysadzanej kamyczkami.

Podeszła do okienka. Wiedziała, że musi podejść do tego,

w którym siedzi właśnie on. Czuła całą sobą, że to jest istotne, że to jest ważne, żeby właśnie do niego.

- Chciałabym nadać telegram - powiedziała, skromnie spuszczać oczy i jakby tłumacząc się nie wiadomo z czego. Mówiła dalej:

- Pani Jauernig, babka, jest już zbyt słaba, by zrobić to sama. - Tłumaczyła się nie wiedzieć czemu. Czuła, że coś jest między nimi, a być nie powinno.

- Oczywiście, panno Ostrowska, już, natychmiast - odrzekł zachwycony jej urodą, a zarazem skromnością. - Czy mogę mieć do pani prośbę? - zapytał. - Czy byłaby pani tak miła i zaszczyciłaby mnie obecnością na popołudniowym spacerze?

Cały spłonął, nie spodziewał się po sobie takiej odwagi, ale cóż miał do stracenia, jedynie to, co i tak jest niedostępne. Oczywiście mógł też poczekać kolejne kilka miesięcy na nadarzącą się ku temu zaproszeniu okazję.

Jak wielkie było jego zdziwienie, gdy odrzekła:

- Z przyjemnością! O szesnastej pod kościółkiem Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. - I odeszła.

Irena miała ostatnio kłopot w pojmowaniu wiary, a właściwie z wiarą w Anioła Stróża, w jego nad nią opiekę. Próbowwała jednak konsekwentnie wierzyć, że los przychylnie na nią spojrzy.

Kościół stanowił niewielki obiekt, budowany z miejscowych materiałów, czyli z kamienia, z wysoką fasadą zakończoną strzeliście oraz ciężkimi, drewnianymi drzwiami.

„Czy to nie przypadek lub los, że drzwi bywają zawsze takie ciężkie? Może to przygotowanie do życia, do życia, w którym nie jest łatwo przechodzić z pomieszczenia do pomieszczenia?” – pomyślała.

- Witam, panno Ireno! – Usłyszała za sobą ten delikatny, acz bardzo męski, nieco nieśmiały głos. – Dzień dziś wyjątkowo piękny, i to nie tylko z powodu słońca na niebie.

Wyglądał niezwykle szarmancko jak na urzędnika pocztowego. Ubrany w ciemny płaszcz do kolan, z widocznymi przy mankietach śladami zużycia, biała koszula wystawała spod ciemnozielonego swetra, który pięknie współgrał z kolorem jego oczu. Zdecydowanie wyższy od niej, szczupły, o zadziwiająco ładnych i delikatnych dłoniach. Wie to, bo poczuła, gdy ucałował jej dłoń na powitanie i przez ułamek sekundy jej dłoń była otulona jego dłonią, co wzbudziło w niej bardzo przyjemne uczucie, dotąd nieznanne.

- Jest pan niezwykle punktualny. Cenię to bardzo.

W duchu miała nadzieję, że może spóźni się jednak, może nie przyjdzie wcale, może się nie spodoba. Cóż, myliła się pod każdym względem. Pewnie byłoby prościej, gdyby choć jedna z jej wątpliwości okazała się prawdą.

Stali i patrzyli sobie w oczy. Nie trwało to dłużej niż jakieś pół minuty, ale czuli, jakby to była wieczność i na wieczność. Ruszyli powolutku alejką prowadzącą do centrum miasteczka. Nieśmiało wsparła się na jego ramieniu. Właściwie szli i nic nie mówili, lecz ta cisza mówiła wszystko. Spoglądali w tym samym kierunku, spoglądali ukradkiem na siebie i wiedzieli, co czują, co widzą. Cudowne nasycenie

zieleni drzew, słońce schodzące coraz niżej ku zachodowi, mijających przechodniów, którzy z wielkim zadziwieniem obserwowali tę młodą, śliczną parę. Mijając ich, robili grymas ni to smutku, ni to niepokoju. Może oni już czuli, może wiedzieli, że ta miłość nie wróży nic dobrego i nie ma przyszłości?



## Rozdział 4. | Pniewy

- Dotarliśmy na miejsce, Kaziczku. Niech to będzie nasze miejsce na ziemi - rzekła ze łzami. - Oparła się o parapet okna wychodzącego na wielki sad. - Tak, jesteśmy na miejscu.

Czuła wielkie zmęczenie po czteroetapowej, ciężkiej podróży i siedmiuset pokonanych kilometrach bez odpoczynku, bez specjalnego jedzenia, spodziewając się kolejnego dziecka. Dom stanowił jeden z większych budynków w miejscowości. Kazimierz znalazł go i odkupił od pułkownika Jastrzębieckiego, który z kolei postanowił wrócić w rodzinne strony na południe Polski.

Wiedział, że teraz, tu, na Zachodzie, będą żyć lepiej, tak jak na to zasługuje Irenka, zwłaszcza że wojna dobiegała końca. Operatywność i zaradność męża zadziwiały Irenę bardzo często. Ot, na przykład wyszedł z domu w celu rozpoznania terenu, a wrócił pięknym czarnym samochodem marki IFA F8. Nikt w okolicy nie miał samochodu. Wiedział, że auto zapewni komfort przemieszczania się z miejsca na miejsce. Kazimierz był przekonany, że sprawi tym rodzinie przyjemność, ale przede wszystkim wiedział, że potrzebuje samochodu do pracy. W okolicy było bardzo dużo wsi, on

jako jedyny weterynarz w promieniu sześćdziesięciu kilometrów miał pełne ręce roboty. Zapewni Irence byt, na jaki zasługiwała, byt, jaki jej obiecał w niepisanej oraz nawet niemówionej cichej umowie podczas dnia zaręczyn oraz przypieczętowanej w dniu ślubu. Cały ceremoniał związany z tymi wydarzeniami odbył się bardzo szybko.

- Irenko, przedstawiam ci Kazimierza. To młody doktor weterynarii pochodzący ze Lwowa, czasowo oddelegowany na prowincję stryżowską na praktykę - rzekła wtedy babcia z uśmiechem i w nadziei, że Ireny uśmiech będzie równie ciepły.

Miała dwadzieścia lat, babcia czuła, że najwyższy czas, by wyszła za mąż za kogoś dla niej odpowiedniego. Odpowiedniego, czyli z wykształconej rodziny lub z tak zwanym odpowiednim nazwiskiem. Tak właśnie postrzegala to babcia i choć domyślała się, że jej serce jest już zajęte, to postanowiła jednak zadziałać w tej materii. Miała świadomość, że młoda Irenka nie zaznała miłości poza babcią, lecz bała się wydać ją za mąż z miłości, ale w niedostatku. Czuła, że delikatna wnuczka nie podoła obowiązkowi własnoręcznego prowadzenia domu z gotowaniem, praniem, sprzątaniami.

Przywitała się elegancko, acz z dystansem. Wiedziała, że zrobiła na młodym Kazimierzu bardzo wielkie wrażenie. Nie spuszczał z niej oczu. Był zauroczony, a jak już wiadomo, pokochał ją od pierwszego wejrzenia. Nie, to nie bajka, to prawda. Szkoda, że ona nie pokochała jego.

Był postawny, niższy jednak niż Jan, nie miał tak

pięknych i czarujących oczu, lecz mądre, rozsądne spojrzenie. Jego postura pomimo młodego wieku emanowała siłą, a dłonie były spracowane. Czują, że ten młody człowiek na wszystko zapracował sam, swoje wykształcenie osiągnął, zdobywając przez całe studia same celujące oceny, znał pięć języków, otrzymał doktorat z wyróżnieniem. Raz jeden jedyny chciał zobaczyć, jak to jest dostać ocenę niedostateczną, i postarał się o to. Jest na to do dziś dowód – jedyna ocena niedostateczna w całym indeksie. Zapewne dziadek Kazimierz umiał wtedy wszystko, bo nie leżało w jego naturze, by być do czegoś nieprzygotowanym. Udawał więc, że brak mu wiedzy, no i wykładowca, chcąc nie chcąc, postawił mu tę wymarzoną ocenę, kiwając głową z niedowierzaniem.

Poczęstunek w domu przyszłej narzeczonej składał się z herbaty podanej w złożonych filiżankach oraz ciasta. Można jednak było wyczuć lekkie napięcie rozmówców. Zachwycony Kazimierz spostrzegł zadumę Ireny, która myślami była daleko, prawdopodobnie przy Janie. Pożegnali się. Kazimierz opuścił progi domu państwa Jauernigów w nadziei, ona pozostała w rozterce. Babcia objęła wtedy dłoń wnuczki.

- Irenko, czy chcesz chodzić całe życie w jednym palcie, wychodząc za urzędnika pocztowego? Zastanów się, kochanie. Kazimierz cię kocha, to widać. Da ci spokój i dostatnie życie – podsumowała, odkrywając tym samym, że wie, jakiego rodzaju wątpliwości targają wnuczką.

Musiała przyznać, że ukochana babcia ma rację,

a dziadek, siedząc w bujanym fotelu przy dogasającym kominku, kiwał potakująco głową. Nie powiedział jednak nic.

Zrobiło się późno i od razu po kolacji Irena się położyła. Leżała w swojej ręcznie haftowanej, śnieżnobiałej pościeli. Analizowała każdy wzorek na papierowej tapecie o niekreślonych ornamentach, szukała odpowiedzi. Czytała z tych wzorów jak z jakiejś nieznanej, alchemicznej księgi, jak z jakichś wyrytych na skale przed wiekami znaków, tak jakby miała znaleźć tam odpowiedź, jakiś ukryty i zaszyfrowany tekst. Czuła, że poduszka robi się wilgotna od łez delikatnie wymykających się spod jej powiek, które w jej mniemaniu nie miały nigdy przestać płynąć. Umęczona rozmyślaniami, ukołysana szumem delikatnego wiatru za oknem usnęła, gdy na dworze już świtało.

O poranku ruch w domu nasilał się, gospodyni krzątała się przy śniadaniu, babcia w nienagannej sukni, ze sztywno stojącymi subtelnymi falbanami pilnowała, by wszystko odbywało się zawsze o określonej porze, w sumiennym porządku. Była lekko zdenerwowana, czemu zważywszy na sytuację, nie można się było dziwić. Nie wiedziała, z jaką decyzją zaczną dzień. Czy rozsądek weźmie górę nad uczuciem?

Wszystko miało okazać się około południa, gdy po śniadaniu oczekiwali ponownej wizyty młodego doktora. Podczas śniadania nie zdradzała się ze swoimi myślami. Miała nadzieję, że wydarzy się coś, co spowoduje odwleczenie sytuacji w czasie. Sama nie wiedziała, czego się spodziewa. Że ktoś zrobi coś za nią? A może meteor uderzy

w Ziemię i skończy się boleść jej serca? Nie. To właśnie jedno z tych ciężkich drzwi, które trzeba otworzyć. I otworzy je, choć lekkie one nie będą.

Około południa gospodyni zaanonsowała doktora. Ubrany był odświętnie, skromnie, lecz z nienaganną elegancją. Musiała przyznać, że wzbudził w niej zainteresowanie. No i ta szczerość w jego oczach. Uczciwość widziana na wskroś.

- Panno Ireno - zaczął bardzo nieśmiało - czy zostanie pani moją żoną? Obiecuję zrobić wszystko, by była pani ze mną szczęśliwa. - Wyjął z kieszeni maleńkie, ręcznie robione pudełeczko, z którego wyłonił się piękny pierścionek w kształcie obrączki, wysadzany dwoma małymi brylancikami z królującym pomiędzy nimi rubinem.

Czyżby on wiedział? Jak to możliwe? Babcia nie mogła mu zdradzić, że rubin to nasz rodzinny kamień, kamień miłości. Nie mogła. To znak. Tak, teraz już wiedziała, podjęła decyzję w momencie, gdy wieko pudełeczka się otworzyło.

- Tak, panie doktorze, zostanę pana żoną - odrzekła pełna nadziei na dobre życie z uwielbiającym ją mężem.

Nie pomyliła się. Łzy po stracie Jana przestały w końcu płynąć, a małżeństwo z Kazimierzem zostało zawarte.

Wojna się skończyła. Gospodarze wielkopolscy zaczęli odbudowywać swoje gospodarstwa, wymieniali się zwierzętami, by uzupełniać gatunki. Jeden gospodarz dał drugiemu kurczęta, a ten za to gęsi, świnia za cielę i tak dalej. Niezwykła solidarność, gdy trzeba było, to dzielili się jednym koniem, który pracował na trzech gospodarstwach.

Wszystko powoli wracało do normy.

Irenka urządziła dom z rozmysłem i wielkim smakiem, pokochała go całym sercem. Ściany, tak jak nikt dotąd, pomalowała na kilka kolorów. Ludzie chwyтали się za głowy. Nie można im się jednak było dziwić, poza rodzinną miejscowością nie bywali w świecie, nie znali – jak to dziś nazywamy – trendów w modzie. Nie mogli się również nadziwić, gdy do kościoła szła ubrana w ażurowe, haftowane rękawiczki i wspaniałe, okazałe kapelusze, który sprowadziła z Poznania, bo tylko tam można było dostać takie cuda. Czowała, że wraca w nią życie, a do tego, że za chwilę da życie nowemu członkowi powojennej społeczności.

Stało się to, gdy pokój dla nowego dziecka był już gotowy, zatrudniono nianię, wszystko było przygotowane. Niania pochodziła ze Lwowa. Kto wie, czy nie to pomogło podjąć państwu Czelnym, jak się później okaże, bardzo trafnej decyzji. Maria Mika była repatriantką, a zarazem samotną i opuszczoną kobietą. Jej męża wywieziono na Sybir, a pozostała rodzina wymarła podczas wojny z biedy i niedostatku, z chorób, które właśnie wtedy przychodzą tak szybko jak nieproszony gość, głośno uderzając w drzwi, obwieszczając, że koniec jest bliski. W cieniu choroby stoi ktoś jeszcze – śmierć. Tak, choroba często jest w towarzystwie śmierci, ona zawsze czai się gdzieś, wie, że wojna to jej dobry czas, wie, że posiadzie zdobycze, na które zawsze czeka. I wygra w tej nierównej walce z człowiekiem, gdyż on, osłabiony, nieposiadający narzędzi w postaci leków czy lekarza, przegra walkę o życie.

Mimcia, bo jak się później okaże, tak nazwie ją maleństwo, które już w jej obecności przyjdzie na świat, była osobą niewielkiego wzrostu, z gęstymi ciemnymi włosami. Zawsze zaczesawała je gładko do tyłu, ukazując tym samym rumianą, zdrową cerę oraz błękitne oczy. Mimo ciężkich czasów i niedożywienia Mima była okazem zdrowia. Silna i mocno stąpająca po ziemi. Wiedziała, że i ona znalazła swój azyl na ziemi, swoją rodzinę.

Czas porodu zbliżał się nieubłaganie. Można jednak było być spokojnym. W końcu to nie to, co poród Danusi z początku wojny, w smutku i wielkim strachu, jak to wszystko będzie, jak to się zacznie i jak zakończy. Irena czuła dumę, że dali radę przetrwać te trudy, strach bez większego uszczerbku. Niemałą rolę odegrał tu spryt oraz odziedziczone zasoby, jakimi dysponowała, które w najcięższych chwilach były wręcz warte życia. Teraz wie, że musi je dobrze ukryć, zabezpieczyć, bo nie wiadomo, kiedy znowu będą potrzebne. Samo przewiezienie ich graniczyło z cudem i dźwigało ciężar odpowiedzialności za rodzinę. Wiedzieli jednak, że muszą, że bez tego majątku się nie ustatkują. Zabezpieczone, owinięte w pończochę złoto całą drogę przytwierdzone było do podbrzusza i tak bezpiecznie dotarło do Pniew. Nikt nie miał odwagi dokładnie rewidować brzemiennej kobiety, zresztą bardzo skromnie ubranej. Można by wtedy pomyśleć, że dziecko, które się narodzi, będzie miało życie „złotem usłane”.

- Irenko, bądź dzielna, dasz radę - mówił zdenerwowany Kazimierz, próbując dodać żonie sił.

Poród trwał już ósmą godzinę. Kazimierz dzielnie w tym uczestniczył, nie tylko jako lekarz, wprawdzie weterynarii, ale jako czuły i kochający mąż. Teraz nas to nie dziwi, bo przyjęte jest, że mężowie są przy porodzie. Jednak w roku 1945 było to niespotykane.

Akuszerka była starszą kobietą około pięćdziesiątki. Miała wielkie doświadczenie, sama wydając na świat siedmioro swoich dzieci, a także asystując przy wszystkich porodach w okolicy. Była niezastąpiona i jedyna w promieniu sześćdziesięciu kilometrów.

Kazimierz ze swego medycznego punktu widzenia nie odważyłby się pozostawić Irenki pod opieką tylko „babki” oraz Mimci stojącej w kącie pokoju, cichutkiej i skrepowanej całą niesamowitą dla nieródki sytuacją. Siedział i trzymał żonę za jej delikatną dłoń, już lekko wyczerpaną i osłabioną. W duchu martwił się jednak stanem Irenki. Akuszerka uspokajała go, mówiąc, że to już niedługo, już niedługo zobaczą swoje dziecko. Miała rację, wykonywała dziwne znaki na plecach leżącej na boku pacjentki, szeptała coś pod nosem ku wielkiemu zdziwieniu Kazimierza. Może się modliła? Trudno było to orzec jednoznacznie.

Następnie już na wznak leżącej Irenie kazała przecić ostatnie dwa razy. Bardzo mocno przyciskała przy tym brzuch, jakby wypychając dzieciątko na zewnątrz. Doczekali się. Usłyszeli głośny płacz dziecka. Kazimierz o mało nie zasnął. Za pierwszym razem nie przeżywał tego tak bardzo, lecz teraz bał się, że coś może pójść nie tak.

- Tylko nie teraz. Tylko nie teraz - szeptał do siebie. -



Nie teraz, kiedy tyle przeszliśmy. Będzie dobrze. – I było.

Spojrzał na nią. Była maleńka, a jednak bardzo duża, ważyła cztery kilogramy. Miała piękne niebieskie oczka i kręcone czarne włoski. Jej maleńkie dłonie od razu zacisnęły się na wielkim palcu ojca, symbolizując więź, która między nimi powstała. A powstała na zawsze.

– Damy jej na imię Grażyna – rzekł, podając ją matce. – Będzie mądra i zdrowa jak grzybek. – Tak, nazwał ją grzybkiem, zapewne mając na myśli zdrowego i pięknego borowika.

– To idealne imię. – Uśmiechnęła się. Wiedziała, że zrobił jej tym przyjemność, że oddał jej hołd, nadając córce imię tytułowej bohaterki jej ukochanego Mickiewicza.

W Mickiewiczowskim dziele Grażyna była żoną księcia litewskiego Litawora, pana nowogrodzkiego. Jej imię oznaczało „piękną księżnę”.

Księżna jako młoda dziewczyna była uznawana za pierwszą piękność kraju nad Niemnem. Wyróżniała się wśród innych. Była tak wysoka, że prawie dorównywała wzrostem samemu księciu Litaworowi. Mickiewicz parę książęcą porównywał do dorodnych topoli:

*Książęca para, kiedy ją okoli  
Służebne grono, jak w poziomym lesie  
Sąsiednia para dorodnych topoli,  
Nad wszystkich głowę wystrzeloną niesie<sup>[1]</sup>.*

Grażyna nie lubiła zajmować się niewieścimi pracami, wolała

ćwiczyć się w strzelaniu z łuku i władaniu mieczem:

*Iglę, wrzecziono, niewieście zabawy  
Gardząc, twardego miała oręża (...)*<sup>[2]</sup>.

Bardzo lubiła polować, świetnie jeździła konno. Tak bardzo była podobna do męża. Tak jak Grażyna będzie podobna do swego ojca Kazimierza.

Najlepiej o jej charakterze powiedział Litawor, żegnając ją na żałobnym stosie:

*„Niewiasta, choć ją męska zbroja kryje,  
Niewiasta z wdzięków, a bohater z ducha” (...)*<sup>[3]</sup>.

I tak nadano imię drugiej córce państwa Czelných, dodatkowo przewiązując jej na pulchniutkiej, słodkiej rączce czerwoną wstążeczkę, przeciwko zauroczeniu oczywiście.

Lata mijały. Grażynka i Danusia dorastały w kraju, który cały czas uczył się funkcjonować jako państwo polskie, bez najeźdźców, bez oprawców. Kazimierz otworzył w domu Państwowy Punkt Weterynaryjny i od tego momentu poza tym, że wyjeżdżał do swoich gospodarzy, to i oni mogli przyjechać do niego. Zawsze przed domem były jakieś zwierzęta, które napotykała wracająca ze szkoły sześciolatnia już Grażynka. Jej miłość do zwierząt miała swoje korzenie w ojcu. To była stuprocentowa córka swego ojca. Siadała zawsze cichutko w gabinecie ojca i słuchała ojcowskich porad, jak dawkować leki. Wiedziała, że kiedyś i ona, tak jak jej ojciec, zostanie weterynarzem. Wiedziała, że

to skryte marzenie jej ukochanego ojca. Zrobiłaby dla niego wszystko. Gdy wszyscy pacjenci już odjechali, a ojciec powolutku chował dokumenty do swojej czarnej podniszczonej torby, ona przekroczyła próg gabinetu, trzymając na rękach jednego spośród swoich ośmiu kotów. Uśmiechnął się lekko pod wąsem, jak to miał w zwyczaju.

- Cóż stało się temu pięknemu okazowi? - zapytał całkiem poważnie ojciec.

- Och! - z przejęciem zaczęła Grażynka. - Jest bardzo smutny. Nie biega, nie skacze, no i nie chce jeździć w wózku. Co mu dolega? - spytała.

Doktor wziął zwierzaka do rąk. Tak naprawdę nie znosił tych małych futrzanych zapór drogowych, nie wiedzieć czemu zawsze pojawiających się pod nogami wtedy, kiedy trzeba było szybko przejść przez hol lub bramę, wówczas to właśnie chciały czułości, jedzenia albo Bóg wie czego. Grażynka nie wiadomo skąd sprowadzała ich do domu krocie, wszystkie potrzebowały pomocy, wszystkie miały zostać na zawsze. Nadawała im imiona, a nawet ubierała w dziecięce ubranka przeznaczone dla lalek i wozila w wózku, dumie parując po chodniku przed domem, tak aby koleżanki widziały, że ona ma żywe stworzonko w wózku, a nie jakąś tam plastikową lalkę, którą nawet nie każda dziewczynka posiadała.

- On jest po prostu za gruby, Grażynko. Waży prawie siedem kilogramów, zbyt dobrze się nim chyba zaopiekowałaś. - Uśmiechnął się.

- Czy można zaopiekować się kimś zbyt dobrze? - Tego

mała dziewczynka już pojąć nie mogła, ale ojciec jak zawsze bardzo dobrze jej to wytłumaczył.

- Można. Można z miłości wyrządzić komuś krzywdę zupełnie bezwiednie, można z nadmiaru jedzenia, które jest przyjemnością, zrobić sobie lub komuś krzywdę, bo powoduje on otyłość i ospałość. Wszystko w życiu należy robić z umiarem, lecz zawsze z dobrą intencją, tego człowiekowi nigdy nie powinno zabraknąć. A teraz wypuść Czibusia na podwórko. Niech zmobilizuje się do biegania i pomiń, proszę, jego miskę przy karmieniu. A za tydzień zapraszam cię na wizytę kontrolną - zakończył wywód tato całkiem poważnie. Jako zapłatę poprosił o trzy całusy w policzek, które z ochotą mu podarowała.

Irena wspaniale zarządzała domem. Lata mijały, dom uchodził za najpiękniejszy w okolicy, a to za sprawą wymiany okiennic, a to dzięki dobudowanemu pięknemu tarasowi. Wszystkie propozycje były jej pomysłami. Tak bardzo pochłonęła ją organizacja wszystkiego, że w efekcie brakowało jej czasu na okazywanie czułości dzieciom.

Oczywiście zasady dobrego wychowania wpajane były na każdym kroku: „wyprostuj się”, „nie pukaj stopą o podłogę”, „nie biegaj”, „czytaj”... Miłość dawał dzieciom ojciec oraz wspaniała i ciepła niania. Trzeba przyznać, że życie nie było tak proste jak teraz, nie było nic na tak zwane wyciągnięcie ręki, nie było sklepów na każdym rogu, nie było asortymentu.

Mimcia gotowała pod dyktando Ireny specjały, którymi raczyliśmy się, siedząc przy ciężkim, drewnianym stole, zachowując oczywiście etykietę. To wszystko wymagało nie

lada pracy. Siadając przy stole, należało pamiętać, by usiąść na całej powierzchni krzesła, nie dotykając jednak plecami jego oparcia, następnie dosunąć się z krzesłem do stołu na odpowiednią odległość, by można było przy rękach zgiętych w łokciach trzymać cały czas nadgarstki na stole. Przy stole nie wolno było krzyżować nóg, zakładać jednej na drugą, czy wyciągać ich przed siebie. Przez te lata mieli już to wszystko we krwi, byli w tym nienaganni, ku wielkiemu zadowoleniu matki.

- Kaziczku, co sądzisz o hodowli lisów? Czytałam w prasie, że to bardzo dochodowe, a nasze zasoby dobrze byłoby uzupełnić - spytała Irena, właściwie już znając odpowiedź. Nigdy tak naprawdę nie potrzebowała zgody ani opinii Kazimierza.

Spryt i jak by to dzisiaj powiedzieć, żyłkę do interesów miała ona. Decyzja zapadła. Ogród był tak ogromny, sąsiedztwo praktycznie żadne, warunki wymarzone na hodowlę. Tak więc Kazimierz zajął się organizacją i zakupem zwierząt.

Początek hodowli lisów przypada na wiek XVIII, kiedy stosowano półdzikie rozmnażanie zwierząt pod częściową opieką człowieka. W 1894 roku w Kanadzie, na Wyspie Księcia Edwarda, powstała pierwsza ferma lisa, której właściciele, Dalton i Qulton, po hodowlanych niepowodzeniach udoskonali sposoby selekcji, polepszyli żywienie oraz metody odchowu lisów. Rezultatem ich pracy było uzyskanie na wielkiej aukcji futrzarskiej w Londynie w 1904 roku czterokrotnie wyższej ceny za skórę lisa

utrzymywanego w systemie klatkowym od ceny za najlepsze skóry pochodzące z odłowu. Od tamtej pory w wyniku tego sukcesu wzrosło zainteresowanie chowem i rozpoczęto zakładanie nowych ferm. W Polsce hodowle stały się popularne już w czasach międzywojennych, lecz rozkwit ich nastąpił w latach 60.

Zdecydowano, że w pniewskiej hodowli znajdą się lisy polarne niebieskie. Grażynka nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego niebieskie.

Lis polarny niebieski odznacza się białą ogólną barwą okrywy z pigmentowanymi wierzchołkami włosów pokrywowych, rozmieszczonych równomiernie na stronie grzbietowej. Podszycie jest białe lub z jasnoniebieskim odcieniem, dla Grażynki po prostu szarym. Brak jest wyraźnej pręgi grzbietowej. Okrywa włosowa jest bardzo gęsta, zwłaszcza włosów puchowych.

W hodowli państwa Czelných znalazły się lisy, które Irenka uznała za najpiękniejsze. Takie, którymi sama okrywała się za młodu.

Prace ruszyły, budowanie klatek powierzono lokalnemu stolarzowi, który po raz pierwszy przekroczył próg domostwa państwa Czelných. Nie krył skrępowania, kiedy herbatę podała mu „służąca”, o której tak głośno było w Pniewach. Bo kto, u licha, ma gosposię?

Państwo Czelní, acz bardzo szanowani, wzbudzali kontrowersje w małym miasteczku. Kazimierz, ciągle pracujący i pomagający gospodarzom, zawsze przybywał w potrzebie. Latami nieświadomie pracował na opinie

dobrego i uczynnego człowieka. Robił po prostu to, co kochał i lubił. Wszyscy wiedzieli, że jak cieli się krowa po północy, to można wzywać doktora. Wsiądzie w swoje auto i zawsze dojedzie na czas. Od biednych gospodarzy nie brał zapłaty, nigdy. Wiedzieli o tym ludzie, ale nie zdarzyło się, by wykorzystali to z premedytacją. Wracał wtedy Kazimierz nad ranem z naręczem tego, co mu tylko gospodarze dać mogli. Świeże jajka, zabita kurka, warzywa. Z tych świeżutkich jajeczek dzieci miały pyszny omlet na śniadanie.

Niestety, co do Irenki mieli zupełnie odmienne zdanie. Nie rozumieli, czym jest zarządzanie domem. Przecież dom to po prostu sprzątanie, gotowanie, pranie. Nie rozumieli i nigdy nie zrozumieli. Nie pojęli elegancji oraz manier pani doktorowej, nie rozumieli jej mowy, a i ona ich nie rozumiała wcale. W tej małej miejscowości zwanej miasteczkiem, jak i w okolicznych wsiach, nie mówiło się poprawną polszczyzną, tylko gwarą. Ile to razy dzieci przybiegały do domu z płaczem, prosząc o tłumaczenie tego jakby nieznanego języka, którym dzieci zwracały się do nich w szkole.

- Mamusiu, dlaczego mówią śpiał? Mamusiu, co to znaczy węborek i ryczka? - Mama kiwała głową i choć sama niewiele rozumiała, próbowała im to wszystko tłumaczyć.

Jej niechęć do tej miejscowości stopniowo wzrastała. Odzywały się pierwotne przyzwyczajenia, chciała być doceniana, chwalona i podziwiana, zamiast tego spotykała się z niezrozumieniem. Czuła, że nie jest to jednak koniec jej podróży, że jej miejsce jest gdzie indziej.

Klatki były gotowe po tygodniu. Wyglądało to imponująco. Cztery rzędy, po dziesięć klatek w każdym. Budziły zainteresowanie w całych Pniewach. Ludzie przychodzili i przez płot zerkali, co się dzieje. Bo hodować świnkę, krowę lub kurkę to wiadomo, ale dzikie lisy? Nie rozumieli, że to już nie dzikie a hodowlane, że to twór ludzkiej wyobraźni i ręki. Odchodzili spod płotu i kiwali głowami z niedowierzaniem.

„Już chyba nigdy nie przestaną tak kiwać” – pomyślała Irena, obserwując ludzi z okna pokoju na piętrze.

Lisy w liczbie piętnastu sztuk sprowadzono ze Śląska, jak by to wtedy powiedzieć – lisiego zagłębia, umieszczono, a ściślej mówiąc, Kazimierz i Mimcia umieścili je w klatkach na oczach wszystkich domowników. Podziw Grażynki dla tak wprawnego ojca oraz tak odważnej Mimci był ogromny. Jak ona to potrafiła zrobić, przecież one są takie szybkie. Lisy poza swoją urodą mają bardzo zgryźliwy, w znaczeniu dosłownym, charakterek, ale to dla Mimci nie był żaden problem. Ta kobieta nie obawiała się niczego. Zauważyła to również matka.

Tego wieczora, gdy Mimcia podała kolację, zaprosiła ją do stołu. Mima skrępowana usiadła, nie jadła nigdy z państwem przy stole, nie żeby jej ktoś zabraniał, nie żeby ktoś to kiedyś tak zarządził, po prostu sama chyba czuła, że tak jest poprawniej, że tak właśnie być powinno.

– Marysiu – zaczęła Irena – jestem pełna uznania dla twojej zwinności i sprytu, jakimi wykazałaś się podczas dzisiejszej pracy. Pozwól, że w związku z tym dwa z naszych



lisów będą twoje. Oznacz swoje liski i opiekuj się nimi tak jak pozostałymi. To, co zyskasz ze sprzedaży skór, będzie twoim dodatkowym wynagrodzeniem. - Tak zakończyła bez zbędnych jak zwykle emocji Irena swoją wypowiedź. - A teraz podaj proszę herbatę.

Kazimierz obserwował całą sytuację z odległego boku stołu i widział, jaką radość sprawiła żona Mimci. Kochał ją za to wszystko i szanował, wiecznie zaślepiony miłością, tak jak wtedy, gdy jako młody mężczyzna wsunął jej na palec zaręczynowy pierścionek. Tak, zmieniła się. Cóż, czas wojny, trudy życia musiały być dla panny Ostrowskiej cięższe niż dla ludzi gotowych zawsze do ciężkiej pracy i jej trudów. Można powiedzieć, że utwardziła się troszkę, chowała emocje, była dzielna i sprytna. Mądra, a zarazem nierozumiejąca życia. Któż wie, co kryła w sercu, a może kogo kryła...

Pewnego dnia, gdy mijał kolejny rok pobytu w Pniewach, Irena otrzymała list od kuzyna Antoniego ze Strzyżowa. Donosił, że babka, już prawie osiemdziesięcioletnia, jest coraz słabsza, ale zawsze dzielna i z uśmiechem na twarzy. Dziadek Emil siedzi przy niej, trzy razy dziennie całując jej dłoń na znak wielkiej miłości, która nigdy nie wygaśnie lub tylko wtedy, gdy razem odejdą z tego świata, zapewne w jednym czasie - jak to się mówi w Strzyżowie.

Modrzewiowy dom wymaga wielu prac remontowych, a jak wiadomo, i ich majątek po wojnie uszczuplił się znacznie. Wspominał, że państwo Nadorszańscy dopytują się, co u niej słyhać, i gdyby nie listy, to nie wiedziałby, co im rzec. Dobrze, że poczta funkcjonuje nader dobrze. No i ta

wzmianka... o Janie... Może niepotrzebna, może nieprzemysłana, może nie wiedział...

*Wiesz, Irenko, Jan Konieczkowski powrócił do Strzyżowa. Przyznać trzeba, że nie w chlubie, niestety. Po Twoim wyjeździe, Irenko, nie wiedzieć czemu wstąpił do klasztoru, postanowił zostać księdzem. Wyobrażasz sobie, księdzem! Oczywiście rodzina była zadowolona. Ksiądz w rodzinie to zawsze duma. Nie było to jednak proste, bo by tego dokonać, należało wyposażyć go w niezbędne przedmioty, jakimi były kołdry, koce, masa bielizny, poduszki. Kto wie, po co to wszystko? Może jako datek dla zakonu. Wiesz, nie mogę tego zrozumieć, rodzice przyszli do Twej babki, prosząc o pomoc. Nic z tego nie rozumiem, a wiesz, otrzymali ją. Całe wyposażenie dla Jana otrzymali od państwa Jauernigów. Niesamowita historia, mówię Ci, Irenko. Może babka Maria chciała zrobić przed kresem swego życia jakiś szlachetny uczynek, co o tym sądzisz?*

Dobrze wiedziała, co sądzi. Wiedziała doskonale, co skłoniło go do tego kroku. Dobrze wiedziała, dlaczego babka tak postąpiła. Maria miała w duszy nadzieję, że odpłaci im krzywdę, jaką wyrządziła państwu Konieczkowskim ona oraz za jej pośrednictwem wnuczka. Jak mogła zniszczyć komuś życie, budując na jego podwalinach swoje, wygodne i dostatnie? Lecz skąd mogła wiedzieć, że tak się stanie? W duszy wierzyła, że spotka uczciwą, dobrą kobietę i założy

rodzinę. Tak jak ona. Że rozsądek zwycięży nad uczuciem. Uroniła łzę... następną od wielu lat, jaka spłynęła za jego sprawą.

Jak donosił dalej Antoni, Jan jednak nie odczuł ulgi ani satysfakcji z podjętej decyzji. Porzucił klasztor tuż przed święceniem. Nie mógł znieść bóleści serca, nie mógł znieść, że oszukuje Boga i samego siebie. Wolał wrócić tam, gdzie stopy Irenki deptały ziemię w tych ślicznych lakierowanych pantofelkach. Wolał cierpieć już całą resztę życia, lecz tylko i wyłącznie tam, gdzie w jego umyśle pozostało cokolwiek po niej. Nie ożenił się do tej pory. Mieszkał z rodzicami, wrócił do pracy na poczcie, na stanowisko kierownika, ponieważ był wśród wszystkich najlepiej wykształcony. Zdobył szacunek. Niektórzy jeszcze wspominali młodych, pięknych spacerujących drogą prowadzącą z kościółka do miasteczka. Młodych, którzy powinni spotkać się w innej rzeczywistości...

Złożyła list i schowała do sekretarzyka, jego treść zapisała zaś głęboko na dnie serca.

---

[1] Adam Mickiewicz, *Grażyna. Powieść litewska*, w: tegoż, *Dzieła*. Wydanie narodowe, Warszawa 1948, s. 23.

[2] Tamże.

[3] Tamże, s. 42.

## Rozdział 5. | Złoto

Żółty kruszec. Ma długą historię. Jak wiadomo, złoto odkryto już w starożytności i od czasu pierwszego użycia go jako waluty było symbolem bogactwa oraz pozycji społecznej w wielu wspólnotach. We współczesności wciąż odgrywa ważną rolę jako przedmiot transakcji, a zarazem przedmiot pożądania. Świat ceni złoto jako wyznacznik bogactwa i podstawę wymiany międzypaństwowej. Ludzie traktują złoto jako zabezpieczenie, ponieważ papierowe pieniądze nie są i nie były nigdy równie pewne. Złoto wciąż ma, ma i będzie miało wpływ na życie w globalnym już teraz świecie. Niezaprzeczalnie ma piękny kolor, blask i ponadczasową trwałość, a równocześnie posiada względną łatwość obróbki, co sprawiło, że ze złota od najdawniejszych czasów wyrabiano przedmioty pełniące funkcję przede wszystkim ozdobną. Dowody na to znajdujemy na całym świecie, gdzie podczas prac archeologicznych wielokrotnie odkrywano piękne, częstokroć niezwykle misterne wyroby i ozdoby dawnych cywilizacji. To właśnie ten bardzo charakterystyczny, niespotykany wśród innych metali kolor i łatwo zauważalny połysk sprawiły, że w wielu dawnych wierzeniach złoto kojarzono ze słońcem, a w starożytnym

Egipcie było identyfikowane wręcz z bogiem Słońca - Ra. Z tego też zapewne względu alchemicznym symbolem złota jest prehistoryczny symbol słońca, czyli okrąg z punktem w centrum. Jako „boski metal” złoto było surowcem, z którego wykonywano wizerunki, a nawet posągi bogów, spotykane w wielu religiach starożytnego świata.

Szlachetność złota wynika z faktu, że począwszy od wydobycia z ziemi, a skończywszy na ostatecznym wyrobie, pozostaje ono wciąż tym samym, czarująco błyszczącym metalem. Nie wchodzi prawie zupełnie w reakcje chemiczne z innymi pierwiastkami. Złote ozdoby wikingów znajdujące w irlandzkich torfowiskach i złote skarby z egipskich grobowców lśnią równie jasno i świeżo, jak liczące setki milionów lat australijskie samородki czy też najnowsze dzieła współczesnych jubilerów. Ta właśnie cecha sprawiła, że przez tysiące lat ludzie zawsze przywiązywali i nadal przywiązują wielką wagę do złota - metalu szlachetnego i ozdobnego. Z trwałością złotych wyrobów zawsze wiązała się ich wysoka cena. Złotem płacono, złoto kupowano, w złocie lokowano majątek, złota pożądanego lub traconego za nie życie.

Wiedziała to wszystko Irena, wiedziała, że dzięki temu cudnemu kruszcowi ratowała swoje i rodziny życie nieraz, a wiązało się to z uszczupleniem zasobów z pończochy, którą tak skrętnie przewiozła ze Lwowa. Trzeba było uzupełnić zapasy. Niezwłocznie. Pokolenie powojenne jeszcze długo bało się powrotu wojny, jeszcze długo kryło w sobie lęk przed zagładą, stąd zapewne budowano przydomowe

schrony, które już po kilkunastu latach po wojnie służyły jako ziemianki do przechowywania warzyw i polnych plonów.

Hodowla lisów rozwijała się bardzo prężnie. Nie obyło się oczywiście bez błędów, które na początku poczyniono, lecz z biegiem lat hodowla rozwijała się wzorowo. Samce oddzielone były od samic, lecz gdy przychodził czas, łączono je, a wymagało to nie lada sprawności. Mima i już wtedy dwunastoletnia Grażynka świetnie sobie z tym radziły. Irenka i Kazimierz oczom nie wierzyli, co ta mała dziewczynka ze swoją nianią potrafią wyczyniać. Chwytała szybko lisa za kity, jak to mawiała, i już – zanim zdążył się pomścić na jej jeszcze malutkiej rączce – siedział w klatce u samiczki. W efekcie lis był zadowolony i choć Grażynka nie bardzo jeszcze rozumiała proces prokreacji lisów, to jednak dzielnie wykonywała swoje zadanie. Zapytywała czasami ojca, jak to się dzieje, że pojawiają się takie małe, śliczne lisiątka dokładnie po pięćdziesięciu dniach. Maleńkie, ważące tyle co kosteczka masła, a bywało ich nawet i dwanaścioro. Lisica karmiła potem młode osiem, dziesięć tygodni, czemu Grażynka codziennie baczenie się przyglądała, traktując czasami te liski jak swoje kotki, na które lisy miały wielokrotnie chrapkę. – Dobrze, tatku, że kazałeś zbudować takie mocne klatki, bo z moich kociąt nic by nie zostało. Nie starczyłoby im jedzonko, które Mima codziennie przygotowuje tak skrupulatnie – powiedziała.

Wiedziała, że Mima każdego ranka szykuje lisom klopsiki z podrobów oraz kości przynoszonych przez ojca z rzeźni, tej, w której badał mięso. Robiła to wszystko, zanim Irena

wstała. Wiedziała bowiem, że pani nie znosi zapachu tych „paskudnych” podrobów. Do śniadania klopsiki dla lisów były gotowe i Grażynka z Mimcią karmiły je, wkładając te zgrabne kuleczki każdemu do klatki przez małe otworki w siatce.

Grażynka traktowała ten folwark jak zwierzęta domowe i opiekowała się nimi. Ojciec wiedział to i z tego też powodu, gdy nadchodził czas uboju lisów i ich oskórowania, zabierał córkę do lasu na polowanie. Pozostawiał obowiązek uboju żonie, Mimci oraz pomocnikowi.

Wchodził wówczas do swojego gabinetu, otwierał metalowe drzwi szafy i wyciągał z niej swoją strzelbę oraz aparat fotograficzny marki Leica w aluminiowej obudowie, oklejony naturalną skórą. Zawsze miał też w szafie zapas nabojów oraz klisz do aparatu. Grażynka stała gotowa przy samochodzie marki Fiat 600. Uwielbiała ten mały białutki samochodzik. Kochała wyjazdy z ojcem tym małym włoskim pudełeczkiem o tak ograniczonej przestrzeni, ale przestrzeni, która była tylko dla nich dwojga. Dobrze się rozumieli, rozmawiali, śpiewali zabawne piosenki.

Dojechali na miejsce. Las nie znajdował się daleko od domu, bo Wielkopolska słynęła zawsze – i tak jest do dzisiaj – z dużej ilości terenów leśnych oraz jezior.

– Grażynko, teraz się rozdzielimy. Ja pójdę tam – wskazał na zachód – a ty na wschód. Oddalimy się od siebie troszkę, a w drodze powrotnej będziesz nawoływała i tym samym naganiała mi zwierzynę – rzekł. – Dasz radę?

– No jasne! Jak bym miała nie dać. – Nawet gdyby tak

czuła, nigdy by się do tego ojcu nie przyznała. Przecież to ona jest kompanem jego wypraw, to ona na pewno napędzi mu wielkiego dzika. Dzika, którego bała się strasznie, ale przecież była Grażyną, odważną i waleczną.

- Dam radę, tatku - odrzekła i odwróciła się, idąc w przeciwnym do ojca kierunku.

A hu hu, aaaaauuuu, uuuuuu - dało się słyszeć raz po raz. Ojciec natomiast dla spokoju Grażynki udawał trele wszelkich ptaków. Potrafił wszak naśladować wszystkie leśne ptactwo. Najbardziej lubiła śpiew wróbelka i drozda. Właśnie, dlaczego nagle przestała je słyszeć?

Wydawało się jej, że zawróciła i powinna już zmierzać w kierunku ojca, jednak jakimś dziwnym sposobem nie słyszała go i nie widziała. Robiło się coraz później. Dziewczynka zaczynała się bać. Co się stanie, gdy jej nie znajdą? Jest wprawdzie wiosna, nie zamarznie, lecz perspektywa spędzenia nocy w ciemnym lesie przerażała ją bardzo.

- Tatku, tatku! - nawoływała. - Dlaczego nie trelisz, dlaczego nie strzelasz? Tatku!! - wołała, a łzy spływały jej po policzkach.

„To już koniec! Zginę małą bohaterską śmiercią, nikt mnie tu nawet nie znajdzie, zapewne zjedzą mnie wilki” - pomyślała. Już wołałaby, żeby lisy.

Szła tak przed siebie, trudno stwierdzić, jak długo. W lesie czas płynie wolniej. Czuła już duże zmęczenie, bolały ją nogi, łzy przestały płynąć, co pozwoliło jej uzyskać lepszą widoczność w zapadającym zmierzchu. Nagle dotarła do



jakiejś leśnej drogi, lecz w którą stronę iść? Nie zastanawiała się zbyt długo, poszła w prawo. Zawsze jej się wydawało, że prawa to poprawna, że prawa może być dziewczyna, że prawa ręka to ta od pisania, że żołnierze zaczynają maszerować od prawej nogi, tak jej się przynajmniej wydawało.

Idąc tak następne minuty, usłyszała dziwny dźwięk... Coś na kształt rżenia i uderzeń bata.

Tak, to nadchodziła pomoc, lecz nie przysłana przez ojca, który nie zdążył jeszcze nikogo powiadomić, ale przypadkowa. Kamień spadł z jej młodziutkiego serca.

„Jestem uratowana” - pomyślała i dała upust łzom kolejny raz.

- Nie płacz, dziewczynko! Kim jesteś i co tutaj sama robisz? - zapytał nieznajomy.

- Jestem Grażynka Czelny. Przyjechałam z tatą na polowanie i zgubiłam się w lesie. - Płacząc, grzecznie się przedstawiła, jak uczyła ją mama.

- A! Córka naszego doktora! Wsiadaj, dziecko, tam niedaleko przejeżdżałem koło samochodu twojego ojca. Musimy tam wrócić. - Zawrócił konia i pojechali w stronę jej zbawienia.

Ów człowiek znał doktora, ponieważ niejednokrotnie wzywał go na swoje skromne gospodarstwo, a on nigdy pomocy nie odmówił, i choć mężczyzna często nie miał czym zapłacić, to teraz wiedział, że choć po trosze spłaci dług doktorowi, odnajdując jego ukochaną córkę.

Dotarli do samochodu. Doktor siedział za kierownicą.

Miał już ruszać, aby powiadomić wszystkich o zaginięciu córki. Jakże wielkie było jego zaskoczenie i radość, gdy zobaczył na wozie przestraszoną i zapłakaną Grażynkę. Uświadomił sobie dopiero teraz, że to jeszcze małe dziecko, że choć hart ducha ma wielki, a odwagi nigdy jej nie brakuje, to jednak jeszcze dziecko. Przytulił ją do siebie tak mocno, jak tylko mógł. Poczwała, że chyba się udusi, lecz ta śmierć i tak będzie lepsza niż zjedzenie przez wilki. Wsiedli do autka już w spokoju i ciszy. Kazimierz wystraszony myślał, co powie Irena, kiedy się dowie. Zapewne zabroni polowań w towarzystwie córki. No cóż, będzie się musiał z tym pogodzić.

- Tatku - odezwała się już spokojna Grażynka - nie mówmy nic mamie, dobrze? Chcę być zawsze tam, gdzie ty.

Zrozumiał od razu. Nie chodziło o brak odpowiedzialności, o zatuszowanie sprawy, chodziło tylko i wyłącznie o to, by zawsze móc być razem. By nikt tego im nigdy nie zabronił.

- Będzie, jak zechcesz, córeczko - uśmiechnął się tato i zaczął nucić jedną z tych wesołych piosenek.

Do domu zajechali, gdy było już ciemno, lisy zostały oskórowane, skóry odpowiednio zawieszono w tej części stryżku, do której dzieci nigdy nie zaglądały.

Za kilka tygodni miała się odbyć wyprawa po złoto. Oczywiście do Poznania. Mima zostanie z dziewczętami w domu, a Irena i Kazimierz podążą swoim szlakiem ku ulicy Smolnej, wcześniej sprzedając skóry z pięciu lisów. Nie omieszkają zakupić dwóch nowych kapeluszy dla Irenki,

nowego palta oraz skórzanych delikatnych rękawiczek w kolorze écru, no i lakierków dla dziewczynek. Kazimierz uzupełni zapasy do swojej metalowej szafy nabojami do strzelby oraz pięcioma kliszami najlepszej jakości.

Wyjechali bardzo wcześnie rano. Mima wtajemniczona w proceder podała wcześniej śniadanie. Wszyscy byli ożywieni, bo jak zwykle budziło to niezwykle emocje, dla dzieci oznaczało to nowe prezenty w postaci oczywiście rzeczy praktycznych, a dla dorosłych uzupełnienie nadszarpniętych dawno temu zapasów. Droga miała trwać około godziny. Ruch na drodze był bardzo niewielki, zważywszy, że były to lata 60. i niewiele osób posiadało samochody.

- Proszę dla mnie kupić trzy. - Mimcia podeszła do Ireny z prośbą, podała jej zwitek banknotów, po czym odwróciła się na pięcie, wracając do swoich obowiązków. Uzbierała pieniądze z hodowli swoich dwóch lisów, które w zadziwiający sposób się mnożyły. Gdy lisy państwa Czelných rodziły się w liczbie siedmiu sztuk, a przeżywało około dwóch lub trzech, to liski Mimci pozostawały w liczbie pięciu.

- Chyba Bóg jej wyjątkowo błogosławił - rozprawiała zawsze Irena.

Skromność gosposi była zadziwiająca, a spryt i sztuka rozumowania u tej niepiśmiennej kobiety wręcz nieprzeciętne. Rozumiała, że pani - skoro posiada złoto i kupuje złoto - to wie, co robi. Wie, że to wiele warte z każdego punktu widzenia. Dowiedziała się o majątku

przypadkiem, kiedy to Irena - rozważając z mężem, jak ulokować zarobione pieniądze - wspomniała o dotychczasowych zasobach. Mima postanowiła też tak robić.

„Uzbieram górę złota” - pomyślała wtedy.

To bez znaczenia, że pończochy cerowała raz na tydzień, oszczędzała na odzieży i nosiła tylko to, co dostała od pani, lecz miała cel - będzie miała swoje złoto. Może i ono kiedyś jej w czymś pomoże, może zdecyduje o jej losie.

Ulica Smolna nie budziła szczególnego zachwytu, a można by nawet rzec, że powodowała jakieś zniechęcenie. Niewykluczone, że był to zamierzony efekt. Specjalny niepozorny punkt, w którym można było nabyć kruszec tak bardzo pożądanym przez wielu, a jednocześnie tak bardzo niedostępny w tych czasach, gdy zabroniony był handel walutami oraz złotem.

Stanęli przed wielką kamienicą już po raz kolejny. Zawsze z lekkim drżeniem dłoni oraz szybszym biciem serca. Przekroczyli próg. Irena ubrana skromnie w ciemny płaszcz i maleńki kapelusik, z nieodłącznymi rękawiczkami na dłoniach, tak jakby w tym momencie miały stanowić szczególną ochronę przed tym miejscem, tym nieładem. Wspierała się na ramieniu Kazimierza i odważnie podążała schodami w górę, na trzecie piętro tej wysokiej kamienicy. Schody sprawiały wrażenie klejących się, niesprzątanych od dawna, za drzwiami mieszkań słychać było dziwne głosy, począwszy od awantur, skończywszy na muzyce Mozarta.

„Może mieszka tu jednak ktoś na poziomie” - pomyślała.

W końcu wojna rozrzuciła ludzi w różne miejsca, a sąsiedztwa bywały jak najbardziej przypadkowe. Gdy zbliżali się do trzeciego piętra, ciężkie, malowane na zielono drzwi uchyliły się. Ukazała się w nich staruszka, być może mieszkająca w tej kamienicy od zawsze.

- Państwo do kogo? - zapytała zainteresowana, trzymając na rękach równie starego jak ona kota. Zapewne chciała pomóc, nie wyglądała na osobę złowieszczą.

Zmieszanie na ich twarzach było oczywiste. Na szczęście Kazimierz się opanował i odrzekł, że odszukał znajomego z lat młodości i że zamierza go odwiedzić. Uspokojona zamknęła drzwi, a oni poszli w górę.

Dotarli do drzwi bez tabliczki, drzwi incognito, za którymi krył się majątek do zdobycia, ale wiedzieli o tym tylko nieliczni. Delikatnie zapukali, trzy razy szybciej i dwa razy powoli. To umówiony znak poświadczający jakby tożsamość klienta. Zapewne każdy kupujący miał swój tajny kod pukania do drzwi. Szefler, bo tak nazywał się mężczyzna, miał około sześćdziesięciu lat. Przyprószone siwizną skronie nie pasowały do jego wysportowanej i zwinnej sylwetki. Był wysoki i szczupły. Można by rzec, że z postury czterdziestolatek, lecz trudy wojny odcisnęły piętno na jego obliczu.

- Ile i jakie tym razem? - zapytał, jednocześnie całując dłoń Ireny.

- Trzy dziesięciodolarówki, dwie dwudziestodolarówki oraz trzy pchełki dwu- i półdolarowe - rzekła Irena, recytując to, jakby czytała jakąś listę zakupów.

Monetki o nominale dwudziestu pochodziły z 1924 roku, dziesięciodolarówki z 1901 roku, a maleńkie pchełki - jak je nazywała Irenka - z 1902 roku. Oczywiście najcenniejsze były te o największym nominale ze względu na ich wagę, i tak analogicznie dwa i pół dolara to 4,18 g, dziesięć dolarów to 16,72 g, a już dwadzieścia dolarów to 33,43 g. Ta waga była już imponująca, zważywszy, że było to dwudziestotrzykaratowe złoto o próbie 958. Szefler zniknął na końcu korytarza tego imponująco wielkiego mieszkania i powrócił, trzymając w dłoni zamówienie. Kazimierz wręczył mu za to odliczony pakiet banknotów. Nie przeliczał. Miał do nich zaufanie. Oni też nie sprawdzali sakiewki, którą dostali. Mogli sobie na to pozwolić. Był to nie pierwszy raz i łączyła ich jakaś niepisana zmowa milczenia. Goście nie dociekali, skąd ten zaradny człowiek ma złoto tak niedostępne na rynku, a on nie próbował tego tłumaczyć. Irena uchyliła swoją małą kwadratową, zapinaną na dwie złote kuleczki torebkę i wsunęła do niej sakiewkę. Pożegnali się bez zbędnych słów, acz zgodnie z dobrym wychowaniem, po czym państwo Czelnicy opuścili ulicę Smolną. Staruszka zapewne stała, nasłuchując pod drzwiami, lecz nie miała odwagi znowu ich uchylać.

W samochodzie uspokojona już Irenka otworzyła bardzo cenną teraz torebkę i wyjęła monety. Obracała je w dłoniach, a czyniła tak zawsze, pieszcząc je, jakby zdobyła ostatni kawałek pożywienia, jakby trzymała podczas wojny tak niezbędną penicylinę, za którą w 1945 roku zespół Fleminga otrzymał Nagrodę Nobla.

- Liberty - przeczytała z rewersu monety. - Wolność.

Tak, złoto na pewno symbolizuje wolność. Ktoś, umieszczając ten napis, wiedział, co czyni, wiedział, jak ważna jest symbolika tego słowa, i jak ważnym środkiem płatniczym jest moneta w złocie.

- Kaziczku, pamiętaj, musimy zajechać do centrum, by zakupić niezbędne rzeczy dla dziewczynek, i wiesz, kupimy im dzisiaj coś wyjątkowego.

Dla prawie siedemnastoletniej Danusi, uczęszczającej już do gimnazjum, postanowiła kupić piękny szkicownik oprawiony w skórę, by mogła w nim rysować, skoro tak bardzo to lubi, a dla małej w końcu, bądź co bądź, Grażynki piękną, mówiącą i kiwającą głową lalkę o złotych kręconych włosach niczym dama z francuskiego Wersalu.

Ściemniało się już, gdy wjechali na posesję. Mimcia wyglądała przez okno, nie mogąc doczekać się swoich monetek. Tak bardzo je sobie ukochała. Teraz należy je tylko dobrze schować w swoim pokoiku, do którego nikt poza Grażynką nie wchodzi. Miała w podłodze jedną ruchomą deskę, pod którą jak w dziupli chowała swoje zasoby, a w której z czasem, dzięki zaradności i pracowitości, miało zabraknąć miejsca.

Tymczasem Irenka, upewniwszy się, że światła w domu mieszkańców ulicy Spichrzowej pogasły, udała się z mężem do sadu, skrupulatnie odliczając piąty rząd, trzecie drzewo. Jabłoń - tak, to jest właśnie to drzewo.

- Kop, Kaziczku, tylko głęboko. - Poprosiła. - Nikt nie może tego przypadkiem wykopać, żaden kret, żaden lis,

o człowieku nie wspominając.

W dali ogrodu słychać było niespokojne lisy szamoczące się w klatkach, jakby wyczuwały nietypowość sytuacji, ale przede wszystkim czuły, jako mięsożercy, żywe istoty.

Każde drzewo kryło tu swoje skarby. Klucz do ich odnalezienia znała tylko Irenka, Kazimierz nie miał głowy do tych łamigłówek, nie byłby w stanie wśród tej blisko setki drzew odnaleźć czegokolwiek, choć sam uczestniczył w tym procederze.

Takim to sposobem zasoby złota uzupełniały się i – jak się okaże – były w późniejszym czasie znowu niezbędnym środkiem płatniczym.

Przy śniadaniu radości nie było końca, gdy dziewczynki otrzymały swoje prezenty. Danusia od razu po śniadaniu pobiegła do sadu szkicować drzewa, a Grażynka, cóż, ta lalka – jak by to powiedzieć – nie była w stanie być lepszą od żywego kota w wózku. Mimo że mówiła „mama” i jakoś tak przecząco kręciła głową, to jednak nie była żywą istotą. Do tego jeszcze mama pozwoliła bawić się tylko we własnym pokoju, ponieważ była bardzo cenna.

„Cóż to za zabawa – myślała – skoro bawić się można tylko w jednym miejscu, i to w ograniczonym czasie! Już wolałabym dostać strzelbę, zrobiłabym z niej chociaż użytek” – zakończyła swój monolog.



## Rozdział 6. | Ja, Adrianna

Tak... zamiłowanie do złota i biżuterii mam na pewno po babci. Ona kochała świecidełka, choć to brzmi dość dziwnie, bo czy można kochać przedmiot? Tak, można, ja to wiem. Babcia wiedziała, że ten żółty metal w postaci biżuterii jest wspaniałą ozdobą kobiety, mówi o jej guście oraz statusie, a w postaci monet lub sztabek stanowi po prostu zabezpieczenie, tak jak dzisiaj lokata lub inwestycja w nieruchomości. Przyznać trzeba, że w tych czasach trudno orzec, co jest stabilne. Może jednak znowu złoto? Tak, złoto, na pewno.

Od dziecka pamiętam dłonie mojej babci ozdobione pięknie wykonanymi pierścionkami, cudnej roboty łańcuszek czy delikatne eleganckie kolczyki. Wiem to od zawsze, że moją uwagę na ulicy przykuwały ozdoby kobiet, a nie ich ubiór. Mogłam mijać kobietę na ulicy i powiedzieć, jakie miała kolczyki i co na serdecznym palcu. Nie wiem, jak to się dzieje, to chyba coś płynie w tej mojej krwi. Wraz z tą odrobiną błękitnej krwi może jakaś tajemna żyłka złota? Tak, jestem pewna, że coś w tym musi być.

Myśląc o tym, od razu mam przed oczami następny projekt. Już rysuję w wyobraźni pierścionek na delikatnej

obręczy z topazem o średnicy dwunastu milimetrów oplatanym cienkimi żyłkami złota, każde zakończenie tej żyłki zwieńczone 0,04-karatowym diamentkiem. Tak, muszę to przenieść na papier. Muszę to narysować... natychmiast. Teczka robi się coraz grubsza. Takie natchnienia i wręcz twórcza wena, jeśli można to również odnieść do projektowania biżuterii, nachodzą mnie w najdziwniejszych sytuacjach. Kiedyś obudziłam się w środku nocy. Inspiracją był sen. Powstał projekt, jeszcze tego samego wieczora. Naszyjnik z onyksem w kształcie księżyca w pełni zakrytego do połowy masą złota w formie półksiężyca. Od tamtego czasu szkicownik mam zawsze ze sobą, nawet przy łóżku, w tramwaju i w autobusie.

Wiem, że powinnam być złotnikiem, całe życie to czuję. Czuję, że to ja powinnam parać się złotem i srebrem, dotykać kamieni szlachetnych i tych półszlachetnych. Czuję, że rozumiem te kruszce, że one do mnie przemawiają swoją urodą i formą. Każdy kamień, który widzę, swoją fakturą i kształtem podpowiada mi, do czego się nadaje, w jakiej oprawie powinien być osadzony. Czuję ich zimno jak w przypadku na przykład rubinu, topazu lub nieprzezroczystego turkusu czy onyksu. Te ostatnie potrzebują ciężkiej oprawy. To kamienie stanowiące o sile i zdecydowaniu. Te pierwsze jakby delikatniejsze i bardziej idealne do biżuterii zaręczynowej, ślubnej oraz rocznicowej.

Na zmianę zawodu już za późno, lecz nie wszystko stracone. Pierwsze moje projekty wykonywane były u miejscowego złotnika. Robił wszystko na moje zlecenie.

Nosiłam jako jedyna nietuzinkowe pierścionki własnego projektu. Złotą bransoletkę z wieloma przywieszkami, którą zaprojektowałam dawno temu, salony złotnicze niedawno ogłosiły szykiem mody, promując swoją wynalazczość, a dla mnie jest to już przeszłość, choć ciągle piękna i ciągle na mojej ręce. Czasami czuję się jak jakiś prekursor i choć biżuterię wyrabia się od tysięcy lat, to ciągle można stworzyć coś nowego i ciekawego.

Pewnego dnia postanowiłam wyruszyć z teczką pod pachą po większych producenckich firmach mieszczących się w Poznaniu i zaproponować im swoje usługi jako projektanta biżuterii. Droga okazała się bardziej kręta, niż można było przewidzieć. Pukałam od drzwi do drzwi. Otwierałam teczkę i zamykałam. Im większa firma, tym trudniej... Tam są już sztaby ludzi, którzy projektują dla swoich pracodawców w nowoczesnych programach wizualizacyjnych, stworzonych do przenoszenia rysunku w trójwymiar. Owszem, nasłuchiwałam się komplementów, pochwał oraz „zadzwonimy i skontaktujemy się później”. Skąd ja to znam? Czy zawsze musi być tak ciężko? Najwidoczniej tak. Ilekroć byłam w większym mieście, rajy antykwariatów i sezonowych pchlich targów, nie omieszkałam tam zaglądać. Zawsze w celu oglądania oraz zakupu starej biżuterii. Gdy nie było mnie stać, co zdarzało się dosyć często, oglądałam to pieczołowicie i odzwierciedlałam w swoich pracach.

Tak naprawdę szłam tam zawsze w jednym celu... szukałam broszki mojej praprababci, a potem babci. Broszki, która miała przynosić szczęście w miłości wszystkim

kobietom z rodu Jauernigów. Zawsze w duchu miałam nadzieję, że po tym jak trafiła w niepowołane ręce, odnajdzie się, że czeka gdzieś, bym ją znalazła, że zaklęte w niej kamienie doprowadzą mnie do niej jak po jakimś dziwnym, tajnym szlaku. Nigdy nie przestanę tak myśleć i nigdy nie przestanę jej szukać.

Teraz jednak pozostaje mi patrzeć na nią, jak umieszczona na szyi praprababki Marii rzuca swój urok z wyblakłego już zdjęcia. Na szczęście żyjemy w czasach cyfryzacji i mogę patrzeć na zdjęcie, powiększając je maksymalnie, patrzeć na delikatny, skrywany nieśmiało uśmiech praprababki z małą Irenką u boku, córką Zofią oraz Emilem – ukochanym mężem. To zdjęcie wzbudza we mnie czułość. Szczęśliwa praprababka Maria oraz nieszczęśliwa prababka Zofia, co wyraźnie widać w jej zawsze smutnych oczach.

Pewnego dnia usiadłam przy portretowym zdjęciu Marii, na którym ma przypiętą do żabotu broszę. Poprosiłam mamę, by usiadła ze mną w celu naszkicowania jak najbardziej prawdziwego oblicza klejnotu. Mama pamięta broszę jeszcze dobrze. Jej matka Irena na każdą rocznicę ślubu wpinała ją w kołnierz bluzki. Dostała ją w dniu ślubu od swej ukochanej babki.

Nie wiadomo, co miała do końca symbolizować, czy jej rozsądną miłość do męża Kazimierza, czy był to bardziej symbol utraconej miłości do Jana. Trudno stwierdzić, ale babcia dopiero na łożu śmierci głośno wspominała Jana. Może ta przypięta blisko serca brosza wiedziałaby więcej na

ten temat?

Zabrałam się do szkicowania, obrałam owalny kształt jak na zdjęciu. Niestety, szczegóły nie były zbyt widoczne. Musiałam zdać się na mamę. Ona mówiła, opowiadała z przymkniętymi oczami, jakby próbowała przypomnieć ją sobie, jakby miała poczuć jej ciężar i fakturę. A była ciężka. Brosza miała wagę około 40 do 50 g złota, średnicę siedmiu centymetrów. Mój ołówek pracował zapamiętale, kreśląc kształty, nadając blask przedmiotowi, który miał się za chwilę wyłonić. Owal przecinało leciutkie pęknięcie symbolizujące gałązkę wiśni lub jabłoni. Mamie zawsze przypominało to wiśnię. Nie wiadomo dlaczego. Może dlatego, że brosza kojarzyła się, i słusznie, z czymś starym, miała w końcu swoją długą historię, a jednocześnie z czymś tak ulotnym, jak tylko ulotny może być przedmiot. Wystarczy go zagubić, stracić z oczu i już nigdy nie odnaleźć.

W Japonii kwiat wiśni jest powszechnie wykorzystywaną metaforą ulotnej natury życia i w sztuce japońskiej uchodzi za najpopularniejszy z motywów.

Podczas drugiej wojny światowej krzew wiśni był symbolem motywującym społeczeństwo japońskie. Japońscy piloci malowali je na swoich samolotach przed podjęciem misji. Kwiat wiśni na bokach bombowca symbolizował piękno i ulotność natury. Rząd zachęcał ludzi do wiary w to, że dusze poległych odrodzą się w kwiatach.

W taki oto symboliczny sposób nasza brosza miała również odrodzić się jako nowe piękno, lecz ze starą duszą. Szkicowanie dobiegało końca. Brosza wyglądała okazale

w skali 1:1. Gałąź wiśni wysadzana czterema rubinami różnej wielkości blisko gałązki, a pomiędzy nimi trzy maleńkie brylanciki dające złudzenie jeszcze większej różowości tychże rubinów. Tak, tylko kto to wykona? To odpowiedzialne zadanie, do tego wymagające wielkiej ilości złota, szlachetnych kamieni oraz wprawnej ręki do wykonania nietuzinkowej, niesztampowej roboty.

Zamknęłam szkicownik, wino z kieliszków zostało dopite, teczka zamknięta. I jak to mawiała Scarlett O'Hara: „Pomyślę o tym jutro”. Ja też tak postanowiłam. Wiem jedno, nigdy nie przestanę szukać oryginału, odwiedzę wszystkie miejsca, aukcje internetowe, aż będę miała pewność, że zrobiłam wszystko, co tylko się dało.

Następnego dnia wsiadłam w mój nie pierwszej młodości samochód i udałam się do kolejnej firmy produkującej biżuterię. Jest to firma, w której pracowała podczas przerwy wakacyjnej na studiach moja mama. Dostała tam pracę, choć nie wspomina tego okresu jako najlepszego w jej życiu. Mama zajmowała się rozliczaniem złota i srebra. Do pracy musiała przejeżdżać przez cały Poznań, już wtedy mieszkała z babcią Ireną w Poznaniu. Zajmowało to całą godzinę, podczas której najczęściej dosypiała, ponieważ jechała od pierwszej pętli tramwajowej do ostatniej. Szef nie był szczególnie wyrozumiały. Nie tolerował żadnego spóźnienia ani słabości. Miałam nadzieję, że od tamtego czasu pan Nowicki nie jest już dyrektorem.

Postanowiłam mimo wszystko pójść śladami mamy i zapukać do kolejnych drzwi. Wielkie było moje szczęście,

gdy okazało się, że nowy dyrektor liczy sobie około czterdziestu lat, jest prężny i kreatywny, czego dowiódł podczas rozmowy.

- Patryk Silski - przedstawił się, podając dłoń, i od razu przeszedł do przeglądania teczek. Oglądając moje projekty, uznał je chyba za interesujące.

- Nawet bardzo interesujące - toczył monolog pod nosem, przewracając kolejne strony. - Musi pani wiedzieć, że nasza firma nie jest w dobrej kondycji. Czasy są ciężkie dla branży złotniczej - kontynuował. - Firmy jubilerskie powstają jak grzyby po deszczu. Jest coraz ciężiej i może nas uratować tylko coś, czego nie ma nikt. Poszukiwałem kogoś, kto zaproponuje mi coś nowego, spojrz okiem miłośnika, kogoś, kto nie będzie rzemieślnikiem, a szczerze ukocha sobie te kruszce.

- Myślę, że taka osoba stoi właśnie przed panem. - Zdobyłam się na odwagę i pewność siebie.

- A to co? - zapytał.

Pochyliłam się nad nim i nad teczką.

- Ach to, przepraszam - rzekłam. - To mój prywatny projekt, nie wlicza się do reszty obrazów.

Patrzyliśmy teraz oboje na ledwo wczoraj narysowaną broszę, którą wetknęłam na koniec teczek, zapomniawszy wyjąć jej rano.

- Może mi pani coś o tym powiedzieć?

- No więc... - Nie wiedziałam, co począć, bo w sumie dlaczego mam zdradzać historię broszy temu obcemu facetowi? Owszem, miłemu i życzliwemu, lecz jednak

obcemu.

- ... no... jest to zaginiona brosza mojej praprababki Marii. Odtworzyłam ją na podstawie zdjęcia oraz opowiadania mamy.

I tak opowiedziałam obcemu człowiekowi skróconą historię broszy, która urzekła go jak mało co w ostatnim czasie. Tak mi przynajmniej powiedział. Powiedział również, że jest pasjonatem historii rodzinnej i także dba o pamiątki po swoim dziadku prawniku i jego żonie. Rozmowa zeszła troszkę na boczny tor.

- Pani Adrianno, chciałbym zaproponować pani współpracę i wdrożyć do produkcji kilka z pani projektów. Należy tylko do tych pierścieni - tu wskazał na konkretne projekty - narysować wersję dla naszyjnika oraz kolczyków. Mamy klientów, którzy kochają komplety, i musimy im je zapewnić.

- Bardzo się cieszę i dziękuję za zaufanie - odpowiedziałam, próbując nie skakać pod sufit z radość. - W przyszłym tygodniu będą gotowe.

- Jesteśmy więc umówieni. Mam dla pani jednak jeszcze jedną propozycję. - Zabrzmiało to tajemniczo i obiecująco zarazem. - Jeżeli nasza współpraca przyniesie oczekiwane rezultaty i podniesie obroty firmy za sprawą pani biżuterii, co da się oszacować po roku, wykonamy dla pani reprodukcję broszy w cenie iście produkcyjnej, bez zysku.

No i teraz nie mogłam się już powstrzymać. Tyle emocji na wodzy to ja utrzymać nie umiem. Stało się, uściskałam go, co nie wypadło zbyt profesjonalnie, ale chyba zrozumiał, że



to dla mnie jeden z celów w życiu.

Pożegnaliśmy się już bardziej oficjalnie, ale mijając biurko sekretarki, widziałam, że zerka na mnie i na moje wypieki na twarzy. Jeszcze pomyśli Bóg wie co! No trudno. Jestem szczęśliwa. Wracając do samochodu, miałam wrażenie, że frunę, unoszę się pięć metrów nad ziemią. Czułam, że szczęście mi sprzyja. Współpraca z Juwelią rozpoczęta! Wprawdzie zanim dojdzie do produkcji, minie trochę czasu, należy przygotować formy, technologie i tym podobne rzeczy, na których się nie znam, ale wiem, że w najbliższym czasie moje produkty znajdą się w witrynach sklepowych. Czy można chcieć więcej? Pewnie tak... broszy. Może czegoś jeszcze...

Wracając, nie mogłam przestać myśleć o tym spotkaniu, o tej rozmowie. A może o tym mężczyźnie? Sama zadawałam sobie to pytanie. Dyrektor, około czterdziestki, bardziej przybliższym poznaniu trzydziestopięcioletni niż czterdziestoletni, niewysoki, szczupły, o wysportowanej sylwetce osiemnastolatka. Ciemne włosy i wysokie czoło symbolizujące mądrość i ani grama zarostu. Coś mnie w nim pociągało. Delikatne dłonie można było wyczuć przy przywitaniu i pożegnaniu.

Czy to miejsce ma dla mnie jakieś magiczne i decydujące znaczenie?

## Rozdział 7. | Rozwój...

Pani Gertruda Poszwińska przybyła do Pniew w latach pięćdziesiątych w pogoni za miłością. Wcześniej wykładała lekcje muzyki w Państwowej Szkole Muzycznej w Poznaniu od momentu, gdy jej kariera muzyczna skończyła się wraz z utratą głosu spowodowaną polipami na strunach głosowych. Nie mogła jednocześnie akompaniować sobie i śpiewać w teatrze muzycznym, w którym podjęła pracę po studiach jako młodziutka, dobrze rokująca śpiewaczka. W teatrze spędziła około pięciu lat, po czym zatrudniła się w szkole muzycznej jako nauczycielka gry na pianinie, w tej samej zresztą, którą sama ukończyła. Tym milej w tej goryczy było jej tam wrócić. Pracowała tam niewiele więcej niż sześć lat, gdy na jej drodze stanął pan Mieczysław.

Pan Mieczysław przyjechał do Teatru Muzycznego w Poznaniu. Los chciał, że i pani Gertruda wybrała się na ten sam spektakl. W dziale kulturalnym był wykaz wszystkich poznańskich teatrów. Dlaczego wybrał Teatr Muzyczny, nie wiadomo. Może los tak po prostu chciał... Może miał spotkać Gertrudę...

Ona zaś wybrała ten teatr z sentymentu, chciała jeszcze raz poczuć zapach sceny, unoszącego się z niej kurzu,

usłyszeć szum spuszczonej kurtyny. Usiadła w najwyższej łoży po to, by móc ukradkiem ocierać łzę, która spływała z żalu za utraconą sceną. On również usiadł wysoko, niestety, z całkiem innego powodu. Łoża najwyższa, zwana jaskółką, była najtańsza.

Usiedli blisko siebie - dwóch jeszcze młodych ludzi, szukających wrażeń w sztuce, a odnajdujących je w realiach. Spoglądał na nią ukradkiem, ona na niego. W przerwie między scenami zagadnął do niej nieśmiało. Odpowiedziała mu. Może czuła, że powinna, że wiąże się z tym coś więcej. Okazało się, że pan Mieczysław pochodzi z Pniew, a przybył tu w rocznicę śmierci swojej żony. Postanowił bowiem, że chce zrobić coś, czego jeszcze nigdy nie robił. Nie bywał w teatrze, nie wyjeżdżał poza rodzinne miasteczko, a chciał, czuł, że w jego życiu musi nastąpić przełom po czasie pełnym smutku i żałoby. Jakby tak spojrzeć na tę sytuację, to można by rzec, że połączył ich smutek i żal. Może to i dobre podstawy? Jak się później okaże - dobre.

Od tamtego spotkania widywali się raz w miesiącu. On przyjeżdżał autobusem, ona witała go na dworcu. Przy piątym wizycie postanowili coś z tym zrobić, zwłaszcza że ona już nie umiała myśleć o niczym innym jak o wspólnym uczuciu, a on nie potrafił skupić się na pracy w młynie.

- Czy ja zdobędę tam uczniów na tej prowincji? Czy ktoś tam kocha muzykę? - wypytywała Mieczysława strapiona. - Bo bez tego żyć nie umiem. Z czego się utrzymamy, mój drogi?

- Nie zamartwiaj się, ptaszyno. W miasteczku są

doktorostwa z dziećmi, dziewczynkami i chłopcami, na pewno ucieszą się z twojego przybycia. W miasteczku brakuje takich artystów jak ty.

Pobrali się i zamieszkali w Pniewach, gdzie Gertruda odnalazła się bez problemu, a z czasem udzielała lekcji gry na pianinie oraz lekcji śpiewu w szkole. Jak się okazało, pan Mieczysław się nie mylił.

Grażynka pobierała lekcje już piąty rok. Bardzo lubiła tę mądrą i skuteczną w nauczaniu panią, w zasadzie zaprzyjaźniła się z nią. Nie można oczywiście powiedzieć, że dzięki tej zażyłości coś Grażynce uchodziło na sucho. Ćwiczyła zapamiętane gamy, aż bolały ją całe dłonie i paluszki. Po latach jednak mogła pochwalić się pierwszymi, małymi, domowymi koncertami.

- Graj, Grażynko, graj - mawiał ojciec, gdy umęczony ciężką pracą wracał do domu. A ona mu grała tak pięknie, jak tylko potrafiła, i nawet gdy zdarzył się mały błąd, ojciec udawał, że wcale nic nie zauważył, w odróżnieniu oczywiście od wymagającej Ireny. Tylko tatko i Mimcia mogliby słuchać jej koncertów dzień i noc i nawet gdy repertuar się już kończył, mogłaby to samo grać od początku.

Tego wieczoru Kazimierz znowu słuchał Grażynki. Bardzo źle wyglądał. Grażynka znad klawiszy zerknęła kątem oka na ojca. Czuła, że coś jest nie tak. Ojciec nigdy nie był taki blady, ma z natury ciemną karnację, opaloną dodatkowo letnim słońcem. Wstała od pianina i podeszła do niego, wtulając głowę w jego spracowane dłonie. Zawsze tak robiła, odkąd tylko postawiła pierwsze kroczki.

- Tatku, czy ty się na pewno dobrze czujesz? Taki jesteś słaby jak te twoje chore zwierzęta.

- Wiesz, córeńko, spadłem dziś z motocykla.

Kupił motocykl, by szybciej poruszać się po tych wąskich leśnych drogach, które prowadzą do małych gospodarstw.

- Uderzyłem się w plecy. Nie martw się, ja żyć będę do stu lat. - Uśmiechnął się, uspokajając ją odrobinę.

- Dobranoc, tatku. Jutro zagram ci coś wesołego.

Obudził ją rumor na parterze. Hałasy, krzątania, ale nie taka jak zawsze. Zbiegła w pośpiechu na dół. Zobaczyła tylko karetkę i doktora Krzepińskiego, który zabierał ojca do poznańskiego szpitala. Myślała, że jednocześnie zemdleje, upadnie, będzie krzyczeć i płakać. Może i tak było, poza zemdleniem oczywiście.

Kazimierz spędził w szpitalu trzy dni, na dłuższą rekonwalescencję się po prostu nie zgodził. Okazało się, że ma obitą poważnie nerkę. Nie robił sobie z tego zupełnie nic. Nie wiedzieć czemu, zignorował ten fakt. Wrócił do normalnych obowiązków, od czasu do czasu kurcząc się z bólu. Prawdopodobnie nie chciał nikogo martwić, lecz dociekliwa Irena podczas jej coczwartkowych spotkań brydżowych zagadnęła doktora Krzepińskiego o stan zdrowia Kazimierza. To, co usłyszała, nie napawało optymizmem.

„Dlaczego musiało stać się to teraz?” - pomyślała.

Od kilku lat wszystko układało się dobrze, Grażynka była ich pociechą, uczyła się pilnie, była zaradna i pracowita. Danusia posiadała pasję rysowania i była wybitna w nauce, planowała iść na medycynę.

Miasteczko rozrosło się, przybyło kilka zacniejszych rodzin. Może kilka to zbyt duże słowo, dwie raptem, ale zawsze coś. Z państwem Krzepińskimi poznała się, gdy Danusia zachorowała na zapalenie oskrzeli i pomoc lekarza była niezbędna. Od samego początku dobrze się z nimi rozumiała, nie dziwili się jej kapeluszom i rękawiczkom. Grywali w brydża, panowie popijali koniak sprowadzany z miasta, a panie zieloną, zdrowotną herbatkę. Te czwartki, odkąd na nie chodziła, były jej motorem do życia. Nareszcie jakieś towarzystwo, można się było elegancko ubrać, zakładając choć troszkę rodowej biżuterii, i nikomu nie było to nie w smak.

- Dlaczego, dlaczego teraz? - Zapłakała.

Zygmunt Krzepiński objął ją ramieniem w nadziei pocieszenia.

- Nie załamuj się, Irenko! Pamiętaj, on jest lekarzem i wie, co jest dla niego dobre, będzie wiedział, jak postępować z chorobą. - To uspokoiło ją nieco. Wieczór zakończył się miło, lecz Irenka nie odzyskała spokoju. Wróciła do domu, nie zdradzając tego, co już wie. Tego, że być może wyrok został już spisany, że możliwym jest, iż nic tego nie zmieni.

Dni mijały. Kazimierz pracował jak oszalały, jakby łapał każdą chwilę, w której może być komuś potrzebny, w której może jeszcze jak najwięcej zarobić dla rodziny. Oczywiście polowania i fotografowanie kaczek, zwłaszcza w towarzystwie Grażynki, stały się już tradycją i każdej soboty, gdy pracy było mniej, w deszcz czy w pogodę,

odbywali te swoje eskapady.

Hodowla lisów stawała się coraz mniej opłacalna, przemysł tekstylny rozwijał się na skalę przemysłową, tkaniny były niedrogie i dostępne dla niewybrednych klientów. Pojawiały się także pierwsze sztuczne futra, takie paskudne imitacje tych pięknych, szykownych dzieł natury. Cóż, hodowla musiała zakończyć swe istnienie. Klatki spalono w piecach, a i pracy zrobiło się mniej. Na szczęście zasoby złota zostały skutecznie odbudowane i będą zabezpieczeniem dla rodziny. Wiedział o tym Kazimierz i czuł się dzięki temu trochę spokojniejszy.

Mimcia tryskała zdrowiem, czasami zadziwiała to wszystkich.

- Marysia, ona żyć będzie do setki - mawiała Irena, może i z jakimś ukrytym żalem.

Codziennie po spełnionych obowiązkach wracała do siebie, do nieogrzewanego pokoiku na piętrze. Nigdy nie było jej źle, niczego nie potrzebowała. Mimcia była zagorzałą abnegatką. Zabierała ze sobą kota o imieniu Jaskra. To imię nadała mu pewnie z powodu jednego chorego oczka, a przy tym mawiała, że słowo „Jaskra” kojarzy jej się z iskrą, a iskra - z energią. Widocznie wierzyła i zabierała sobie trochę tej jaskrowo-iskrowej energii do swojego łóżka.

Tak kot, jeden z wielu Grażynkowych, spędzał noce pod wielką pierzyną wypełnioną po brzegi puchem. Prezent od Ireny. Przed snem ściągała z siebie pończochy przytrzymywane gumami od słoików. To dziw, że krew w tych nogach krążyła jak należy. Nikt nie znał tych

Mimciowych tajemnic, żeby nie rzec - dziwactw. Nikt poza Grażynką, która mogła przekraczać próg jej pokoju, kiedy tylko chciała. Dziewczynka nie dziwiła się nigdy niczemu, jak na przykład temu, że włosy Mima myje tylko trzy razy do roku. Nie wiadomo, jakim cudem były czyste i gęste jak u mało której kobiety. Jakies samooczyszczanie czy co? Trudno stwierdzić. Miała też Mima na swoim stole górę, wielką górę jednogroszówek, które skrupulatnie podbierała pani z każdego zakupu. Zbierała je jak relikwie. Po tylu latach nazbierała całkiem znaczną sumkę. Nigdy nic sobie nie kupowała. Całą pensję odkładała i kupowała za nią złoto. Nie musiała wprawdzie kupować jedzenia, bo tak zwany wikt i opierunek miała u państwa Czelných. Była dla siebie surowa, skąpa czy może faktycznie nie dostrzegała żadnych potrzeb ni przyjemności. Kupowała tylko cukierki.

- Grażynko, chcesz cukierka? - Częstowała Grażynkę najtańszymi kolorowymi dropsami zapakowanymi w szary papier przyklejony do każdej sztuki. Mała nigdy, ani w dzieciństwie, ani jak się okaże, w przyszłości, nie okazywała jakiegokolwiek wyższości nad innymi. Jadła te dropsy, choć czuła, że szary papier przykleja jej się do zębów.

- Pyszne, Mimciu, pyszne - zawsze mówiła.

- Grażynko, mam do ciebie prośbę - zaczęła pewnego ranka.

Grażynka, zachodząc w głowę, myślała szybko, czegoż też Mimcia może od niej oczekiwać.

- Od kilku dni bardzo boli mnie ząb. Ziola nie pomagają.



Boję się bardzo dentysty. - W jej oczach widać było prawdziwy strach. - Pójdiesz ze mną do przychodni?

Stomatolog przyjeżdżał do przychodni co drugi tydzień, w piątki. Mimcia włożyła palto, które niedawno otrzymała od Ireny, buty, zaciesała swe gęste włosy. Umyła nawet zęby. Wyruszyły, całą drogę nic do siebie nie mówiąc. Grażynka nie chciała rozpraszać tak bardzo skupionej niani, a niania tak bardzo poważnej Grażynki.

- Maria Mika! - zawołano leniwie z gabinetu.

Strach Mimci osiągnął apogeum. Nie ruszyła się z miejsca. Powtórzono nazwisko.

- Mimciu, to ciebie wołają. - Poszturchiwała ją. - Idź proszę!

„Lepiej niech ta mała wejdzie z tą babką i będzie spokój” - pomyślała pielęgniarka.

Mimcia zasiadła na fotelu. Była biała, bielsza niż te przybrudzone ściany gabinetu.

- Takiego przypadku jeszcze nie widziałam - powiedziała z kpina dentystka. - Żeby dziecko pocieszało dorosłego, zawsze to dzieci tutaj płaczą.

Zabrała się do wyrywania. Mima zamknęła oczy, by nic nie widzieć. Trzymała mocno Grażynkę za rękę, jakby ta więź miała dodać jej odwagi. Prawdopodobnie dodała. Znieczulenia były wtedy kiepskiej jakości i w momencie rwania Grażynka czuła, jak Mimcia zgniata jej wszystkie kosteczki w dłoni.

Wyszły po dziesięciu minutach, opuściły budynek i usiadły na ławce w parku.

- Widzisz, Mimciu, wszystko było dobrze. Nie było tak źle - wnioskowałam.

- Grażynko - mówiła Mimcia z buzią pełną waty - bez ciebie nigdy tam nie wrócę. Nigdy!

I tak ich silna i odważna Mimcia miała swój słaby punkt, mianowicie dentystę, ale miała też i mocny - Grażynkę.

Zbliżała się jesień. Żółte liście opadły. Zaścieliły całą powierzchnię sadu. Zrobiło się ponuro i szaro. Ostatnimi tygodniami Irena ciągle odczuwała smutek. Patrzyła w okno, w dal, nie wiedziała, czego może oczekiwać. Nadszedł list ze Strzyżowa. Kuzyn Antoni donosił, że babka zaniemogła i możliwym jest, że już z tego stanu nie wyjdzie. Dziadek Emil siedział przy niej, nie ruszając się z miejsca, karmiąc ją, zabraniając zbliżać się do niej komukolwiek poza lekarzem. „Uważam, że powinnaś, Irenko, babkę odwiedzić - pisał Antoni. - Może nie dożyć zimy”.

„Śmierć, znowu śmierć. Dlaczego zawsze pojawia się tak niespodziewanie. Kto będzie kolejny?” - pomyślała Irena.

Owszem, zdawała sobie sprawę, że babka dożyła pięknego wieku, lecz nigdy nie dopuszczała myśli, że w końcu odejdzie. Czytała kiedyś, że śmierć przychodzi trójkami. Dlaczego trójkami? Tego jej nikt nie wyjaśnił.

Bała się tam wracać. Bała się zastać smutek. Miała go już dosyć, od kilkunastu tygodni martwiła się o Kazimierza, nie wyglądał dobrze, choć nie przyznawał się do tego.

No cóż, trzeba było zebrać się i pojechać w rodzinne strony.

Mimcia spakowała walizki, niewielkie, jak to przystało na

krótki pobyt. Drobny prowiant na drogę i pewnego rana wyruszyli z Kazimierzem pożegnać się z babką, która tak naprawdę była dla niej niczym matka. Mieli do pokonania sześćset kilometrów. Pierwszym etapem była droga samochodem do Poznania, następnie do Strzyżowa pociągiem. Podróż pociągiem była długa i męcząca. Wysiedli na małym dworcu strzyżowskim, gdzie oczekiwał ich Antoni. Błada Irena podpierała się na ramieniu Kazimierza. Choć była już dojrzałą kobietą, bała się jak dziecko.

Modrzewiowy domek nie zmienił się wiele. Był nieco zniszczony, jak wspomniał kiedyś w liście Antoni. Okiennice powinny być pomalowane, taras odświeżony. Czas z niczym nie obchodzi się delikatnie.

Weszli do środka. Podano herbatę i ciasteczka, lecz nikt pomimo trudu podróży nie miał chęci na żaden posiłek. Wnuczka chciała jak najszybciej zobaczyć babcię.

Weszła do sypialni Marii. Przy niej oczywiście trwał dziadek.

„Niesamowite, jak bardzo posunął się w czasie” – pomyślała.

Przywitała się z nim i pochylając się nad łóżkiem, ucałowała babcię. Łzy płynęły jej po policzku. Kazimierz z szacunkiem stał przy brzegu łóżka i obserwował tę jakże smutną scenę.

- Dobrze, że przyjechałaś, Irenko - odezwała się swym już słabym głosem. - Czekałam już tylko na ciebie. Matka twoja, Zofia, pisała, że nie przyjedzie. Musiałaby pokonać siedemset kilometrów z Sopotu, to trudne. - Usprawiedliwiła

córkę.

„Tak, matka znowu nie zachowa się odpowiednio” – pomyślała Irenka.

- Pięknie wyglądasz, kochanie, małżeństwo z Kazimierzem dobrze ci służy – rzekła Maria, jakby miała sama siebie przekonać, że lata temu podjęła słuszną decyzję, namawiając wnuczkę do tego zamążpójścia. Nie myliła się w zasadzie, choć to nie była i nie jest miłość, o jakiej wówczas marzyła panna Ostrowska. Potwierdziła to skinieniem głowy, by dać babce ten spokój. Wyglądała bardzo źle, z bladą twarzą, wychudzonym ciałem. Tylko te ukochane kąciki ust pomimo tego cierpienia uniesione były ku górze. To niesamowite zjawisko. Lekarz orzekł, że to ciężka niewydolność płuc i że nic zrobić się już nie da.

Wizyta w sypialni nie trwała długo. Maria, słaba, usnęła po kilku minutach, trzymając drobną dłoń Irenki w swojej słabiutkiej, jeszcze drobniejszej.

Opuścili pomieszczenie. Dziadek Emil wyszedł za nimi. Podano obiad, do którego zasiedli w smutku.

- Irenko, twoja babka postanowiła coś ci dać. Niewiele tego już zostało, ponieważ większość naszego złota spożytkowaliśmy na remonty domu oraz na opiekę nad nami, mimo to zostały wszystkie monety. Te, które odjeżdżając, prosiłaś, by pozostały u nas na przechowaniu. Te, które dostawałaś każdego roku na urodziny. Należą do ciebie oraz to, co pozostało po nas – powiedział i ze spokojem podał jej sakiewkę.

Tak, monety... Każdego roku w swoje urodziny, w letni

poranek znajdowała na nocnym stoliku jedną monetę mieniającą się w porannym słońcu. Babcia robiła jej taki prezent, wiedząc i przewidując, że to będzie jej posag. Zawsze wymienialny na pieniądze.

Maria nie obudziła się już tego wieczoru. Zasnęła na zawsze. W domu zapanował smutek. Dziadek Emil nie odzywał się do nikogo. Siedział przy łóżku, trzymając ukochaną żonę za rękę. Wszystkim zajął się Kazimierz z kuzynem Antonim. Po południu pojawiły się kobiety, które przyszykowały panią Jauernig do pochówku. Ubrana była wytwornie, jak zawsze. Wszyscy będą ją pamiętać jako kobietę uczciwą, dobrą i szlachetną. Spoczywała w domu do następnego dnia. Dziadek nie opuszczał jej nawet na moment. Wiedział, że to ostatnie chwile, które przy niej spędza.

W dzień pogrzebu wyjrzało piękne słońce, jakby chciało swoimi promieniami odprowadzić sędziwą mieszkankę na miejsce jej spoczynku, a pozostałym dać nadzieję i wiarę w to, że zmierza ona ku lepszemu, nowemu życiu.

Szli tak w kondukcje żałobnym w smutku, z pochylonymi głowami i stali tak, aż ostatnia garść ziemi nie spoczęła na jej mogile. Składano kondolencje. Wszyscy szanowani mieszkańcy, wszyscy, którzy znali Marię z domu Spiegel.

- Moje kondolencje, Ireno...

„To niemożliwe. Tylko nie to” - pomyślała. Uniosła głowę. Jej dłoń spoczywała w dłoni Jana Konieczkowskiego. Łzy popłynęły szerszym strumieniem, mimo że obok stał Kazimierz. Nie mogła tego powstrzymać. Nie spodziewała się

go zobaczyć. Nie teraz. Nigdy! I choć przeszło jej to przez myśl jeszcze w pociągu, uspokajała się, że to niemożliwe, że na pewno wyjechał ze Strzyżowa.

Nie odpowiedziała nic poza grzecznym skinieniem głowy. Cóż miałyby mu powiedzieć? Chyba tylko „przykro mi”.

Wyglądał wspaniale, właściwie nie zmienił się wcale, może tylko ten smutek w oczach. Odwrócił się i odszedł. To był ostatni raz, kiedy go widziała. Już nigdy w późniejszym życiu go nie spotkała, bo i gdzie? Wielkopolska była daleko. Zbyt daleko, a w Strzyżowie była jeszcze tylko raz, na pogrzebie dziadka, rok później. Jan Konieczkowski nie złożył kondolencji. Nie było go już. Czowała ulgę i zarazem smutek.

Powrót do Pniew trochę poprawił jej humor. Dziewczynki stęskniły się za nimi, na pocieszenie Grażynka zagrała kilka utworów na pianinie, a Danusia szkicowała siedzących blisko siebie rodziców. Mimcia podała smaczną kolację i tak około północy dorosła część domostwa poszła spać.

Irenka długo nie mogła zasnąć. Nachodziły ją czarne myśli. Skąd się brały? Smutek po pogrzebie babki, brak możliwości zobaczenia się z matką, która nie zjawiała się na pogrzebie, oraz spotkanie z Janem wywołały w niej burzę rozterek.

- Zadałaś komuś przykrość. Cierpi do dziś. Będiesz trapić się tym do śmierci. Nie będziesz szczęśliwa - powiedziała do niej stara Cyganka, spoglądając na wewnętrzną część jej ręki. Tego akurat dnia Irenka nie wzięła z roztargnienia swoich rękawiczek, które zakryłyby oblicze jej duszy odzwierciedlone na dłoni.

Przypomniała sobie tabor przejeżdżający przez Pniewy. Składał się z trzech „wagonów”, tak zawsze kojarzył się Irence ten ruchomy punkt mieszkalny. W skład tego taboru wchodził członkowie kilku rodzin, co było zwyczajowo przyjęte. Ponieważ czasy dla nich zrobiły się trudne, zachodzili do miasteczek mijanych po drodze tylko na chwilę, by ukradkiem uzupełnić zapasy żywności. W miasteczkach panował wówczas popłoch, ludzie obawiali się o swoje niewielkie, ale jednak dobytki. Znikały wtedy rzeczy pierwszej potrzeby, jak garnki, bielizna wywieszona na linkach, a nawet owoce z drzew.

Pierwsze świadectwo obecności Romów w Polsce pochodzi z 1401 roku. W okresie międzywojennym Polskę zamieszkiwało ich około trzydziestu tysięcy. Większość wędrowała taborami, wielu jednak prowadziło osiadły tryb życia, głównie w Małopolsce, i tam pierwszy raz zobaczyła ich Irena, omijając szerokim łukiem z obawy o kradzież i zaczepki. W latach drugiej wojny światowej na ziemiach polskich miała miejsce masowa eksterminacja Romów przez III Rzeszę, nazwana przez samych Romów *porrajmos*, czyli zniszczenie.

Po wojnie władze podjęły działania mające na celu tak zwaną produktywizację Romów i nakłonienie ich do osiedlenia się. W 1950 roku została wydana instrukcja rejestracji ludności cygańskiej, a w 1952 Prezydium Rządu podjęło uchwałę w sprawie pomocy ludności cygańskiej przy przechodzeniu na osiadły tryb życia. Od 1964 zostały nasilone działania utrudniające Romom wędrowanie przez

ostre egzekwowanie wobec nich ogólnie obowiązujących przepisów, głównie meldunkowych, sanitarnych, drogowych, a także dotyczących obowiązku szkolnego. W rezultacie liczba rodzin koczujących spadła z tysiąca stu czterdziestu sześciu w 1964 roku do nieco ponad dwustu w roku 1970. W 1976 wędrowało już tylko kilka taborów. Liczba mieszkających w Polsce Romów zmalała po 1989 w wyniku emigracji, przede wszystkim do krajów Europy Zachodniej i Północnej. Dziś, podobnie jak wcześniej, rozbitcie na wiele grup i liczne antagonizmy nie sprzyjają działaniom romskich elit w obronie praw obywatelskich i etnicznych.

Po tym, co usłyszała, wracała z zakupów bardzo zdruzgotana. Dobrze wiedziała, kogo Cyganka ma na myśli. „Jak ona śmiała coś takiego powiedzieć? Jak śmiała wyrwać mi dłoń i wziąć ją w swe nieczyste palce?” – myślała. Nie mogła zrozumieć sytuacji, która się wydarzyła.

Gdy była dziewczynką, omijała ich skutecznie. Tego dnia uznała, że jest już dorosła, nie uchodzi uciekać przed nimi na drugą stronę ulicy. Zwłaszcza że to ona jest u siebie, a oni w obcym miejscu.

No cóż, stało się. Trzeba szybko wrócić do domu, zaparzyć kawy i zapomnieć.

- Szybciej, Marysiu, szybciej. - Poganiała gosposię, zapominając, że dźwiga ona ciężki koszyk, podążając za nią krok w krok.

Niestety, od tamtej pory nie mogła zapomnieć tej sytuacji, a tego wieczoru szczególnie nie mogła. Jakiś czas po tej wróżbie postanowiła rozeznaczyć się w tematyce



wróżbiarstwa. Był to temat, który nie uchodził pani doktorowej, bo jak mawiano, to „szarlataństwo” i „bzdury”, do tego potępiane przez Kościół. Musiała to zrobić bardzo dyskretnie.

Nie wiadomo do dzisiaj, jak to się stało i skąd Irena czerpała wiedzę na ten temat. Nie było przecież internetu ani książek tematycznych w zasięgu ręki. Dość wiedzieć, że wiedzę tę miała. Zapewne poszukiwała w tych kartach odpowiedzi na nurtujące ją tematy. Nikt z domowników nie dopytywał, co ona z tych kart układa, a zapytana zawsze odpowiadała, że stawia pasjansa w różnych odmianach. Kazimierz domyślał się prawdy, ale jako człowiek o dość nowoczesnych poglądach traktował to jak chwilowy kaprys i karcianą rozrywkę. Tylko Grażynka, siadając przy matce, dociekała, co oznaczają karty. Matka nieświadoma tego, że córka zechce zakodować akurat tego typu wiedzę, opowiadała o ich znaczeniu, jakby sama uświadamiając sobie zdobyte umiejętności.

Wstała z łóżka. Wiedziała, że nie uśnie. Zeszła do salonu i rozłożyła karty.

Najpierw „na dom”. Rozkładała zgrabnie i dość szybko. Czuła chłód, który przeszywał jej ciało. Zawsze czuła strach, gdy je rozkładała. To czwartkowa noc, najlepsza na wróżby.

„As karo z waletem pik... Niedobrze. Czy może być gorsza od tej, która dotyczyła śmierci babki?” – pomyślała.

Rozkładała dalej. „As karo i dziesiątka trefl. Wiadomość o chorobie i zmartwieniu. Tak, na pewno chodzi o Kaziczka” – zamartwiała się na dobre. Tak, karty uparcie jej pokazują,

że czas smutku dopiero nadchodzi.

Rozłożyła po raz ostatni. „As karo i dama karo. Nadzieja, może po smutku nastąpi coś dobrego. Tak, Kazimierz na pewno wyzdrowieje, przecież karty to mówią” – pomyślała i uspokoiła się nieco.

Spróbowała „na Jana”. Król karo i dziesiątka pik.

„Ciekawe... Czekaj go podróż. Dalej, król karo i dziesiątka kier oznaczają zakochanie oraz plany matrymonialne. Czyżby zakochał się jednak?” – pomyślała i poczuła ukłucie pod sercem. Jednak... Ostatnia konstelacja to dama karo wraz z waletem trefl. „Nadzieja na przyszłość. Tak, sprawy Jana może ułożą się jakoś, tak by było dobrze” – myślała. Czuła, że gdyby to, co pokazują karty, oznaczało prawdę, spałaby od dziś spokojnie. Nie straciła jednak swojego rozumu. Wiedziała, że karty to tylko karty, a jej umiejętności wróżbiarskie wcale nie muszą być doskonałe i pewnie takie nie są. Jednak skoro daje jej to jakąś ulgę, to dlaczego nie próbować...

Wróciła do sypialni. Kazimierz twardo spał, nie zauważył nawet jej nieobecności. Podeszła do niego, okryła kołdrą.

- Damy radę, Kaziczku, damy radę – powiedziała bardziej do siebie.

Położyła się na swojej części wielkiego drewnianego łóżka i zasnęła nieco uspokojona.

„Będziesz żyć dostatnio, lecz bez wzruszeń serca...” – zasypiając, słyszała jeszcze słowa Cyganki.

## Rozdział 8. | Współpraca

Po kilku tygodniach zaprojektowane przeze mnie produkty trafiły do dwóch firmowych sklepów w Poznaniu oraz kilku w większych miastach Polski. Muszę przyznać, że gdy zobaczyłam gotowy produkt, moje zaskoczenie było ogromne. Wyobraźnia dyktowała mi wprawdzie, jak będzie wyglądać produkt końcowy, bez niej nie dałoby się nic zaprojektować, lecz dotknąć go, przymierzyć, poczuć jego ciężar, to jest dopiero przeżycie. Cudowne!

Z wizytą do salonu mieszczącego się w samym Starym Rynku Poznania udał się ze mną sam dyrektor Patryk Silski. Rozmowa podczas jazdy do salonu początkowo się nie kleiła, czuliśmy oboje skrępowanie, nie widzieliśmy się kilka tygodni. Ani ja, ani on nie wiedzieliśmy, co się działo w naszych głowach. Ja zastanawiałam się, czy on zainteresował się mną jako kobietą.

Im bardziej zbliżaliśmy się do celu, tym było nam różniej i przyjemniej. Zajechaliśmy na miejsce. Po trudach związanych z brakiem miejsca do parkowania dotarliśmy do salonu. Otworzył przede mną ciężkie, drewniane drzwi. Weszłam. Przy ladzie stała młoda, śliczna ekspedientka z pięknymi, długimi, czarnymi włosami i nogami do samego

nieba.

„Tak, a ja głupia miałam nadzieję, że ja, blondynka średniego wzrostu, spodobam się takiemu mężczyźnie? Cóż, czas pogodzić się z rzeczywistością” – pomyślałam.

Na ladzie obok ślicznej panienki stał ogromny bukiet czerwonych róż. Pomyślałam, że wspaniale, że tak dbają o wizerunek sklepu. Z marketingowego punktu widzenia to powinno podnosić prestiż sklepu oraz jego wyjątkowość. Wiem coś o tym, bo w ramach rozwijania się od strony sprzedażowej postanowiłam zaocznie studiować zarządzanie i marketing.

„Tak... Pięknie w tym salonie, i w tym właśnie salonie jest biżuteria mojego projektu”.

Tymczasem Patryk, bo tak kazał się do siebie zwracać, wyjął bukiet z wazonu i wręczył go mnie. Nie wiedziałam, co się dzieje, o co chodzi...

- To na nową drogę życia – powiedział.

„Matko, czy on mi się oświadcza?” – pomyślałam. Mało nie zemdlałam.

- Zawodowego oczywiście – sprostował, czując moje skrępowanie i zaskoczenie zarazem.

Nie mogłam zrozumieć, jak on to wszystko skrupulatnie zorganizował. Musiał przecież zadzwonić do salonu i poprosić długonogą, by zakupiła najśliczniejsze kwiaty u tej kwiaciarki, która wystaje codziennie na rynku, w lecie opalając sobie twarz, a zimą odmrażając sobie członki, by sprzedać po jednej róży zakochanym. A ja dostałam ich chyba całe wiadro. Było ich około czterdziestu.

- Dziękuję. - Tylko na to było mnie stać. Miałam ochotę oświadczyć mu się tu i teraz. Tak pięknie wyglądał w tej swojej ciemnej koszuli, dobrze dopasowanych jeansach i drogich butach.

„Chyba zwariowałam. Niech się jeszcze wykaże, jak to mawiała babcia: »Mężczyzna musi dbać o kobietę, nie jednorazowo, lecz zawsze«. Tak, tak mawiała” - pomyślałam.

Wziął mnie za rękę i zaprowadził do witryny, w której znajdowały się przedmioty z moich szkiców. Wyglądały pięknie, tak cudnie mieniły się oświetlone. Kamienie i złoto zyskały jakby nowy odcień żółcieni... Muszę przyznać, byłam z siebie dumna. Pomyślałam, że warto wierzyć w marzenia, ale przede wszystkim należy spróbować zacząć je realizować.

Anna, czarna piękność, pożegnała się z nami z uczuciem zazdrości na twarzy. Czasami zastanawiam się, skąd tyle w ludziach zawiści i złych manier. Czy to jest domeną naszego społeczeństwa? Nie skupiałam się jednak na tym wątku dłużej, bo Patryk zabrał mnie na sushi.

Czułam się dość dziwnie... Wiem, jest XXI wiek, sushi to normalne jedzenie, lecz nie dla kogoś z małego miasteczka. Okazało się, że za nim przepadam, choć nie czułam się do końca komfortowo. Nie wiedziałam, jak się do niego zabrać, czy gryźć po kawałku, czy wcisnąć całe do ust. To było krępujące, ale postawiłam na szczerłość i przyznałam, że to mój pierwszy raz, jakkolwiek to zabrzmiało. Po raz kolejny w życiu okazało się, że prawda popłaca. Patryk wykazał zrozumienie, a nawet go to rozbawiło. Cierpliwie uczył mnie posługiwać się pałeczkami. Wywołało to w nas falę śmiechu

i rozbawienie. Pewnie moja babcia Irenka powiedziała by, że to nie jest zachowanie z klasą, by przyznać się do swoich nieudolności. Ona zapewne powiedziała by, że nie jest głodna. Lecz czas biegnie, obyczaje się zmieniają, ludzie puszczają wodze fantazji i są bardziej otwarci. Mnie i babcię dzieli w końcu całe jedno pokolenie, pokolenie mojej mamy. To bardzo dużo, a jednak chwilami chciałabym przenieść się w czasy mojej babci, te z młodości. Poczuć na sobie długie sukienki, zaczesane elegancko włosy... No, odpuściłabym może te kapelusze, w kapeluszu mi okropnie. Tak, czas biegnie...

- Ado, kolekcja od razu spotkała się z uznaniem. Sprzedaż wzrasta, zainteresowanie salonami to twoja zasługa. Opisała nas prasa branżowa i zastanawiam się, czy nie powinniśmy wystąpić na targach. Oczywiście pojawiłabyś się jako główny projektant kolekcji tego sezonu. - Przeszedł do spraw zawodowych.

- Nie wiem, czy zasłużyłam. A gdzie odbywać się mają te targi? - zapytałam.

- W Paryżu oczywiście.

„Paryż, miasto sztuki, miasto miłości, miasto wszystkiego” - pomyślałam.

Czy to możliwe, że spotyka mnie tyle łaski? Kolekcja biżuterii w salonach, zażyła znajomość z dyrektorem i do tego jeszcze służbowy wyjazd do Paryża - miasta mojego pradziadka.

Targi miały się odbyć na początku roku, czyli za jakieś trzy miesiące. Był więc czas na przygotowanie. Zaczęliśmy

omawiać, jak powinno wyglądać stoisko. zaproponowałam, że możemy zrobić z niego jakby pracownię. Na ściankach stoiska poprzyczepiane będą szkice i projekty, na stolikach rozrzućmy ołówki. Pootwierane komputery z oprogramowaniem do projektowania. Całość ma sprawiać wrażenie, jakby ktoś tu zaczął pracować i jeszcze nie skończył. Ma być czuć zapach do pracy, pasję oraz inność. Wiedziałam, że pomysł jest dość nietypowy, raczej nowatorski, bo teraz wszędzie tylko blichtr i luksus. Jak dla mnie jedno nie wyklucza drugiego.

Patryk słuchał i nic nie mówił, lecz ja dostałam słowotoku. Moja wyobraźnia ruszyła z kopyta, jak zawsze, gdy zaczynam projektować cokolwiek, począwszy od aranżacji mojego pokoju, skończywszy na biżuterii.

- Pośród tym artystycznym nieładem ustawione będą szklane gabloty wykładane szarą tkaniną przypominającą srebro. Pięknie będzie się komponowało ze złotem oraz szmaragdami. Gabloty w swej formie przypominać będą wyrastające z ziemi wieżowce, symbolizując wysokie aspiracje - kontynuowałam zapamiętałe.

Wyciągnęłam z torby mój szkicownik, z którym nigdy się nie rozstaję, i zaczęłam szkicować projekt aranżacji stoiska. Nie pytałam Patryka właściwie o zdanie.

Przyznaję, mam taką wadę, że gdy już jestem w swoim świecie, zdanie kogoś innego jest mi niepotrzebne. Póki dotyczy to moich projektów lub mojego życia, można to tolerować, lecz teraz mówiliśmy, a właściwie ja mówiłam, o projekcie, który dotyczył Juwelii, a nie mnie.

- Bez wątpienia, Adrianno, jesteś kobietą z pasją. Dobrze ocenilem cię na pierwszym spotkaniu. Ty i twoje projekty stanowicie jedność. Jesteś chyba najlepszą inwestycją, jaką poczynilem w swym niedługim dyrektorskim życiu - powiedział i patrzył mi głęboko w oczy.

- Przepraszam, zapędziłam się troszeczkę. Poniosła mnie fantazja. - Zawstydziałam się, ale jeszcze bardziej wystraszyło mnie, że moja wizja stoiska trafi prosto do kosza, a na odmowy i krytykę jestem dość słabo odporna. I to następna moja wada.

- Twój projekt jest oszałamiający jak dla mnie. Muszę jednak przedstawić go zarządowi, lecz sądzę, że zgodzą się bez mrugnięcia okiem. Jak długo bywam na targach, nie widziałem stoiska imitującego pracownię.

Nie pozostało mi nic innego, jak zejść na ziemię i wrócić do rzeczywistości. Zakończyliśmy rozmowy na tematy zawodowe i nasyceni zdrowym jedzeniem, które kosztowało niemało, wróciliśmy do samochodu. Odwiózł mnie na parking, na którym stał mój wysłużony malutki samochodek.

Po powrocie do domu i zdawkowym zdaniu relacji mamie położyłam się spać. Nie mogłam zasnąć oczywiście. Tak już chyba człowiek jest skonstruowany, że zbyt dużo szczęścia lub jego brak powodują bezsenność. Owszem, miałam ochotę zejść do mamy, by rozłożyła mi karty. W końcu był czwartek, a ona posiadała tę samą umiejętność, którą posiadała babcia Irena.



## Rozdział 9. | Czai się choroba...

Kazimierz pracował zapamiętałe jak zawsze. Nie okazywał żadnej słabości, choć widać było, że cierpi z każdym miesiącem bardziej. Stał się szczuplejszy i bledszy. O chorobie nikt nie mówił. Irena wiedziała, że guz jest skutkiem uderzenia podczas wypadku na motorze. Kazimierz, upadając, uderzył się w nerkę. Początkowo lekarze stwierdzili tylko obicie narządu. Z czasem okazało się, że to spowodowało rozwój choroby, z którą najtrudniej walczyć, której obawia się każdy. Po kilkunastu miesiącach postawiono Kazimierzowi diagnozę – nowotwór nerki. Irenka zasłabła, słysząc te słowa, Kazimierz stał i nic nie mówił.

„On wiedział, on na pewno to czuł. Przecież jest lekarzem” – pomyślała wtedy.

- Proponuję radioterapię – stwierdził lekarz.

Jego postawa jednak nie wróżyła nic pozytywnego, chyba sam nie wierzył w to, co mówił. Wyczuł to również Kazimierz, postanowił jednak spróbować.

Tydzień później pojechał do Poznania, do Wojewódzkiego Ośrodka Onkologicznego.

Położono go na oddział i zaaplikowano pierwszą dawkę naświetlania, które niszcząc zło, niszczyło również wszystko,

co dobre w organizmie. Czuł się okropnie, nie tylko fizycznie, lecz przede wszystkim psychicznie. W głowie miał pełno obaw. To leżenie w szpitalnej wykrochmalonej na sztywno pościeli bardzo źle na niego wpływało. Miał za dużo czasu na myślenie. On - człowiek czynu, ciągłej pracy i wечно w ruchu - został unieruchomiony przez jakiegoś guza. Przez pasożytniczą chorobę, jaką jest nowotwór. Chorobę, którą dobrze znał i widywał u zwierząt. Wyniszczała skutecznie i do cna swojego „żywiciela”, nie pozostawiając mu żadnej szansy. Wiedział za dużo. Gdyby nie był świadom potworności tej choroby, może miałby więcej nadziei na wyzdrowienie. Niestety, był lekarzem i wiedział.

Nachodziły go smutne myśli. Strach o dziewczynki oraz Irenkę. Jak dadzą sobie radę, gdyby musiał odejść? Jak utrzyma ten ogromny dom? Dziewczynki na studiach? Jak to będzie? Tysiące pytań... Przecież obiecał młodej Irence, że będzie z nią na zawsze, zawsze będzie się nią opiekował. Tymczasem ona jest jeszcze taka młoda i piękna, miałyby zostać sama...

Usłyszał skrzypnięcie drzwi, zobaczył w nich Grażynkę.

- Świetnie wyglądasz, tatusiu. - Podeszła do niego. W jej sercu szalało tornado skrajnych odczuć. Radość z powodu zobaczenia ojca oraz załamanie jego stanem. Wyglądał strasznie, podkrążone oczy, posiwiałe skronie oraz ta słabość, ta fizyczna słabość niepodobna do jej silnego ojca. Postanowiła, jak tylko przekroczyła próg sali numer 6, że w życiu mu tego nie okaże, że nie pokaże mu tej słabości na swoim obliczu.

- Przyjechałam po ciebie - kontynuowała. - Wiesz, przynajmniej nabędę trochę wprawy w jeździe. Te lekcje jazdy, które mi dałeś, teraz sprawdzimy w praktyce. - Uśmiechnęła się najładniej jak umiała prawie szesnastoletnia córka.

- Mój grzybelku, tak bardzo za tobą tęskniłem... - odrzekł i podniósł się z łóżka. Był to drugi dzień w szpitalu, ten, w którym miał go opuścić i zjawić się ponownie za dwa tygodnie na kolejną dawkę radioterapii.

Po godzinie był już ubrany, z małą torbą w ręku. Ruszyli w stronę samochodu.

„Jak dobrze, że uczyłem Grażynkę jeździć” - pomyślał. Już jako czternastoletnia dziewczynka prowadziła fiacika przez polne drogi. Tego na oczy nikt nie widział. Kobieta za kierownicą!

To się nie zdarzało. Kazimierz wiedział od zawsze, od dnia jej narodzin, że to mądra i silna kobieta, musi umieć wszystko, co w życiu przydać się może. W tym momencie był z siebie dumny, że tak zrobił. Teraz umiejętność Grażynki przyda się jak nigdy. Nie przewidział, jadąc do Poznania, że radioterapia wywoła u niego takie wyczerpanie. Nie przewidział, że nie byłby w stanie prowadzić samochodu przez godzinę, a nawet pięć minut.

Grażynka uruchomiła samochód, włączyła bieg i ruszyli w drogę powrotną do domu. Kazimierz spojrzał na obszerny i obskurny budynek szpitala. „Nie wrócę tu już” - pomyślał.

Droga przebiegała sprawnie, córka świetnie sobie radziła, ruch nie był wielki i samochodów na drogach było

niewiele.

Zajechali pod dom, informując klaksonem, że już są. Mimcia wybiegła i otworzyła bramę, by Grażynka mogła zaparkować białe autko na podjeździe. Radość na twarzy Mimci była jak najbardziej szczerą. Uwielbiała swojego pana za to, jakim pracowitym oraz szlachetnym był człowiekiem. Wiele wiedziała, bo idąc do miasteczka, zawsze rozmawiała z mieszkańcami. Wszyscy chwalili doktora i szanowali go jako weterynarza oraz po prostu jako człowieka.

- Zawsze uśmiechnięty i grzeczny, kłania się kobietom na ulicy, nie wynosi się ponad innych - mawiali.

- Gdzieś ty była, Grażynko? - od drzwi gniewnie zapytała matka. - Szukałam cię cały ranek.

- No... pojechałam po tatę, by przywieźć go do domu - odrzekła, choć tak naprawdę nie obawiała się tego gniewu. Najważniejsze było to, że tato wrócił do swojego domu.

- I świetnie sobie poradziła - zakończył Kazimierz.

- Ależ to niedozwolone... Nie wolno, nie powinno się tak postępować. Ona ma piętnaście lat i nie ma prawa jazdy! - Irena nie dawała za wygraną.

Specjalnie drążyła temat, by nie skupiać się na złym wyglądzie męża. Postanowiła, tak samo jak Grażynka, że nie będzie okazywać mu zmartwienia, jakie ich wszystkich trapiło.

I tak życie toczyło się dalej, każdy był zaprzątnięty swoimi obowiązkami. Danuta była już na studiach, Grażyna w liceum. Mimcia, coraz starsza, krzątała się pomiędzy domem a sadem.

Kazimierz, tak jak postanowił, nie pojawił się więcej na oddziale onkologicznym. Miał przekonanie, a wręcz był pewien, że lepiej tego guza, który rozwijał się w jego organizmie, nie ruszać. Nie zgodził się też na jego usunięcie. Postanowił dać mu możliwość rozwijać się tam, gdzie jest, bez możliwości przerzutów. Był przekonany, że przy próbie usunięcia go on umiejscowi się gdzie indziej. Czy jego diagnoza była słuszna – trudno orzec. Trzeba było zaufać mu jednak, w końcu znał się na medycynie. Choroba nie była tematem rozmów, była tematem tabu, nikt o niej nie mówił, ale wszyscy wiedzieli, mało tego – widzieli. Wraz z upływem czasu guz urósł do tego stopnia, że sprawiał trudności przy tak zwyczajnych czynnościach jak siedzenie. Kazimierz nie skarżył się jednak nigdy, zachowywał się normalnie, uśmiechał, no i oczywiście pracował jak szalony. Posmutniała jednak Irena, choć nigdy nie była osobą, którą można by określić jako zabawną czy szczególnie wesołą, lecz teraz spoważniała na dobre. Dzieci wyrosły, była im już mniej potrzebna, w kraju nastał pokój, pieniędzy nie brakowało. Brakowało jednego – zdrowia dla Kazimierza.

Zbliżał się przedmaturalny bal Grażynki. Była już prawie dorosła. Do matury pozostało niewiele czasu. Wytężona nauka miała przynieść efekty w postaci dobrze zdanej matury. Jej marzeniem była weterynaria. Dlaczego? Z perspektywy czasu można domyślać się, że chciała zrobić to dla ukochanego ojca. Chciała kontynuować jego dzieło, chciała być po prostu taka jak on, w każdym calu.

Jej śliczną główkę, a wyrosła z pulchnej dziewczynki na

smukłą i piękną dziewczynę, zaprzętała jednak pewna myśl. Nauczyciel języka niemieckiego. Mężczyzna młody, po studiach, przybył do Pniew nauczać młodzież. Otrzymał służbowe mieszkanie znajdujące się na tyłach szkoły. Był bardzo przystojny, wysoki, szczupły o kruczoczarnych włosach i zielonkawych oczach. Kochały się w nim wszystkie dziewczęta. Nie wszystkie jednak miały urodę Grażynki. Urok jej czarnych oczu, ciemnych jak kawa włosów i drobniutkiej figury odziedziczonej w genach po matce robiły wrażenie.

Sukienki nosiła dopasowane, szyte na zamówienie. W tych wyprawach do krawcowej towarzyszyła Grażynce matka, popierała modowe ekstrawagancje Grażynki, bo sama była zawsze bardzo nowoczesna oraz modna. Tak więc córka Ireny jako pierwsza nosiła sukienki w stylu Marilyn Monroe, czyli dopasowane u góry i rozkloszowane w dole. W pasie linia osy, tak dopasowana, że nawet oddychać czasami było ciężko, ale efekt był. Nawet ta ciemna sukienka, którą nosiła do szkoły, ta z tych skromnych, miała formę jak MM.

Oczywiście nie uszło to uwagi nauczyciela. Śliczna dziewczyna z dobrymi wynikami w nauce, z inteligenckiego domu. Adorował ją na lekcjach najmniej jak tylko potrafił. Nie mógł doprowadzić do tego, by ktokolwiek domyślił się czegokolwiek. Groziło to bowiem utratą posady dopiero zresztą zdobytej, a może i zakazem wykonywania zawodu. Nie mógł do tego dopuścić. Zarówno Adam Szajner, jak i jego uczennica byli w sobie platonicznie zakochani.

Przygotowania do balu ruszyły. Wyprawa do krawcowej

teraz miała wyjątkowe znaczenie, tak jak sukienka, która miała przyćmić wszystkie inne. Do jej uszycia krawcowa miała do wyboru dwa rodzaje materiału przywiezione z Poznania przez Irenę. Tafta w kolorze grafitu oraz błękit atłasu. Grażynka miała już przygotowany szkic wizji swojej sukienki oraz ciężko zdobyte nowe zdjęcie Marilyn w kreacji, na której miały się wzorować. Sukienka powinna przylegać idealnie do ciała, jak zwykle z wcięciem w pasie oraz dekoltem, który miał ukazywać jej gładką jak alabaster skórę. Niesymetryczna, z przodu krótsza, a z tyłu dłuższa. Zapinana na całej długości pleców na małe, błękitne, perłowe guziczki. Całość okrywać miała jak tren grafitowa tafta, która z soczystego błękitu zrobiła efekt sukienki w kolorze topazu.

Siedząc nad książkami, rozmyślała o tym, jak piękna będzie sukienka i jakie to zrobi wrażenie na profesorze Adamie. Cóż, musiała jednak wrócić do nauki wiersza z rosyjskiego. Wiedziała, że wiersze mogą pojawić się na maturze z języka, więc wkuwała zapamiętałe *Żądze sławy* Aleksandra Puszkina. Tak też przebrnęła przez dwadzieścia cztery z trzydziestu czterech wersów, policzyła dokładnie i postanowiła, że przecież jeśli przypadnie jej ten wiersz, to przecież nikt nie będzie słuchał go do końca, jeżeli pięknie wyrecytuje.

### ЖЕЛАНИЕ СЛАВЫ

*Kiedy miłosnym upojony szaleł,*

*Milcząc, w zachwycie, przed tobą klęczałem,*

*Pewny, że niebo oglądam na jawie -  
Ty wiesz, najdroższa, czym myślał o sławie!  
Ty wiesz, że szczęściem wzgardziwszy kłamanem,  
Ułudą świata, czczym poety mianem,  
Pełen znużenia, równiem był zdrętwiały  
Na zgrzyt szyderstwa i na dźwięk pochwały.  
Mógłbym się wrzawą wzruszać oddaloną,  
Gdy ty, swą główkę kładąc mi na łono,  
Szepczesz, serdeczne tłumacząc porywy:  
„Powiedz, czy kochasz? powiedz, czyś szczęśliwy?  
Czy twoje serce sprzyja mi wzajemnie?  
Czy nie przełożysz już innej nade mnie?”  
Oczarowany głosem, spojrzeniem, pieśczętą,  
Milczałem, chłonąc czar całą istotą -  
I anim myślał, że ta chwila błoga  
Koniec mieć musi. - I cóż? Przyszła trwoga;  
Na głowę moją spadły huraganem  
Łzy, skargi, klątwy... Dziś, z sercem starganem,  
Jak obłąkany przez pustynne mroki,  
Stoję, nie wiedząc, dokąd zwrócić kroki.  
I nowe czucie w sercu mym się budzi:  
Chcę być wywyższon nad tłum zwykłych ludzi (...)<sup>[1]</sup>.*

„Tak, to na pewno wystarczy...” - pomyślała i zakończyła naukę tego wiersza, pogrążając się w marzeniach o profesorze Adamie.

Przymiarka odbyła się równo trzy tygodnie później. Efekt był oszałamiający. Gdy wieczorem po kolacji Grażynka



przymierzyła swoją sukienkę, cała rodzina oniemiała z zachwytu. Ojciec, siedząc bokiem w fotelu, czując zapewne ucisk ogromnego guza, płakał. Mimcia ocierała nos chusteczką, a Irenka była po prostu dumna z pięknej córki, a w jej oczach pojawił się żal za straconą młodością. Za młodością, którą zabrała jej wojna, powodując szybkie i bolesne dorastanie.

*- Hrabia wracał do siebie, lecz konia wstrzymywał,  
Głową coraz w tył kręcił, w ogród się wpatrywał;  
I raz mu się zdawało, że znowu z okienka  
Błysnęła tajemnicza, bieluchna sukienka,  
I coś lekkiego znowu upadło z wysoka,  
I przeleciawszy cały ogród w mgnieniu oka,  
Pomiędzy zielonymi świeciło ogórki:  
Jako promień słoneczny, wykradłszy się z chmurki,  
Kiedy śród roli padnie na krzemienia skibę  
Lub śród zielonej łąki w drobną wody szybę (...)<sup>[2]</sup>.*

- wyrecytowała Grażynka, wiedząc, że sprawi tym fragmentem matce przyjemność. Wiedziała dobrze, jak kocha Mickiewicza, jak wieczorami obraca książkę w dłoni, a ona przed maturą musiała zapoznać się dokładnie z jego twórczością.

Wszyscy zaczęli klaskać i Grażynka miała poczucie, że swoją pierwszą prezentację ma już za sobą. Teraz tylko pozostawało oczekiwać balu oraz matury.

- Grażynko, oderwij się na trochę od tych książek -

zawołał tato pewnego popołudnia. – Muszę odwiedzić jednego gospodarza, któremu choruje bydło, i pomyślałem, że pojedziesz ze mną.

Grażynka nigdy nie odmawiała niczego ojcu, a już przejażdżek z nim to absolutnie. Kochała każdą chwilę, jaką mogła z nim spędzić.

Wybiegła szybko z pokoju, porzucając książki, i stała przy aucie szybciej, niż tato zdążył do niego dojść, dźwigając swoją lekarską torbę. Widać było, że sprawia mu to coraz więcej trudności, podbiegła więc i wyręczyła go w tym. Postanowiła również prowadzić samochód. Przeniosła z siedzenia kierowcy oponę, na której siadał tato. Miała zniwelować ból powstały z powodu guza, który można by rzec, przypominał niewyrośnięty bochen chleba. I tak zaczęli swoją trzydziestokilometrową przejażdżkę. Ojciec zaczął śpiewać, jak tylko wyjechali za miasteczko. Grażynka uwielbiała tę piosenkę, toteż przyłączyła się natychmiast do solisty.

*Słoneczko zaszło, czyli zagasto,  
czyli się skryło, hen, za borem.*

*Słoneczko zaszło, czyli zagasto,  
czyli się skryło, hen, za borem.*

*W zielonym gaju ptaszki śpiewają,  
ptaszki śpiewają pod jaworem.*

*W zielonym gaju ptaszki śpiewają,  
ptaszki śpiewają pod jaworem (...).*

Po drodze zapytywał ją, czy wszystko w porządku, czy w szkole nikt jej nie robi przykrości i czy aby nie jest zakochana. Wstydziła się przyznać. Zapewne skrytykowałby jej uczucia, w końcu to nie uchodziło, by uczennica kochała się w nauczycielu. Nie, nie mogła mu tego powiedzieć... Choć miała wtedy wrażenie, że on i tak wszystko wie. Że może zrozumiałby...

Gospodarz przywitał ich bardzo serdecznie, lecz gdy zobaczył tak słabego doktora, miał wyrzuty sumienia. Doktor Czelný od razu postawił diagnozę, zaaplikował lek i odjechali do domu. Otrzymali od żony gospodarza kankę świeżego mleka oraz wielki bukiet róż z ogrodu dla pani doktorowej.

Dni biegły bardzo szybko, w powietrzu unosiło się przedmaturalne zdenerwowanie, ale jeszcze bardziej to związane z balem. Był już luty, na dworze zimno i zima jeszcze mocno doskwierała. Grażynkę na bal miał przywieźć ojciec.

Po raz pierwszy mama zaprowadziła ją do fryzjera, by upiąć jak najokazalszy kok. Wyszedł pięknie. Oczywiście wzorem było zdjęcie z gazety.

Gdy wkładała jedwabne pończoszki, które otrzymała od matki, czuła niesamowitą ekscytację. Czuła, że staje się dorosła, a jej styl i figura tylko ją w tym upewniały. Zarysowana linia biustu i kształtne biodra. Wszystko o tym świadczyło. Włożyła lakierowane czółenka i zeszła do czekającego na nią ojca. Zachwytem nie było końca, nawet dość powściągliwa mama nie kryła oczarowania. Podeszła do córki, ujęła jej nadgarstek w swe dłonie i nałożyła nań

piękny, szczeroloty zegarek.

- Od dziś on będzie odmierzał ci czas, córeczko. Czas, w którym wejdiesz w dorosłe życie - powiedziała ze wzruszeniem. Czuła, że niedługo straci drugą córkę. Danuta studiowała w Poznaniu, wracała do domu rzadko, pogrążona w nauce, a Grażynka wybiera się do Wrocławia.

„Kto jeszcze mnie opuści?” - pomyślała ze smutkiem. Choć nie chciała znać odpowiedzi na to pytanie, to znała ją już od dawna. Wiedziała i cieszyła się każdym następnym dniem spędzonym z mężem. Starła się nie zamartwiać tym, co będzie, gdy go zabraknie.

Grażynka włożyła futerko w kolorze srebra, uszyte z ich lisów. Piękne, krótkie, idealnie nadawało się właściwie na takie wytworne okazje, których, niestety, nie było w jej życiu zbyt wiele.

Sala ustrojona była skromnie, a była nią aula, która w codziennym życiu szkoły spełniała funkcję pomieszczenia na apele, zakończenia roku, a nawet odbywały się w niej zajęcia wychowania fizycznego. Mimo to wyglądała okazale. Zawieszono ręcznie robione serpentyny, delikatne oświetlenie, by wprowadzić cieplejszą i przytulniejszą atmosferę. Stoły zastawione naczyniami, jedzeniem oraz napojami. Oczywiście o alkoholu nie było mowy. Młodzież zasiadła do stołu. Wszyscy wyglądali pięknie i odświeżenie w swoich kreacjach. Młodzi panowie w garniturach, prawie każdy w takim samym, zważywszy, że niewiele było do wyboru w sklepach. Ogolone twarze, bez względu na to, czy było w ogóle co golić, no i zapach wody kolońskiej,

pożyczonej od ojców.

Grażyna przemierzała salę, by udać się na miejsce przeznaczone dla jej klasy. By tam dojść, musiała przejść obok stołu grona pedagogicznego, chyba na jej nieszczęście. Czowała dumę, przechodząc obok profesora od niemieckiego. Czowała, że jego oczy patrzą na nią i oderwać się nie mogą. Nie tylko on na nią spoglądał. Cała rzesza profesorek i profesorów widziała, że wygląda nieprzeciętnie w swojej topazowej sukni z futrzaną etolą na ramionach. Zamiast zachwytu jednak wzbudziła zazdrość, która zakiełkowała w sercach pedagogów.

Ta zazdrość nie da im już spokoju do końca balu. Zachwyciła tylko Adama, bo tak naprawdę to tylko on ją obchodził, jego chciała zachwycić. Nie dbała o opinie innych, nic nie mogą jej przecież zrobić. Jest świetną uczennicą, wspaniale przygotowaną do matury, a jednak los pokaże, że można się przeliczyć.

Bal przebiegał spokojnie. W tle muzyki dało się słyszeć gwar i radość roześmianej młodzieży. Na parkiecie młodzi panowie tańczyli z koleżankami, starając się wypaść na wytrawnych tancerzy, lecz nie każdemu to wychodziło. Tańczyli również nauczyciele, oczywiście we własnym gronie. Profesorowie musieli obtańczyć wszystkie profesorki, aby żadna nie czuła się gorsza. Ten obowiązek spełnił już każdy, lecz nie Adam. Zapatrzony siedział za stołem i tylko obserwował, gdzie przemieszczą się jego ulubiona uczennica. Oczywiście była wszędzie, rozchwytywana przez kolegów z klasy oraz klas równoległych. Właściwie nie schodziła

z parkietu adorowana przez wszystkich. Jego cierpliwość jednak miała swoje granice. Bez słowa wstał, panie z jego stołu już zaczęły się puszyć i poprawiać włosy, myśląc, że to właśnie na którąś z nich wreszcie padnie wybór i że wreszcie zatańczą z młodym kolegą. Bardzo się pomyliły. Młody profesor wstał, skinął im grzecznie głową i podszedł do stołu, przy którym siedziała jego uczennica. Najpiękniejsza ze wszystkich.

- Czy mogę prosić panią do tańca? - zapytał, pochylając się ku niej.

- Czekałam na to - odrzekła tak, by nikt nie usłyszał - od bardzo dawna...

Ujął delikatnie jej dłoń i poprowadził na środek parkietu. Objął w talii, czując jej szczupłą kibić, delikatność dłoni i wyprostowaną idealnie linię pleców. Poruszali się po parkiecie, jakby tańczyli ze sobą od zawsze. Jak jedno ciało, jedna dusza. Sukienka idealnie spełniała swoją taneczną funkcję, nie blokowała kroków, bo krótsza była z przodu, a tył podążał za ruchem jej ciała ze strony lewej na prawą i z powrotem. Patrzyli sobie w oczy, jakby mieli się w tym tańcu zatracić na zawsze. Na zawsze... dobrze wiedzieli, że coś takiego w ich przypadku istnieć nie może. Wiedziała, że gdy opuści szkołę jako absolwentka, ich drogi już się nie zjedną. Miasteczko nigdy nie wybaczyłoby mu związku z uczennicą, choćby nawet już nią nie była.

Przy profesorskim stole zawrzało, a rozmowom podczas jego nieobecności nie było końca: „jak on mógł?”, „jak ona mogła?”. To chyba niekończące się pytanie powielane

z matematyczną konsekwencją, zresztą przez matematyka zwłaszcza.

W rzeczywistości nieświadomie młody człowiek przysporzył jej wielu kłopotów, dolewając oliwy do i tak już tłącego się ognia. Profesorowie już od dawna obserwowali uczennicę, która jako jedyna potrafiła na zajęcia przyjechać samochodem, mijając po drodze nauczyciela matematyki jadącego na rowerze.

- A te ekstrawaganckie stroje! - wtórowała geografica. - Skąd ona je bierze? I matka na to pozwala! - Kręciła głową i tymi dwa razy do roku mytymi lokami.

Tak, oburzeniom nie było końca. I końca być nie miało.

Adam wrócił do stołu po dwóch utworach Beatlesów zagranych przez poznańską, zatrudnioną na tę okazję orkiestrę. Był bardzo ubawiony. Odprowadził Grażynę do stołu, całując jej dłoń. Gdy powrócił do stołu, miał wrażenie, że towarzystwo nieco się rozpierzchło. Nagle nikt się do niego nie odzywał, panie przestały stroszyć piórka i wciskać mu robione przez siebie ciasto. Nastąpiła cisza.

Ta sama sytuacja miała miejsce przy stole Grażyny. Koleżanki nie odezwały się już do niej ani słowem, jedynie koledzy wyrażali swoje uznanie. Chyba podziwiali ją i jego za odwagę. Dziewczyny były po prostu zazdrosne, a ona sama zakochana.

Bał dobiegł końca. Uczniowie zaczęli rozchodzić się do domów. Wielu profesorów wyszło już przed północą. Do wyjścia szykowała się również Grażyna. Pożegnała się ze wszystkimi i wyszła z budynku. Była zaskoczona, że tato na

nią nie czeka, zmartwiła się tym i zaczęła iść w stronę domu.

- Czy mogę cię odprowadzić? - usłyszała za plecami. - Jest ciemno i... a ty sama...

- Dziękuję, będzie bezpieczniej. - Zgodziła się szczęśliwa. - Chyba wywołaliśmy naszym zachowaniem wzburzenie. Nie wiem, jak to się skończy, lecz cóż nam mogą zrobić? Przecież nie ukamienują nas, prawda? - Spojrzała na niego.

- Nie zrobiliśmy nic złego, zatańczyliśmy po prostu jak dwoje młodych ludzi. Czas na zmiany w mentalności, ktoś musi je zacząć wprowadzać - odpowiedział. - Ale wiesz, chciałem powiedzieć ci coś jeszcze. Za dwa tygodnie wyjeżdżam do Anglii. - Spuścił głowę, jakby chciał ukryć poczucie winy. - Dostałem możliwość wykładania języka niemieckiego przez okres dwóch miesięcy w zastępstwie za kolegę, który jest już tam od dwóch lat. Nie będzie mnie na twojej maturze, a tak bardzo chciałem.

Plotki o jego wyjeździe krążyły już po szkole od kilku tygodni. Z tego powodu zdecydowała się zdawać maturę z rosyjskiego, a nie z niemieckiego. Nie zniosłaby widoku zastępstwa innego nauczyciela.

„Czyli w plotkach była prawda...” - zamyśliła się.

Nie miała przecież okazji zapytać go wcześniej, cały czas miała nadzieję, że to nieprawda, że to tylko wymysły młodzieży.

- Tak, to prawda... Wrócę po maturach i będziemy mogli zobaczyć się jeszcze. Będiesz już absolwentką, nikt nam nie zabroni się spotykać.



Droga minęła szybko, za szybko, nie nacieszyli się sobą wcale, nadszedł czas, by się pożegnać.

- To miłych wrażeń i dziękuję za taniec - rzekła, podając mu dłoń na pożegnanie.

- Nie zapomnę go do końca życia. - Przyciągnął ją do siebie i pocałował delikatnie w policzek.

To było jej pierwsze zbliżenie z mężczyzną, jeśli można to tak nazwać. Odszedł, nie zdobywszy się na nic więcej, zapewne z szacunku do tej młodej, niewinnej kobiety.

Światła w domu świeciły się pomimo tak późnej pory. Weszła do środka. Ojciec leżał na sofie, blady, z wyrazem bólu na twarzy. Przy nim siedziały matka oraz Mimcia. Podbiegła do niego, już wiedziała, dlaczego po nią nie przyjechał. Czuła w duchu, że musiało się coś stać. Uspiała tylko swoje odczucia dzięki towarzystwu Adama, gdyby nie to, biegłaby w tych pantofelkach tak szybko, jak tylko mogłaby tego dokonać. Uklęknęła koło niego, sukienka rozłożyła się na dywanie, jakby miała pozować do jakiegoś zdjęcia, lecz to nie scena z filmu, to nie żadna rola, to samo życie...

- Przepraszam, skarbie, że nie mogłem cię odebrać - powiedział całkiem wyczerpany bólem. - Zaniemogłem. Dobrze, że bezpiecznie wróciłaś do domu.

- Spokojnie, tatusiu, kolega z klasy zaproponował, że mnie odprowadzi - skłamała i bardzo źle się z tym czuła, ale wiedziała, że nie może dokładać mu zmartwień.

- Pomóżmy ojcu dostać się do sypialni. Grażynko, weź ojca pod bok, Marysia pod drugi - zarządziła mama.

Sama szła przed nami, torując ojcu drogę, otwierając drzwi. Doszły do sypialni, położyły Kazimierza na łóżku. Jego przygotowaniem do spania zajęła się żona.

- Zmarnowałem córce taki piękny dzień, Irenko, nawet nie zapytałem jej, jak było - zarzucał sobie. - Dbaj o nią bardzo, gdy mnie zabraknie. Proszę cię, kochanie. Ona jest silna, ale bardzo wrażliwa. Do tego bardzo dumna. - Zasłabł i wydawało się, że zapadł w sen.

„Któż zadba o mnie?” - pomyślała ze smutkiem Irena.

Grażyna nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok. Zbyt dużo myśli kłębiło się w jej głowie. Przyjemne wraz ze smutnymi. Jak wytrzymać taki mętlik? Jak!? Zakochana w mężczyźnie, który w jej najważniejszym okresie życia wyjeżdża. Zostawia ją, zanim cokolwiek pięknego się zaczęło. Na piętrze z kolei leżał słaby i być może umierający ojciec.

„Wody, wody!” - pomyślała, zapragnęła. Cichutko, by nie skrzypnęły drewniane schody, zeszła na palcach na parter. To, co zobaczyła, napełniło jej oczy łzami.

Przy okrągłym stoliku siedziała matka, ubrana w długą koszulę z białej jak śnieg bawełny obszytej ręcznie wykonaną koronką. Siedziała pochylona nad kartami i płakała.

- Dziesiątka i as trefl, niedobrze, to oznacza nieuleczalną chorobę, Grażynko, rozumiesz? - pytała retorycznie. Dobrze wiedziała, że tak. - Siódemka karo, śmierć na wiosnę. Czeka nas ciężki okres w życiu, dziecko.

Nigdy nie widziała matki w takim stanie. Do tego wieczoru była dzielna, walczyła jak lew o normalność i stabilizację. Wiedziała jednak, że z mężem jest coraz gorzej.

Wiedziała, bo nie wyjeżdżał już do pracy. Zostawał w domu i przyjmował w gabinecie tylko nielicznych.

Grażyna przytuliła się do niej. Obie płakały.

- Nie martw się, mamó! Ojciec poczeka, aż zdam maturę, zobaczysz - powiedziała przez łzy ku pocieszeniu matki oraz swemu.

Złożyły karty do srebrnej szkatułki i poszły do swych łóżek. Nie spały do rana. Budził się ładny, słoneczny dzień zimowego miesiąca. Śnieg topniał, skapywał z rynien, głośno wpadając do kałuży utworzonej na jej końcu. Grażyna bała się wiosny. Od tego ranka, wolałaby, żeby wiosna nie nadeszła nigdy. Niech czas stanie w miejscu, niech tato żyje jak najdłużej.

Tego dnia odwiedził ich doktor Krzepiński, przyjaciel domu. Zostawił dla chorego kilka dawek morfiny na wypadek, gdyby dostał ogromnych boleści. Wyszedł zmartwiony stanem kolegi i potwierdził to, co pokazały karty.

- Irenko, Kaziu nie dożyje lata. Przykro mi... - Ucałował dłoń Ireny i wyszedł.

Dni mijały, Kazimierz poczuł się lepiej, jakby faktycznie czekał na maturę Grażynki. Ona uczyła się bardzo dużo, choć w aurze smutku i ciągłego niepokoju. Adam wyjechał i w liceum zrobiło się pusto, jak dla niej oczywiście. Nie widywała go na korytarzach, ktoś inny prowadził zajęcia. Nauczyciele nie zachowywali się odpowiednio. Byli niemili i jacyś niedostępni. „Czyżby ciągle przez ten bal?” - zastanawiała się nieraz.

Zakwitły kasztany, nieuchronnie zbliżał się czas

egzaminu dojrzałości. Ubrana w czarno-biały kostium stanęła przed komisją egzaminacyjną. Egzamin pisemny poszedł świetnie. Była bardzo dobrze przygotowana, zwłaszcza z języka polskiego oraz biologii, która miała być jej przyszłością na weterynarii. Przeszła etap egzaminów pisemnych bez żadnych problemów i nadszedł etap egzaminu ustnego. Stawiała się na każdym pewna swoich umiejętności, z podniesioną głową. Atmosfera na ustnych była dziwna. Nauczyciele nie byli życzliwi ani nawet... zwyczajni. Ziała od nich jakaś złość i nieprzychylność. Czuła to wyraźnie. Teraz miała pewność, że jej matura stoi pod znakiem zapytania, bo tak jak w pisemnej trudniej podważyć słowo pisane, tak w ustnej może zdarzyć się wszystko. Zaczęła się obawiać.

„Co się stanie, jeśli mnie obleją? Co ze studiami, co z weterynarią?” – zastanawiała się w duchu.

- Grażyna Czelny, zapraszamy - wywołano ją do klasy, która na co dzień była klasą matematyczną. Komisja składała się z profesorki rosyjskiego, bo tego języka miał dotyczyć egzamin, matematyczki, profesora od biologii i dyrektora liceum.

- No cóż, przystępujemy do egzaminu ustnego z rosyjskiego, Grażyno, choć pewnie wolałabyś z niemieckiego. - Złośliwość rusycystki nawet nie była ukryta, lecz tak jawna, że aż zabolęło.

Matematyczka uśmiechnęła się drwiąco, co nie uszło uwadze dyrektora Bilskiego.

- Losuj. - Podała jej kilka pasków, pod którymi ukryte były zadania językowe. - Na zapoznanie się z pytaniem masz

pięć minut.

Grażyna wyciągnęła swoją już teraz drżącą dłoń i wylosowała czwarty pasek od lewej strony. Usiadła w pierwszej ławce, by oswoić się z zadaniem, które wylosowała.

„Cóż, nie mogło być gorzej. Już po mnie” – pomyślała.

Wylosowała nic innego jak ЖЕЛАННИЕ СЛАВЫ (Żądze sławy) Puszkina. Właśnie ten wiersz umiała w dwóch trzecich. No nic, pozostaje improwizacja. Przecież jak pięknie zacznie recytować, to w połowie powinni ją zatrzymać i dać po prostu piątkę, no dobrze, czwórkę.

Wstała gotowa do odegrania roli, do jakiej zmuszała ją sytuacja. Roli, do której nie była do końca przygotowana, a grono widzów to złe sępy i ani jednego klakiera. Zaczęła płynnie, a że była po trosze humanistką, to recytowała pięknie, używając nawet gestów, by wzmóc refleksję. Dyrektor miał zachwyty w oczach, żeńska część komisji czuła, że poniosła porażkę, aż tu nagle wiersz zakończył się na dwudziestym czwartym wersie...

- To nie koniec, kontynuuj – powiedziała z triumfem rusycystka, która urosła o dwadzieścia centymetrów z radości i nadziei, że chyba uczennica dalej nie umie.

- No cóż, nie pamiętam – skłamała. - Z nerwów zapomniałam – brnęła Grażyna.

Radość dwóch posepnych kobiet była wręcz namacalna. Druga część pytania dotyczyła opowiadania związanego z dniem codziennym. Z tym nie było problemu, bo do języków Grażyna miała jakiś naturalny talent. Tym uratowała

swoją sytuację, bowiem odpowiedziała bezbłędnie. Egzamin uznano za zakończony i poproszono, by opuściła salę. Zarządzono dziesięciominutową przerwę.

- Taka nieprzygotowana! - biadoliła rusycystka. - To nie ujdzie jej płazem.

- Ależ, Łodziu, chyba przesadzasz. - Dyrektor stanął w obronie uczennicy. - Odpowiadała fantastycznie, a wiersz знаła prawie w całości. Zdenerwowała się po prostu.

- Ja też tak uważam - potwierdził nauczyciel biologii. Lubił Grażynę za wiedzę, jaką prezentowała, można by nawet rzec, że szanował ją za to. Zdarzało się na jego lekcjach, że przewyższała go elokwencją, zaskakiwała stwierdzeniami oraz wiedzą, którą czerpała z książek ojca.

Zbulwersowane tą postawą profesorki musiały przyznać im rację, choć bardzo niechętnie, i opatrując tę sytuację komentarzem: „Widać, że wszystkim panienka Czelnay zawróciła w głowie”. Chcąc nie chcąc, musiały egzamin uznać za zdany.

Dalsze egzaminy przebiegały w podobnej atmosferze, lecz na szczęście z poparciem większości członków komisji. Zmowa, która zawiązała się wśród niektórych członków grona nauczycielskiego, na szczęście nie doszła do skutku. Planowano oblać ją ot tak, dla przykładu. Jednak pruderia nie zwyciężyła. Wygrała młodość i inteligencja wsparta oczywiście pomocą dyrektora.

Ojciec leżał na łóżku, gdy mu to wszystko opowiadała. Kręcił tylko głową na znak niedowierzania.

- Gdybym tylko mógł wstać, pokazałbym im, gdzie jest

ich miejsce! – Uniósł się na tyle, na ile tylko miał siły.

Zawsze stawał w obronie swych dzieci. Nie pozwoliłby skrzywdzić ich ani odrobinę, od razu ingerował, od razu stawiał się w szkole. Tak jak wtedy, gdy jeszcze w podstawówce kolega strzelał haftkami z procy w Grażynkę. Ona nie poskarżyła się ani w szkole, ani w domu. Dopiero Mimcia, rozbierając dziecko do kąpieli, zauważyła masę siniaków na nogach oraz rękach. Powiadomiła natychmiast państwa. Irena zrobiła awanturę. W zasadzie nie wiadomo, do kogo adresowaną, a Kazimierz następnego dnia pojawił się w szkole. Był jeszcze wtedy młody i bardzo silny. Swą posturą budził lęk. Uświadomił dyrektorowi, jakich to wandalii wychowuje szkoła, że uszkodzili ciało jego córce i że on nie życzy sobie, by ten szczeniak chodził do jednej klasy z Grażynką. Szczeniakiem, jak nazwał go ojciec, był – jak się okazało – syn szanowanej rodziny. Możliwym było, że podkochał się w Grażynce, a strzelanie z haftek i ciągnięcie za warkocze to były wtedy metody służące zalotom. Nic jednak zrobić się nie dało. Tłumaczenia rodziców chłopca i dyrektora nie przyniosły skutku. W efekcie przeniesiono go do innej klasy i od tego czasu żaden chłopiec nie odważył się zrobić Grażynie krzywdy.

Siedziała tak przy nim, trzymając go za rękę, i myślała o tym wszystkim, o tym, co jest między nimi, i o tym, że to wszystko straci. Wiedziała o tym. Matura zdana, ojca czas dobiegał końca...

---

[1] Aleksander Puszkina, *Wybór wierszy*, Warszawa 1982, s. 176.

[2] Adam Mickiewicz, *Pan Tadeusz*, dz. cyt., s. 70.

## Rozdział 10. | Paryż

Paryskie targi ECLAT DE MODE. BIJORHCA odbyły się w styczniu. Zaprojektowane przeze mnie stoisko zostało docenione. Rzesza klientów i odwiedzających była zaskoczona takim wizerunkiem stoiska. Mówili, że czuli, jakby naprawdę znaleźli się w pracowni, i że dało to im wyobrażenie naszej pracy. Nie obyło się oczywiście bez krytyki. Jak zawsze w życiu panować musi jakaś równowaga, z tym że w tym przypadku przeważał sukces. Juwelia pozyskała nowych klientów z rynku francuskiego, czeskiego oraz rosyjskiego. Rosjanom bardzo spodobały się kolekcje, w tym moje, bo były - jak to określali - „szlachetne w formie”, ale jednocześnie „soczyście bogate”. Wiadomo, że bogaci Rosjanie, bo na takim sektorze klientów skupia się firma, kochają okazywać swój status majątkowy przez luksusowe i nietypowe rzeczy. Dodatkowym atutem była sama nazwa naszej firmy, która brzmi oryginalnie.

Firma zebrała zamówienia, spisała umowy, a dzięki zaaranżowaniu stoiska na pracownię mogliśmy z klientami kreatywnie popracować. Zdarzył się również klient z Dubaju. Miał on swoją wizję kolii, którą mogliśmy na miejscu wyrysować i omówić szczegóły. Podobała się i jemu, i nam



taka współpraca. Mieliśmy wysłać mu po powrocie wycenę tej nietypowej koliai, ponieważ miał to być tylko jeden egzemplarz dla jego ukochanej Amall. Chyba nie bez powodu wybrał ukochaną, której imię oznacza nadzieję i pragnienia.

- To romantyczne, prawda? Zamówić dla ukochanej koliai, której nikt na świecie mieć nie będzie? - zapytałam Patryka podczas kolacji.

- Też tak uważam. Podpisaliśmy aneks dotyczący niewykorzystania tego wzoru nigdy. Trzeba przyznać, że przebiegłość, ale również doskonałość biznesmenów arabskich jest nieoceniona. - Zamyślił się.

„Nie dostrzegł romantyzmu sytuacji. Hmm... a to taki piękny gest... Chyba Patryk nie należy do romantyków, rozczarowałam się” - pomyślałam.

- Mademoiselle Adrianna? - Stał nade mną posłaniec z wielkim bukietem czerwonych róż.

- Yes, my name is Adrianna. What happened? - zapytałam oszołomiona.

- It's for you. - Nieznajomy przeszedł na angielski.

Wzięłam bukiet i nie wiedziałam, co zrobić, skąd się wziął. Zastanawiałam się, ale tylko przez ułamek sekundy. Spojrzałam na Patryka, wszystko było jasne. Mój nieromantyczny szef, skrycie przeze mnie ukochany, był jednak wyjątkowy. Drugi wielki bukiet róż od niego. Wiedziałam, że kocham go bardzo. Choć znajomość nie trwała zbyt długo, to czułam, że już inaczej nie będzie...

Usiadłam z bukietem w dłoniach, zatapiając twarz w wielości pąków, wchłaniając zapach, który pięknie mieszał

się z zapachami unoszącymi się w restauracji. Ta kompozycja zapachu będzie tkwić w mojej głowie już całe życie. Kelner podszedł do stolika z wielkim wazonem, tak wielkim, jaki tylko mógł pomieścić takie naręcze kwiatów. Podał szampana.

Do kieliszka był przywiązany czerwoną atłasową wstążeczką pierścionek.

- Adrianno, wyjdiesz za mnie? - zapytał Patryk, klękając przy mnie i zwinnie rozplątując wstążeczkę z kieliszka. W ręku trzymał piękny pierścionek. Skromny, a zarazem wytworny, wzorowany trochę na obrączkę.

- Marzyłam o tym od dnia, kiedy cię poznałam, Patryku. - Po policzku spłynęła mi łza. Nie mogłam wymarzyć sobie piękniejszych zaręczyn.

Wsunął mi ten pierścionek obok pierścionka zaręczynowego mojej babci Irenki, który noszę zawsze. Pasował obok tego nowego idealnie. Patryk z pewnością wiedział, że wybierając go, musi pasować do tego, który już mam, a który jest symbolem mojego jestestwa, zaś osadzony w nim rubin - symbolem miłości.

Siedzieliśmy do północy, opowiadając o sobie nawzajem. Historię mojej rodziny znał już po trosze, bo podczas podróży opowiadałam mu to, co ważniejsze. Okazało się, że on również interesuje się korzeniami swoich przodków i zaczął nawet robić drzewo genealogiczne, jednak jako mężczyźnie zabrakło mu cierpliwości oraz skrupulatności w dociekaniu, kto jest kim, kiedy i dlaczego. Obiecałam mu w tym pomóc, jak tylko nadarzy się okazja (czytaj: zamieszkamy razem).

Drzewo mojej rodziny jest już dawno gotowe, więc mam w tym wprawę. Jego rodzice i dziadkowie są rodzimymi Wielkopolanami. Nie przemieszczali się nigdzie i z dziada pradziada związani byli z Wielkopolską. Rodzice Patryka mieszkają w dużym domu na obrzeżach Poznania, blisko lasu. Zbyt dużym dla nich dwojga, jednak zawsze liczą na to, że Patryk wróci do nich i zamieszkają razem z żoną w tym zdrowym i ślicznym otoczeniu. Wszyscy, którzy tam bywają, mówią, że czują się tak, jakby byli na wczasach. Nie czuć tam bliskości wielkiego miasta, szumu samochodów, smogu w powietrzu.

Ojciec i matka są emerytowanymi nauczycielami. Patryk ma siostrę, która wyprowadziła się w Bieszczady, bo jest zapaloną alpinistką. Pasję tę podziela również on. Jak tylko może, ucieka z miasta i pędzi w góry, jak czasu ma mało, to w te bliskie, jak więcej, to pędzi do siostry, by w spokoju napawać się widokami tych potężnych monumentów stworzonych przez naturę. Mnie zawsze bliskie było morze, nie czuję tego porywu do gór. Możliwe, że nie miałam okazji poznać ich tajemnic oraz przyjemności, jaką sprawiać mogą spaceru po górskich szlakach. Może to wszystko przede mną?

Wróciliśmy do hotelu. Ta noc miała być inna niż wszystkie spędzone do tej pory. Miała być ukoronowaniem miłości, spełnieniem marzeń i nadziei na przyszłość. Gdy przekroczyliśmy próg pokoju, wszystko było już przygotowane.

- A więc przewidziałeś, że zgodzę się zostać twoją żoną?

- zapytałam zalotnie. - Skąd byłeś tego taki pewny? - To było już pytanie raczej retoryczne. Myślę, że to, co do niego czuję, było jasne od samego początku. Miałam jednak do tej pory wątpliwości, czy on czuje to samo.

Podszedł do mnie, przytulił mnie mocno do siebie. Blask świec, które kazał zapalić w każdym kącie hotelowego pokoju, sprawiał wrażenie spokoju i ciepła. Pocałował mnie czule, tak jak tylko on potrafi, dłońmi rozpinał sukienkę zapinaną na długi suwak umieszczony na plecach... Całując go, wtapiałam palce w jego włosy, czułam zapach jego perfum, jego ciała. Delikatnie posadził mnie na łóżku, zdjął z moich stóp czarne szpilki, które wiem, że uwielbiał. Całował tak delikatnie, że zapomniałam, kim jestem, kim byłam i kim będę. Rozpłynęłam się w rozkoszy na bardzo długo...

- Jest przepiękny. - Gdy leżeliśmy przytuleni, oglądałam swoją dłoń ozdobioną tym ślicznym klejnotem. - Spełniłeś wszystkie moje marzenia... o pracy, o życiu... Kocham cię.

- Ja tylko ciebie, Adrianno. - Pocałował mnie w ramię, a zaraz potem w usta. Kocham jego pocałunki. Wstał i nalał szampana, który chłodził się już od kilku godzin.

- Moët & Chandon Brut Imperial, rozpieszczasz mnie, Patryku.

- Cóż, jesteśmy w końcu w Paryżu, w mieście twego pradziadka. Jest wart, by uczcić w ten sposób tyle okazji - odrzekł i pocałował mnie w kolano.

Przygotował to wszystko perfekcyjnie, nie można mu tego odmówić. Czułam się jak bohaterka jakiegoś

romantycznego filmu. To miłe uczucie wiedzieć, że mężczyzna, którego masz poślubić, tak dobrze zna twoje pragnienia, czyta z ciebie jak z otwartej księgi.

Paryskie dni mijały tak szybko. Zwiedzaliśmy wszystko, co tylko należało zwiedzić, chłonełam to wszystko swoim ciałem i duszą. Nie obyło się oczywiście bez inspiracji i szkiców, które powstały na podstawie tego, co widywałam. A inspiracją było wszystko: wijąca się droga wzgórza Montmartre prowadząca do bazyliki Sacré-Cœur. Powstał projekt naszyjnika w formie wijącego się wężyka imitującego krętą drogę. Wieża Eiffla stanowiła inspirację do stworzenia pierścionka, który był konstrukcją plecionej kuli osadzonej na mocnym podłożu obrączki. Mona Lisie najchętniej dorysowałabym naszyjnik z dużym sekretnikiem rzeźbionym ręcznie na wieku. I tak ciągle coś rysowałam, rysowałam, aż wypełniłam teczkę zwaną już teraz „paryską”. Patryk obserwował mnie podczas tych zajęć, popijając wino, gdy siedzieliśmy w maleńkich, uroczych kafejkach.

Zastanawiałam się czasami głośno, czy warto było, by pradziadek poświęcił rodzinę dla tego życia. Czy „to” życie mógł kochać bardziej niż żonę i córkę. Prawdopodobnie tak. Może aranżowane małżeństwo nie było spełnieniem jego pragnień... Może nie chciał osiąść w małym Strzyżowie... Na pewno nie. Z tego, co wiem od jego córki, a mojej babci Irenki, nie miał kobiety ani więcej dzieci. Wdawał się tylko w przelotne romanse, a takie były tolerowane w tym wielkim mieście sztuki i miłości.

- Czas pakować walizki - powiedziałam smutno - choć

może to i dobry pomysł – kontynuowałam. – Gdy wrócimy, zajmiemy się realizacją zleceń oraz naszymi klientami dla naszego potentata z Dubaju.

Od jakiegoś już czasu pracowałam dla firmy bardziej stacjonarnie. Projektowałam w siedzibie, doglądałam pewnych spraw, by pomóc Patrykowi. Mieszkałam również u niego. Podczas weekendów odwiedzałam rodziców i odpoczywałam w małym miasteczku, zawsze szukając inspiracji do projektowania. Współpracownicy przywykli do tego, że przyjeżdżamy i wychodzimy razem. Teraz plotki na nasz temat umilkną, po powrocie oznajmimy, że jesteśmy zaręczeni.

Wracaliśmy samochodami, my oraz kilku pracowników wraz z kolekcją transporterem, który wiozł całą aranżację stoiska. Droga mijiała szybko, ja jak zawsze zastępowałam radio, ciągle coś opowiadając i przeżywając. Zatrzymaliśmy się na nocleg w Niemczech, lecz załoga musiała jechać dalej, zmieniając się za kierownicą. Obawialiśmy się kradzieży, która mogła mieć miejsce na parkingu przed hotelem.

Bukiet moich róż, już, niestety, przywiędłych, jechał z nami. Zabrałam go do hotelu, wiedząc, że to już ostatnie jego tchnienia. Gdy Patryk brał prysznic, rozsypałam wszystkie płatki z róż na łóżku i podłodze. „Sprzątaczką będzie przeklinać mnie przez miesiąc, ale trudno” – pomyślałam, tym bardziej że efekt mnie zachwyił. Patryka również.

Kochaliśmy się tej nocy w płatkach róż na łóżku, podłodze... Było wspaniale, jak zawsze, wyjątkowo, jak

w Paryżu...

Po powrocie rzuciliśmy się w wir pracy. Należało dokładnie zrealizować zamówienia klientów, zamówić surowce oraz zacząć opracowywać nową kolekcję inspirowaną Paryżem.

Najważniejszym zadaniem było jednak dopracowanie projektu kolia dla Amall - uroczej ukochanej naftowego potentata. Zadaniem tym obarczył Patryk mnie. Wiedział bowiem, że uwielbiam takie wyzwania. Nie pomylił się. Kolia miała być ogromna, symbolizować i charakteryzować kraj, z którego pochodzi właścicielka kolia. Amall często uczestniczyła w towarzyskich, a zarazem biznesowych spotkaniach Akrama. Była jego wizytówką, dlatego chciał, by olśniewała wyglądem, co zresztą bez trudu czyniła i tak. Miała błyszczeć ponad wszystko, a kolia winna potencjalnym kontrahentom przypominać, gdzie i u kogo goszczą. Taka po trosze miłość połączona z biznesem. Cóż, należało teraz wykonać zadanie tak, by Akram był zadowolony i zakupił kolię bez większych ingerencji w projekt.

Zaczęłam dopracowywać wstępny szkic wykonany podczas wystawy. Zamknęłam się w pracowni, w ciszy. Nie lubię, gdy podczas pracy, zwłaszcza nad czymś ważnym, ktoś mi przeszkadza. Dłoń pracowała szybko, pomysł rodził następny pomysł, kartki mnożyły się na blacie, jedna, druga, piąta, dziesiąta. Tak, ta dziesiąta ujęła chyba wszystko, co chciałam, i oby również wszystko, czego oczekiwалby nasz arabski klient.

Kolia miała mieć docelową wagę około 120 g. Grafik

komputerowy zatrudniony w firmie przeniósł projekt do wizualizacji w 3D. Teraz można było dopiero zobaczyć efekt mojej pracy. Naszyjnik wyglądał tak, jakby z szyi i dekoltu właścicielki spływały strużki złota łączące się w niektórych miejscach, tak jak przecina się woda spływająca po szybie. Najdłuższa strużka złota kończy się sporo przed linią oddzielającą obie piersi kobiety. Gdyby był to projekt dla Europejki, ta strużka kończyłaby się przy samym jej początku, jednak arabskie kobiety to z pozoru uosobienia aseksualności, nie wolno im w aspekcie swojej kobiecości podkreślać, mają być skromne emocjonalnie. Każda złota linia była zakończona kamieniami. Pierwszy raz użyłam połączenia takich kamieni jak koral, diament oraz perła. Trzy z pozoru niepasujące do siebie kamienie. Kamienie w kolorze flagi Dubaju. Kolia zawiera przede wszystkim kamienie czerwone, prostokątnie szlifowane, dalej perły i drobne diamenty. Zapięcie z tyłu kolii wieńczyła również strużka złota spływająca na plecy, zakończona największym z diamentów. Tak dla intrygi. Gdy pani opuścić będzie spotkanie, a oczy współtowarzyszy jeszcze zwrócone będą na nią, zauważą ten zwisający na jej karku klejnot. Kiedy z grafikiem oglądaliśmy to dzieło, do pracowni wszedł Patryk.

- Spisałaś się, Ado! Jestem zachwycony - odezwał się do mnie dość oficjalnie, w końcu byliśmy w pracy. - Prześlijcie projekt do klienta z prośbą o akceptację i poproście o ewentualną propozycję poprawek - kontynuował. - Sądzę jednak, że nie będzie ich wiele.



- Jeśli zaakceptuje bazę kolii, to poprawki nie będą stanowić żadnego problemu. - Uśmiechnęłam się.

Tak się stało. Projekt jeszcze tego samego dnia trafił do klienta. Po trzech dniach dostaliśmy odpowiedź z akceptacją oraz gratulacjami, a także z zaliczką w kwocie jednej trzeciej wartości zgodnie z podpisaną umową. Radości w firmie nie było końca. To była pierwsza taka duża transakcja dotycząca jednego, jedyne go przedmiotu. Mieliśmy nadzieję, że nasz potentat zamówi z czasem do kolii kolczyki oraz resztę akcesoriów. Na wykonanie kolii mieliśmy cztery tygodnie, więc dość czasu na sprowadzenie odpowiedniego kształtu koralu oraz prawdziwych pereł o różnej wielkości. Logistyczne rozwiązanie, by dostarczyć tak cenną przesyłkę do Arabii, nastroczało, niestety, sporo kłopotów. Przesyłka należy wszak do bardzo cennych, toteż trzeba ją dobrze zabezpieczyć oraz ubezpieczyć. Podołaliśmy i temu. Cztery tygodnie później, po otrzymaniu drugiej wpłaty, kolia wyleciała w świat. To było dla mnie bardzo ważne przeżycie, dla młodego projektanta i zarazem narzeczonej dyrektora. Oby to obróciło się w sukces, bo inaczej nie zniosłabym porażki, o której mówiono by tu zapewne przez rok. Na swój sukces chcę zapracować sama, a nie przez małżeństwo. Jak się okazało kilka tygodni później, otrzymaliśmy e-mailem zdjęcie z brunchu biznesowego, na którym Amall i Akram stoją z kieliszkiem szampana w rękach, a szyję partnerki zdobi moja, a właściwie już jej kolia. Piękne zdjęcie, piękny produkt. Na fotografii widniał napis: „Gratulacje, dziękujemy!”. To bardzo wylewnie jak na ludzi tej kultury.

„A jednak sukces” - pomyślałam, a Patryk przytulił mnie do siebie.

- Od pierwszego dnia wiedziałem, że to ty będziesz największym klejnotem tej firmy, potrzebowałaś tylko oszlifowania - szepnął i pocałował mnie przy wszystkich w koniuszek ucha. Miał do tego prawo, w końcu mieliśmy się pobrać.

Ostatnia transza z Arabii wpłynęła w terminie. Postanowiłam pójść dalej i w rewanżu za podziękowanie wysłałam projekt kolczyków, który od razu kielkował mi w głowie podczas pracy nad kolia. Wysłałam ją do Akrama z poleceniem Juwelii na przyszłość jako wykonawcy tejże dedykowanej kolekcji. Nie odezwał się, lecz to milczenie nie dotknęło mnie wcale. Wiedziałam bowiem, że jak przyjdzie czas i zechce, to odezwie się sam.

## Rozdział 11. | Smutek

Czarno, czarno, ciemno... Nic innego nie odczuwała. Te trzy dni, które spędziła, czuwając przy pokoju, w którym leżało ciało ojca. Ciało, w którym nie było już ducha, nie było życia. Myślała, że to już trwać będzie wiecznie. Chciała, by trwało wiecznie. „Po co żyć, gdy ojca nie ma już wśród nich? Po co żyć bez jego wsparcia, bez polowań, bez plenerów fotograficznych? Po co to wszystko?”. Myśli córki były przygnębiające, kłębiły się w jej głowie tak bardzo, tak nieznośnie, i były nie do okiełznania.

„Może odejdę z nim? Może powinnam mu towarzyszyć?” – takie zadawała sobie pytania. Spojrzała na matkę, która w czerni i ze smutkiem na twarzy krzątała się po domu, nie odezwałszy się do nikogo od dnia śmierci męża, i zrozumiała wtedy, że nie mogłaby jej tego zrobić. Dostyc się nacierpiała. Mimcia, Danuta, wszyscy. Wszystko było czarne, smutne. Nawet ci ludzie, którzy z ciekawości, a może nawet z nieudawanego żalu przechodzili koło domu. Znowu kiwali głowami. „Jak doktorowa sobie teraz poradzi, jak?” – zapytywali siebie nawzajem.

Odczucia Ireny były nieco inne. Wiedziała, że nie zdoła mieszkać w tym domu bez Kazimierza. Czuła, że

w miasteczku nie znajdzie zrozumienia. Miała już w głowie plan, którego jeszcze nikt nie znał. Wiedziała od dawna, że dni męża dobiegną końca, że doczeka on ostatek sił matury ukochanej córki, że dopilnuje, by nic się jej nie stało. Wiedział, że dalej sobie poradzi.

Na pogrzebie były tłumy. Nekrolog Kazimierza wywieszony był we wszystkich okolicznych kościołach, tak by wszyscy, którzy go znali, mogli uczestniczyć w jego ostatniej drodze. Rodzina pogrążona w smutku szła za ukochanym ojcem, mężem. Grób pokryła gruba warstwa kwiatów. Zaświeciło piękne słońce, gdy opuszczali cmentarz. Grażynka zerknęła wtedy ku górze.

„Będę czuwał nad tobą zawsze, grzybelku” - usłyszała. I była już pewna, że ojciec będzie z nią zawsze. Uśmiechnęła się ku temu słońcu i pewniej spojrzała w przyszłość.

Od tego dnia przychodziła na cmentarz codziennie. Rozmawiała z ojcem ku zdziwieniu ludzi.

„Co ich to obchodzi? Ważne, że czuję jego obecność” - myślała. Codziennie zdawała mu relację z tego, co robiła, co zamierza. Opowiedziała mu również o zmianie planów.

- Wiem, tatku, że chciałbyś, abym była weterynarzem jak ty, a może mnie się tylko tak zdawało... Zawsze mawiałeś, że to taka ciężka praca. Chciałabym być prawnikiem... Pomagać ludziom. Co o tym myślisz? Tak, też myślę, że to dobry pomysł - potwierdziła, jakby słysząc jego aprobatę. - Tak zrobię, złożyłam już dokumenty na Wydział Prawa - kontynuowała.

Zbliżał się październik. Grażyna dostała się na studia

prawnicze i niebawem miała rozpocząć naukę w Poznaniu.

- Musimy wybrać się na zakupy - zapowiedziała Irena. - Mima potrzebuje nowego płaszcza, a i nam się coś przyda. Grażynko, przygotuj samochód.

Zapakowały się do fiacika i ruszyły w drogę do Poznania. Mimcia rozpływała się nad marzeniem i wizją nowego płaszcza. To miał być jej pierwszy nowy płaszcz w życiu.

Grażyna myślała nawet ostatecznie, że w Mimci zaszła jakaś zmiana. Zaczęła o siebie dbać bardziej niż zwykle, zastanawiała się, co na siebie włożyć, no i te spacerunki w nieokreślonym celu do miasteczka. Czyżby wydarzyło się coś, o czym nie wie? Czy możliwe jest, by Marysia kogoś poznała?

- Grażynko, uważaj! - usłyszała głos matki i poczuła, że samochód traci przyczepność. Droga z asfaltowej zamieniła się w żwirową i auto wpadło w poślizg. Znalazły się w rowie do góry nogami. Grażyna bała się otworzyć oczy. Wiedziała, że żyje, czuła swoje członki, lecz bała się zobaczyć, co z matką i nianią.

- Wyjdźmy przez przednią szybę. - Szybę, która z hukiem wyleciała z obrotów. - Szybko! - zawołała Irena.

„A więc żyją” - pomyślała i otworzyła oczy. Nie przeżyłaby następnych dwóch pogrzebów i utraty reszty rodziny. Wygramoliły się więc z samochodu, nie czując większych obrażeń.

- I nie będzie płaszczyka... - powiedziała smutno Mimcia, będąc chyba w jakimś pourazowym szoku.

Irena stała i patrzyła w dal. Zbiegli się ludzie

z okolicznych domów, by udzielić pomocy. Na szczęście ktoś zaproponował wyciągnięcie auta z rowu za pomocą ciągnika i tak znowu stanęło na cztery koła, choć bez przedniej szyby i z uszkodzeniami na bokach.

Wróciły do domu wieczorem. Smutne. Wyczerpane wrażeniami. Usiadły we trzy przy stole. Trzy samotne kobiety. Trzy w wielkim pustym domu.

- Nie możemy tu zostać. Wyprowadzamy się! - zdecydowała Irena, jakby coś w niej pękło.

- Jak to? Mamy wyprowadzić się i opuścić rodzinny dom? Dom ojca? - krzyknęła Grażynka.

- Wychodzę za mąż - nagle odezwała się Maria. - Pan Jeremi, ten ze stróżówki ze młyna, oświadczył mi się.

Zapadła cisza. Jednak coś było na rzeczy. Grażynka czuła to od jakiegoś czasu. Rozumiała nawet Mimcię, że nie wiedziała, jak to wyznać, jak to rozegrać i jak opuścić panią w potrzebie. Jednak gdy Irena zaproponowała wyprowadzkę, sytuacja sama się rozwiązała.

- No więc jest jeszcze prościej. Sprzedajemy dom i wyprowadzamy się do Poznania. Nie mamy nic do stracenia, nie mamy już samochodu, twoja uczelnia, Grażynko, jest w Poznaniu. Marysia wychodzi za mąż. Postanowione. Od jutra zajmuję się sprzedażą.

Następnego dnia Grażyna była na cmentarzu, musiała ojcu opowiedzieć, choć on wiedział na pewno już wszystko.

- Dziękuję ci, tatusiu. Wiem, że dzięki tobie przeżyliśmy ten wypadek. Wiedziałam od dnia twego pogrzebu, że będziesz czuwał nade mną, tak to właśnie widzę. Mama

sprzedaje dom. Nie wiem, jak to zniosę, z tym domem łączę wszystkie wspomnienia związane z tobą, tatku... Jak mogę wyprowadzić się tak daleko od twojej mogiły... Jak mam cię odwiedzać!? – prawie krzyknęła. – Mama nie wie chyba, co robi. – Po policzku spłynęła jej łza. – Wiem jednak, że nie jest jej tu lekko bez ciebie, nie ma dochodów... To, co mamy, topnieje szybko, mama zaczęła Mimci płacić złotem, bo nie ma już pieniędzy... Wiesz, Marysia wychodzi za mąż. Wiem! – Wymyśliła. – Ona będzie doglądać twego grobu i przynosić ci świeże kwiaty, poproszę ją o to...

Na tę myśl ulżyło jej bardzo. Najbardziej ze wszystkiego obawiała się, że grób ojca popadnie w zapomnienie. Przeżegnała się nad grobem i szła ku wyjściu, gdy usłyszała głos ojca: „Zawsze jestem tam, gdzie ty...”. Uśmiechnęła się, wiedziała, że chciał ją w tym upewnić.

Chętny na kupno domu znalazł się szybko. To piękny i okazały dom. Pakowaniu nie było końca. Najważniejsze były jednak pamiątki po ojcu. Grażyna zapakowała je z matką bardzo starannie. Dyplomy ze studiów, tabliczkę z płotu z napisem „lekarz weterynarii”, aparat, strzelbę, wszystko. Nawet nie wiedziała, że Irena jest w duszy taka sentymentalna. Mimcia pomagała we wszystkim. To smutne, że rozstaniemy się już na zawsze. Może Mima w tej jesieni życia zazna trochę szczęścia, takiego osobistego, prywatnego... Zasłużyła na to.

Dom w Poznaniu był już kupiony. Nie był ani tak okazały, ani tak duży. Irena szukała małego domu, położonego blisko zieleni, na obrzeżach Poznania. Domek miał pięć pokoiów,

które w części planowała wynajmować studentom, by uczynić z tego źródło dochodu. Przy domku był niewielki sad. Tak, sad musiał być.

Nastąpiła wiosna, z którą rodzi się nowe życie. Wiosna, w której Kazimierz chorował i zbliżał się ku śmierci, napawała więc radością, a zarazem smutkiem.

Dom w Poznaniu był gotowy na przyjęcie nowych lokatorów. Nadszedł czas rozstania z Marysią, Marią, ale tak naprawdę z Mimcią, ukochaną nianią Grażynki oraz wspaniałą gosposią Irenki. Maria, już nie Mika, a Nowaczyk po mężu, zamieszkała z nim w małym czynszowym mieszkaniu przy głównej ulicy miasteczka. Siadała teraz często przy oknie i patrzyła w dal. Może brakowało jej widoku ogrodu, kwitnących na wiosnę drzew, czerwonych jabłek jesienią... Została panną młodą w jesieni swego życia.

Rozstanie było bardzo smutne. Rozstawaliśmy się jak ludzie, którzy nie są już sobie nawzajem potrzebni, jak ludzie, którzy opuszczają dom - przystań ich wszystkich. Łzom nie było końca. Płakała nawet Irena, której nie zdarzało się to często. W głębi duszy żałowała, że nie zabrała Mimci ze sobą, ale wiedziała jednocześnie, że nie miałyby z czego jej płacić. Miała poczucie, że zostawia ją w dobrych rękach tego poczciwego Jeremiego. Wynajęty samochód czekał na nie. Patrzyły, jak Mimcia, już lekko zgarbiona, odchodzi podparta na ramieniu męża z małą walizką całego swego dorobku.

Nie spodziewała się, że tak to się kiedyś skończy. Że wraz ze śmiercią pana Kazimierza ich losy się rozejdą.



Odwróciła się jeszcze i pokiwała Grażynie na pożegnanie, na co ona odpowiedziała tym samym. Czuła się jak wtedy, gdy była dzieckiem i dropsy z kieszeni Mimci się skończyły. Wówczas myślała, że to niesprawiedliwe. Niesprawiedliwe właśnie nadeszło. Musiała zgodzić się z decyzją matki i opuścić dom, w którym przyszła na świat, dom, z którym wiąże się tyle wspomnień.

- Będę cię odwiedzać Mimciu, Obiecuję! - krzyknęła jeszcze przez otwarte okno.

Stanęli przed cmentarzem. Wsiadły i podeszły do mogiły ojca.

- Tatku, będę do ciebie przyjeżdżać każdego miesiąca. Obiecuję! - powiedziała głośno, choć i tak wiedziała, że on zna jej myśli.

- Do zobaczenia, Kaziczku. - Irena przeżegnała się nad grobem. - Idziemy, Grażynko, kierowca czeka.

Irena z ulgą opuszczała miasteczko. Poza egzystencjalnym spokojem nie zaznała tu ani rozrywki, nie licząc brydża oczywiście, nie chodziła do teatru, opery, bo ich w mieście nie było. Nie zaznała również zrozumienia u mieszkańców. Teraz czeka na nią to wszystko.

„Nadrobię stracone lata” - pomyślała.

Prace na ulicy Miodowej ruszyły pełną parą. Należało odnowić elewację domu. Przeszklić przedsionek. Ogród doprowadzić do stanu używalności, tak by jeszcze tej jesieni zebrać pierwsze plony. Na szczęście drzewa były stare i dorodne. Nie było już do pomocy Mimci, więc Irena wraz z córką same zakasały rękawy i ruszyły do ciężkiej pracy.

Domem zajmowali się wykwalifikowani do tego robotnicy pod bacznym nadzorem Ireny. Po kilku dniach ogród lśnił porządkiem. Usunęły stare gałęzie, wygrabiły stare śmieci i mogły być z siebie dumne. Wieczorem, gdy usiadły obie w nie tak wielkiej jak w Pniewach kuchni, popatrzyły po sobie z niedowierzaniem.

- Moje ręce... - Wysunęła dłonie ku Grażynce. - Czy ty widziałaś kiedyś takie ręce? Ale nic to, mamy dom, nasze nowe życie, damy sobie radę. Jutro wywieszę na osiedlu ogłoszenia o pokojach do wynajęcia. Ty zrobisz to samo na swojej uczelni. Jesienią studenci zaczną zjeżdżać do Poznania, a jak wiadomo, nie każdemu przysługuje akademik. To nasza szansa na dodatkowe dochody.

- Dobrze, mamó, pojedę jeszcze na Akademię Rolniczą, tam również zamieścimy informację. Może i w gazecie spróbujemy? - zaproponowała Grażyna.

- Dobry pomysł, lecz podaj tylko numer telefonu, by nikt nieproszony nas nie nachodził.

Temat pokojów był omówiony, więc wstały i zajęły się przygotowywaniem posiłku. Wszystkim Irena musiała zajmować się sama. Faktem jest, że z tak licznej rodziny pozostały we dwie. Danuta po śmierci ojca wzięła cichy ślub i zamieszkała z mężem. Mimci nie było, były same.

Grażyna kończyła swój pierwszy rok studiów z dobrymi, choć nie najlepszymi wynikami. Śmierć ojca, przeprowadzka, to wszystko nie wpływało dobrze na spokój i chęci do nauki. Postanowiła być lepsza na drugim roku.

Sytuacja stabilizowała się, dom na Miodowej stawał się

ich domem. Zaczynały czuć to swoim ciałem i duszą. W domku panował ruch. Irena miała rację, studenci wynajmowali dwa pokoje, więc ciągle był lekki rozgardiasz. Pieniądze wpływały regularnie, a jeśli nie, to Irena wymieniała lokatorów bez większych skrupułów. Dzięki tej sytuacji Grażyna zyskiwała nowych znajomych, zaś Irena - dochód.

Grażyna otrzymywała rentę po ojcu, którą w części wydawała na wyjazdy do rodzinnej miejscowości, na grób ojca. Kupowała dla niego świeże kwiaty, świece i rozmawiała z nim jak zawsze.

Dworzec PKS-u znajdował się właściwie przy cmentarzu, toteż Irena nie denerwowała się nigdy o bezpieczny powrót córki. Czasami zdarzało się, że wybierały się wspólnie. Co drugi miesiąc Grażynka odwiedzała również Mimcię, która słabła z każdym dniem. Nie zaznała długo szczęścia w małżeństwie. Po niecałych dwóch latach Jeremi oszedł na zawał serca. To był dla Mimci straszny cios. Nikogo poza Grażyną i Jeremim nie kochała tak bardzo. Tymczasem znowu została sama. Cieszyła się na te Grażynki wizyty. Przyjmowała ją zawsze jak tylko umiała najlepiej, choć najlepiej w jej znaczeniu to użyta po raz kolejny torebka herbaty i jedna łyżeczka cukru. Pozostała skąpa przede wszystkim dla siebie do końca życia.

- Wiesz, Grażynko - zagadnęła któregoś razu - jestem coraz starsza, nie mam dla kogo żyć, a Jeremi czeka na mnie tam na górze.

- Ależ Mimciu, co ty mówisz! Jesteś jeszcze młoda,

sześćdziesiąt lat to nie starość. – Sama nie wierzyła w to, co mówi, bo niespełna dwudziestoletniej Grażynce wydawało się, że to tak naprawdę przedsiónek śmierci, lecz nie chciała tego okazać.

– Przez te lata pracy u twych rodziców nazbierałam trochę złota. Weź, proszę, sięgnij do tego kalosza, co tam jest za łóżkiem. – Wskazała miejsce. – Wysyp to, co w nim znajdziesz, na stolik.

Grażyna wstała niepewnie i zrobiła, co jej kazała niania. Jej oczom ukazał się stary, zdeptany kalosz, a w nim wielka sakwa. Wzięła to do ręki i poczuła ciężar podobny połowie kilograma cukru. Wysypała zawartość na zdezelowany stolik przykryty serwetą z kilkoma plamami po herbacie. Jej oczom ukazał się majątek. Złoto we wszystkich jego obliczach i formach. Pierścienie, kolczyki, łańcuszki i najwięcej oczywiście pchełek – złotych monet kupowanych przez rodziców w czasach hodowli lisów. Największe jednak zdziwienie okazała Grażyna na widok broszy, tej broszy, którą jej matka otrzymała od swej babki Marii.

– Ależ Mimciu?? Jak to możliwe?! – prawie krzyknęła. – To przecież brosza mojej babki! Skąd ją masz? – Tak naprawdę bała się usłyszeć odpowiedź. Bała się, że Mimcia mogła ją ukraść.

– Twoja matka wydała bardzo wiele pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży złota podczas choroby twego ojca. Nie skarżyła się nigdy, dlatego nic o tym nie wiesz. Leki przeciwbólowe, najlepsze, jakie można było uzyskać, kosztowały majątek. Pan Czelny, jak wiesz, nie zarabiał

ostatnimi miesiącami, nie miał już sił pracować. Trzymali to w tajemnicy, bo wiedzieli, że i tak martwisz się bardzo, i chcieli oszczędzić ci jeszcze dodatkowych zmartwień dotyczących pieniędzy. – Popiła łyk już zimnej herbaty. – Miałaś przed sobą maturę i egzaminy na studia. Ojciec twój wiedział, że jego śmierć przybije cię na dobre. Kategorycznie zakazał pani mówić o chorobie w twojej obecności, a także o trudnościach z płatnościami. – Zamyśliła się głęboko. – Nie mylił się – kontynuowała. – Gdy zmarł, domyślałam się planów pani. Wiedziałam, że nie zostanie w miasteczku. Nie miałyby poza rentą środków do życia i utrzymania tak dużego domu oraz mnie, gosposi. Wtedy przystałam na propozycję Jeremiego, który od miesięcy zabiegał o moją rękę. Wiedziałam, że ułatwię tym decyzję twojej matki.

– Mimciu, co z broszą?

– Tak, tak... Spójrz, są tu pierścionki twojej matki, nie tylko ta brosza stanowiła zapłatę za moją pracę.

– Płaciła ci złotem? – Teraz zrozumiała.

– Tak, córeńko. – Czasami tak się do niej zwracała. – Wiedziała chyba, że i tak kiedyś wróci to do ciebie. Nie mam przecież nikogo i to wszystko, co tu widzisz, dziecko, będzie po mej śmierci twoje. Rozumiesz już?

– Tak, teraz wszystko jest jasne... Mimciu, a ja myślałam... – Zawstydziała się.

– Nie szkodzi, kochanie. Nie dziwię ci się. Skąd ja, stara i biedna miałabym mieć tyle majątku. Pracowałam na to całe życie. Niczego mi w życiu nie brakowało, miałam was, dom, wikt i opiekę. Na co miałam wydawać zarobione pieniądze?

Pamiętasz tę górę grosików na stole? - zapytała. - Za nie wszystkie kupiłam tę malutką monetkę. - Trzymała teraz w dłoniach maleńką jak paznokieć monetkę.

- Mimciu, jesteś niesamowita! - odpowiedziała i przytuliła się do niej.

Czuła kruchość jej ciała, jej osłabienie, jej wiek. Schowała to wszystko z powrotem i zapakowała do kalosza za łóżkiem.

- Za miesiąc odwiedzę cię znowu. - Ucałowała kobietę w policzek. Wiedziała, że powinna odwiedzać ją częściej, bo miesiące Mimci mogą być już policzone.

Całą drogę do domu myślała o tej sytuacji. Gdy tylko wróciła, zwróciła się do matki:

- Weźmy Mimcię do siebie, mamó. Ona jest chora i słaba.

- Nie ma mowy, Grażyno - odpowiedziała stanowczo. - Nie ma miejsca, dobrze wiesz, że wynajmujemy pokoje i potrzebujemy pieniędzy.

- Nie wierzę, że to mówisz, mamó! - Takiej bezdusznej Ireny córka nie znała. Nie umiała tego wytłumaczyć ani zrozumieć. Klamka jednak zapadła, matka była nieugięta.

Całą noc nie mogła zasnąć. Myślała o tym wszystkim. Wiedziała, że musi zorganizować dla Mimci opiekę na miejscu, by ktoś do niej przychodził, doglądał i przynosił zakupy. Tak, miała się tym zająć przy następnej wizycie.

## Rozdział 12. | Replika

Kolekcja paryska, która pojawiła się na jesieni w salonach, zyskała uznanie klientów. Juwelia miała nowy salon w Gdyni, na którego otwarciu pojawiliśmy się oboje, już jako małżeństwo. Uznaliśmy, że skoro kochamy się i pracujemy razem, a do tego zajmujemy jedno mieszkanie, to nie ma na co czekać.

Nie było wesela. Urządziliśmy małe przyjęcie z najbliższą rodziną u boku. Sukienkę miałam prostą do ziemi, szytą na zamówienie według mojego pomysłu. Miała półokrągły dekolt, długie rękawy wykończone koronką z sukni ślubnej mojej mamy. Taki detal na szczęście. Wykonałyśmy z niej mankiety, które sięgały prawie do łokci i zapinane były na kilkanaście pereł. Na szyi miałam kolię z drobnych perełek ze złotym sercem opadającym na dekolt. Na nim wygrawerowane nasze inicjały „A.P.” oraz data naszego ślubu „15 sierpnia”. Włosy puszczone były luźno, lekko pofalowane. We włosach mały, drobny motylek z białego złota wysadzanego trzema diamentkami. Całość wyglądała dostojnie, a zarazem skromnie. Patryk zaprezentował się we fraku i wyglądał w nim jak z innej epoki, co bardzo przypadło mi do gustu. Ja z moimi mankietami z koronki po mamie i on

we fraku wyglądaliśmy trochę jak para z przeszłości. Bardzo mi się to podobało.

Uroczystość przebiegała w dobrych nastrojach, były tańce, rodzinne historie. Honorowe miejsce na ślubie miała oczywiście babcia Irena. Teraz już osiemdziesięciodwuletnia, drobniutka kobieta z siwymi, a właściwie białymi włosami. Siedziała na wygodnym fotelu na środku długości stołu, tak by mogła swobodnie wszystkich obserwować, a przede wszystkim swą jedyną wnuczkę - mnie. Ubrana była pięknie, czym wzbudzała podziw całej rodziny. Postarałyśmy się z mamą o bluzkę z białym żabotem, seledynową marynarkę oraz kremowe spodnie. Do tego buciki ze skórki zdobione złotymi guziczkami. Bez biżuterii się nie obyło. Babcia została ozdobiona kolczykami i pierścionkami. Dwa pierścionki wykonane według jej sugestii w Juwelii, na jej życzenie. Tak, miałam to we krwi, bez wątplenia po niej. Około godziny dwudziestej odwieźliśmy babcię do hotelu, gdzie czekała na nią opiekunka, by spędzić z nią noc, tak by niczego jej nie brakowało.

Nasze rodziny polubiły się. Z radością i nadzieją patrzyły na naszą długą i wieczną miłość.

To szczęście mieć kochającego męża, lecz chyba jeszcze większym szczęściem jest robić w życiu to, co się kocha, i móc się z tego utrzymać. Taką sytuację nawet trudno nazwać pracą. To po prostu hobby. Tak mogłam określić swoją sytuację. Często jeszcze jako uczennica liceum myślałam o tym, oglądając filmy dokumentalne lub czytając artykuły o ludziach, którzy na przykład zajmują się



wspinaczką, są ratownikami TOPR-u i łączą pasję z misją. Albo przypadek szwaczki, która poświęciła się pasji i dziś odnosi sukcesy jako projektantka. Tak, połączenie umiejętności z pasją to coś, co udaje się, niestety, niewielu ludziom. Wtedy postanowiłam, że też tak zrobię. Nie zaprzepaszczę tego, że mam w żyłach płynące złoto i talent do rysunku. Dziś patrzę na to i wdzięczna jestem losowi, że tak mną pokierował, że jestem jedną z tych nielicznych, którym się to udało.

Kondycja firmy poprawiła się znacznie. Stosunki międzyludzkie - cóż, z tym bywało różnie. Większość pracowników zaakceptowała fakt mojego istnienia i pracowało się z nimi bardzo dobrze. Jednak nieliczni nigdy się z tym nie pogodzili, na przykład sekretarka, która pierwszego dnia, gdy pojawiłam się w firmie z teczką pod pachą i wyszłam z rumieńcem na twarzy, postanowiła konkurować ze mną o względy Patryka. Myślałam jednak, że jej to przejdzie, gdy zobaczy moją obrączkę na palcu, a jeszcze bardziej, gdy zobaczy zaobrączkowanego Patryka. Niestety, chyba niewiele to pomogło. Za każdym razem, gdy przestępowałam próg gabinetu męża, ona się tam kręciła, subtelnie rozsiewając swoją kobiecą aurę, podkreślając swe wdzięki ubiorem oraz zapachami najlepszych perfum. Drażniło mnie to bardzo. Udawałam, że tego nie widzę, udawałam nawet, że jestem jej przyjazna i przychylna, choć nie było to łatwe. Najchętniej kazałabym jej nosić uniform. Najlepiej w kolorze zielonym ze znakiem firmowym na plecach. Dobrze, wiem, że jestem straszna, wiem.

Zazdrość to okropne uczucie, nie daje spokoju. Sama myśl o tym, że ktoś całuje mojego ukochanego, dotyka go, jest nie do zniesienia. Nie mogę tego jednak Patrykowi okazać. To nie fair wobec niego. No przecież należy sobie ufać. Tylko jak to zrobić? Popracuję nad sobą. Dam radę.

- Co ona znowu tutaj robiła? - Nie wytrzymałam i moje postanowienie pękło jak bańka mydlana, gdy poczułam zapach jej perfum w jego biurze.

- Pracuje tutaj - odpowiedział. - Czy coś się stało, Adrianno?

- Wiesz, kocham cię i jestem o nią po prostu zazdrosna. - Spuściłam głowę, bo wstyd mi było za samą siebie.

- Jeśli chcesz, zwolnię ją. Powiedz tylko słowo.

- To bez sensu pozbawiać kogoś pracy z powodu mojej zazdrości, ale może jednak ten uniform? - wypowiedziałam głośno swoje myśli.

- Słucham?? Jaki uniform? - Nic nie rozumiał.

- Yyyyyy... Nic, nic! Tak sobie głośno myślę. Kocham cię, zmykam do pracy. - Pocałowałam go w jego małe uszko i odwróciłam się na pięcie.

Dopracowywałam pomysł kolczyków dla Akrama, bo okazało się, że mój projekt, który wysłałam na zakończenie pierwszej transakcji, pozostawił sobie i już wtedy miał wobec niego plan. Prosił o skrócenie długości zaproponowanych kolczyków i o osadzenie w każdym po dodatkowym brylancie. Kończyłam już szkic, gdy wszedł Patryk z dziwną miną.

- Kochanie, muszę jechać do Gdyni. Są jakieś kłopoty z ubezpieczeniem salonu, a dokonano już jednej kradzieży.

Trzeba zorganizować monitoring i tym podobne sprawy.

- Nie mogę z tobą jechać. Mam masę pracy. -  
Posmutniałam.

- Pojedzie ze mną Jagoda. Weźmie dokumentację salonu i inne niezbędne rzeczy.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Nie mogłam pokazać tego, co teraz poczułam. Nie mogę zachować się jak histeryczka, która prawie rok po ślubie nie ufa mężowi.

- Oczywiście, jedźcie ostrożnie - powiedziałam, ledwo powstrzymując łzy.

- Spakuję się szybko i jutro wieczorem wrócę. Do zobaczenia, skarbie! - Pożegnał się szybko.

Zostałam sama z zapachem jego perfum na skórze. Nienawidzę rozstań! Nie znoszę pożegnań! Czuję smutek tak duży, że aż boli. Nie chcę widzieć, jak odwraca się i odchodzi. Patrzyłam przez okno, jak wsiada do samochodu, naszego samochodu, i otwiera jej drzwi. Zrobiło mi się słabo. I niedobrze. Pobiegłam do łazienki i wymiotowałam.

Ten wieczór był najgorszym w moim życiu. Postanowiłam, że nie wezmę prysznic, że chcę pachnieć nim do jutra wieczora. Będę udawać, że przed chwilą tu był. Całował mnie, jak tylko on potrafi, przytulał tak mocno, szeptał do ucha. Zapaliłam świece. Uwielbiam atmosferę, którą one dają. To żółte ciepło, ten drgający płomyk. Taki sam nastrój jak w dzień naszych zaręczyn. Muszę do niego zadzwonić. Teraz, natychmiast!

- Halo? Słucham?

„Niemożliwe. Dlaczego? Jak śmie odbierać jego

telefon??”

- Jagoda, poproszę męża do telefonu - powiedziałam resztką sił.

- No cóż, to trudne.

- Nie drocz się ze mną - powiedziałam stanowczo, właściwie prawie krzyżąc.

Chyba tylko podsyciłam jej apetyt na intrygę.

- Jest pod prysznicem. Zadzwoń później. - Rozłączyła się.

To koniec. Jak mogłam być tak głupia? Dlaczego on mi to zrobił? Ona, wiadomo, kochała się w nim od zawsze, wtedy zjawiłam się ja i skradłam jego serce. Nie na długo, niestety. Zrobiło mi się znowu niedobrze, znowu wymioty. Wszystko ze stresu.

Płakałam, zgasiłam świece. Już nigdy ich nie zapalę. Najszczęśliwszy dzień stał się najgorszym.

Gdy już nie miałam sił na nic, zadzwonił telefon. Wyświetlił się jakiś nieznany mi numer. Byłam pewna, że to ona. Że dalej chce bawić się moim kosztem.

- Weź go sobie! Wygrałaś! - krzyknęłam.

- Halo! Ado, co się stało? - usłyszałam głos wystraszonego Patryka.

- Patryk, to ty? - Byłam zdezorientowana.

- Tak, zostawiłem komórkę w pokoju. Dzwonię z recepcji hotelu, w którym mam spotkanie, bo czułem, że będziesz dzwonić i niepokoić się, że nie odbieram - tłumaczył. - Ale co ty mówiłaś? Co mam wziąć? O co chodzi? - zapytał zmartwiony.

- Gdzie jest Jagoda? - spytałam.
- Została w hotelu. Nie jest mi potrzebna.
- Patryk, ona odebrała twoją komórkę! - Usłyszał dziwny odgłos, jakby... wymioty?
- Adrianna, Ada! - wołał do słuchawki.
- Przepraszam, to już trzeci raz dzisiaj. - Wzięłam telefon ponownie do ręki. - Kochanie, ona powiedziała, że jesteś pod prysznicem... - Zapłakałam, nie miałam sił udawać, że jestem silna. Nie jestem.
- Kochanie, wracam natychmiast do ciebie!
- Ale jest dwudziesta druga, będziesz tu nad ranem.
- Czekaj na mnie! - Rozłączył się.

Poczułam się lepiej, choć tak naprawdę mógł również odegrać całą tę scenę. Tylko po co? Nie mamy jeszcze dzieci, może się ze mną rozwieść w każdej chwili, skoro zrozumiał, że kocha Jagodę. Wykończona usnęłam.

Siedział na łóżku, głaskając moje rozrzucone na poduszce włosy. Pasma po paśmie. Otworzyłam oczy. Była piąta nad ranem. Siedział w koszuli. Poluzował tylko krawat, zapewne jeszcze podczas jazdy. Miał podkrążone oczy, widać to było w świetle nocnej lampki.

- Nie będę cię przeproszał, kochanie, bo nic się nie stało. Może jedynie za to, że w ogóle wziąłem ją ze sobą - powiedział smutno. - Nie wiedziałem, że można być tak głupią i nieodpowiedzialną istotą, by sądzić, że ujdzie jej to na sucho. Chyba coś ją opętało. Może i dobrze, sprawa zakończy się, zanim się w ogóle zaczęła.

- Nie wiem, jak miałabym żyć bez ciebie... - szepnęłam.

- A ja bez ciebie. Kocham cię, Adrianno Silska.

Zaśmiałam się. Lubiłam, gdy tak do mnie mówił. Zawsze wiedziałam, że moje nazwisko będzie długie i kończące się na „-ska”. Długie nie jest, ale końcówka jest zachowana. Położył się koło mnie, przytulił mocno, całując w szyję, i tak zasnęliśmy snem spokojnym, ułożeni jak dwie łyżeczki w komodzie.

Obudził mnie zapach kawy i smażonego jajka. O nie! Znowu.

Pobiegłam do toalety. To już nie było normalne. Trzeba zrobić test. Chociaż planowaliśmy zaczekać z dziećmi jeszcze trochę, to w życiu nie zawsze wszystko układa się zgodnie z planem, zwłaszcza przyjscie na świat potomstwa.

Patryk nie usłyszał odgłosów z łazienki zaabsorbowany kulinarnymi wyczynami. Jego menu jest jednak krótkie: jajecznica oraz naleśniki z pięciu jaj. Dobrze i to. Z głodu przez kilka dni bym nie umarła.

Posililiśmy się, ja nawet dość znacznie, bo po tych wczorajszych żołądkowych incydentach naprawdę byłam godna. Ledwie przekroczyliśmy próg firmy: oznajmiono nam, że dzwoniła zdenerwowana Jagoda, że nic nie rozumie i że nie ma jak wrócić. Patryk kazał przekazać jej, że ma kupić bilet i wrócić pociągiem.

Następnego dnia rano weszła poirytowana do firmy, wlokąc za sobą zapach jakichś duszących tym razem perfum.

- Co się stało? Co to ma znaczyć? - Wparowała oburzona do gabinetu prezesa. - Jak mogłeś mnie tak zostawić?

- Nie pamiętam, byśmy mówili sobie per ty -

odpowiedział.

Zbił ją z tropu. Zrozumiała, że zapędziła się nieco za daleko.

- Proszę! To wypowiedzenie dla ciebie ze skutkiem natychmiastowym. - Podał jej dokumenty do podpisania.

- Ale, ale... Jak to? - Zbladła.

W tym momencie weszłam do gabinetu. Chyba zrozumiała, że nie uwierzyłam w tę historię, w tę perfidną intrygę, którą uknuła za moimi, naszymi plecami.

- To koniec! Podpisz i odejdz - powiedziałam.

Wyjęła z torebki telefon, ten, który został w hotelu tej feralnej nocy, i rzuciła nim w Patryka. Uchylił się na szczęście. Telefon trafił w szybę za jego plecami i zrobił na niej pęknięcie.

Jagoda wściekła podpisała dokumenty i wybiegła, pozostawiając za sobą odór perfum oraz rysę na szybie.

- Wiesz, kochanie, nie będziemy wymieniać tej szyby. Niech przypomina nam o tym, że zawsze mamy sobie ufać - powiedziałam i usiadłam mu na kolanach.

- I pamiętać, żeby unikać ludzi niepoczytalnych. - Pocałował mnie mocno.

Wstał, posadził mnie na biurku i odszedł.

„I po przyjemnościach” - pomyślałam.

Zamknął drzwi swego gabinetu. Podeszedł do mnie. Pocałował. Całował wszędzie, z dołu do góry i z powrotem. Pracowaliśmy ze sobą już drugi rok, małżeństwem byliśmy prawie rok, a nie kochaliśmy się na biurku ani razu. Trzeba to było nadrobić. Teraz, natychmiast. Było wspaniale,

leżeliśmy wyczerpani na podłodze...

- Z perspektywy podłogi też ładny ten gabinet, panie dyrektorze. - Zaśmialiśmy się.

- Jesteś niemożliwa i taka piękna.

- Jesteś taki delikatny i mądry, kocham cię. Czas się zbierać, praca czeka.

Zakręciło mi się w głowie.

- Kochanie, wróć wcześniej do domu, ja tu dokończę kilka rzeczy, zlecę zastępstwo w sekretariacie i szybko do ciebie dojadę.

Tak się rozstaliśmy. W drodze do domu postanowiłam zatrzymać się w aptece. Pora sprawdzić przyczynę tego samopoczucia. Czułam się jak małolata, która nie wie, jak poprosić o ten mały test. Jak to powiedzieć? Co powiedzą inni?

„Halo! Jesteś dorosła, jesteś mężatką, czas na dzieci!” - uprzytomniłam sobie. Tak, tak, to prawda.

Z testem w ręku wsiadłam do samochodu i natychmiast po wejściu do domu pobiegłam do łazienki. Bałam się na niego spojrzeć... Może jednak nie... Może to tylko osłabienie.

Uszykowałam kolację. Zapaliłam wszystkie świece. Dzień był długi, w końcu to sierpień. Zasłoniłam rolety, by sprowadzić mrok. Zrobiło się nastrojowo. Zapach krewetek w cieście z sosem cytrynowym zachęcał do podkradania z półmiska, co też bezkarnie czyniłam.

Pierwsze, co zobaczyłam, to wielki bukiet, tym razem różowych róż.

- Różowe? - zdziwiłam się.



- Różowe według kwiaciarki, a chyba się na tym zna - tłumaczył - oznaczają długie, szczęśliwe życie w miłości.

- Wow! Świetnie, na takie właśnie liczyłam. - Pocałowałam go.

Kolację zjedliśmy ze smakiem, nie obyło się bez zachwytów nad moimi kulinarnymi talentami, które zresztą zawsze chętnie przyjmuję.

Tymczasem Patryk odszedł od stołu, zaczął zbierać naczynia. Był bardzo tajemniczy. Usiadł ponownie. Lubiliśmy siedzieć przy tym jadalnym stole. Był duży, no, może zbyt duży jak na nas dwoje. Cóż, stanowił centralne miejsce naszej kuchni.

Wyciągnął z kieszeni pakunek. Pudełeczko miało wielkość kostki Rubika, zwieńczone było kokardką w kolorze fioletowym... rubinowym?

- Dziś 15 sierpnia, kochanie. Nasza pierwsza rocznica - zaczął. - Obiecałem ci kiedyś, że otrzymasz coś ode mnie. Okazja miała być zgoła inna, lecz ta, która nastąpiła, jest o wiele bardziej istotna.

Niemożliwe, byłam pewna, że zapomniał, to było dwa lata temu... Niemożliwe...

Rozpakował pakuneczek, wyłoniła się z niego replika broszy prababki Marii. Nie wiem, jak wyglądałam w tym momencie. Oczy miałam okrągłe i tak wielkie jak chyba nigdy w życiu. Po policzkach spływała mi łza.

- Nie wierzę... Niemożliwe... Wykonałeś ją.

- Tak, kochanie, z prawdziwymi rubinami, dokładnie tak, jak ją zaprojektowałaś, dokładnie tak, jak wyglądała na

żabocie twojej prababki.

Wzięłam ją do ręki. Czuć było jej ciężar. Jej piękno było olśniewające. Diamenciki lśniły jak migoczące na choince lampki w wigilijną noc.

- Tak ją sobie wyobrażałam, jej ciężar, jej fakturę, ciepło i zimno kamieni...

- Kocham cię - powiedział i przypiął mi broszkę do szarego luźnego kardiganu ubranego na małą czarną sukienkę. Wyglądała pięknie i wytwornie.

Wstałam i podeszłam do lustra. Tyle wysiłku włożyłam, by odnaleźć oryginał. Przeszukałam wszystkie antykwariaty, aukcje internetowe, rozpytywałam się na pchlich targach. Miałam nadzieję, że kiedyś odzyskam utracony rodzinny klejnot. Bez powodzenia, niestety.

Teraz miałam go, od niego zacznie się nowa historia, historia oparta na przeszłości.

- Nina, Nineczka.

- Co mówisz, kochanie? - zapytał, nie rozumiejąc.

Postawiłam przed nim maleńkie białe buciki zakupione przy osiedlowym pasażu.

- Kochanie, to najpiękniejszy prezent, jaki mogłem otrzymać. - Wziął mnie na ręce i okręcał wokół swej osi. - Dlatego tak źle się czułaś. Skąd wiesz, że to będzie dziewczynka?

Postawił mnie na ziemi.

- Wiem, po prostu wiem... Czuję złoto w jej żyłach. - Uśmiechnęłam się.

Ten dzień, a właściwie ta noc mogłaby się nie kończyć.

Mogłaby trwać wiecznie, niezmacona niczym i nikiem. Rozrzuciliśmy płatki różowych róż na łóżku i kochaliśmy się jak zawsze wspaniale i wiele razy...

Następnego dnia powiadomiliśmy rodzinę. Radości nie było końca. Najbardziej uradowała się babcia, która już od kilku tygodni po naszym ślubie nie wstawała z łóżka.

Mimo to mama podała jej telefon do ucha i gdy krzyknęłam, że będę mieć córeczkę o imieniu Nina Irena, powiedziała mi, że jej życie może już się na tym świecie zakończyć.

Sprawiłam jej tym wielką radość, tak powiedziała mi mama. Babcia czuła, że jej życie dobiega końca, a ukoronowanie go prawnuczką o jej imieniu było szczytem jej marzeń.

Babcia nie doczekała urodzin Niny. Pochowaliśmy ją obok dziadka Kazimierza na dwa miesiące przed jej narodzeniem. Ale wiem dobrze, że razem z dziadkiem patrzą sobie na nas tam z góry. No i są znowu razem...

## Rozdział 13. | Utrata

Grażyna zajęła się wszystkim. Opiekunką Mimci została Halina, która miała ją odwiedzać, przynosić zakupy oraz oporządzać mieszkanie. Była jej za to wdzięczna, bo Mimcia niewiele mogła już koło siebie zrobić. Słabła z dnia na dzień. Każda wizyta w miasteczku zaczynała się od odwiedzin u Mimci, następnie odwiedzała grób ojca.

Opowiadała mu jak zawsze wszystko. O matce, która radzi sobie dobrze, zarządzając i sama zajmując się domkiem. Tak go zdrobniale nazywały, bo był dużo mniejszy od tego rodzinnego. Irena zmieniła się bardzo. Stała się twardsza i bardzo pracowita. Nigdy nie była beczynna, jednak nie miała presji zarabiania pieniędzy. Teraz sytuacja się odmieniła. Należało utrzymać domek, Grażynę na studiach, choć ta dorabiała jako studentka, gdzie tylko się dało. Zapobiegawczość Ireny pozwoliła zachować część złota w nienaruszonym stanie. Studenci wynajmowali pokoje z roku na rok. Zachowywali się poprawnie i nie stanowili kłopotu dla właścicielek. Irena co srodę wybierała się taksą, jak mawiała, na ryneček mieszczący się blisko Starego Miasta i tam dokonywała przeróżnych sprawunków, które, jak to miała w zwyczaju, nazajutrz oddawała pod pretekstem,

że niedobre, nieładne i pod podobnymi wymysłami. Znali ją już tam dobrze i tolerowali jej maniery, bo jednak co jakiś czas dawała im dobrze zarobić. Bardzo kochała to duże miasto. Czuła się tam jak ryba w wodzie.

Raz na trzy miesiące wybierała się do Teatru Wielkiego. Ostatnio bawiła na *Tristanie i Izoldzie* Wagnera, którą napisał w 1859 roku. Opowiadała nazajutrz przy śniadaniu, że dawno nie przeżyła tak wspaniałego uczucia. Uwielbiała siebie w tym tłumie inteligencji, ubraną w swe najwytworniejsze stroje, czasami zupełnie jakby nie z tej epoki, przystrajała się biżuterią i skrapiała ulubionym zapachem różanym. Wyglądała pięknie, jej gładka nad wyraz twarz nabierała rumieńców, oczy lśniły błękitem. Tak, wyglądała pięknie.

Powodem do wzruszeń była jednak historia kochanków. Kochanków, których połączyła miłość wywołana czarem eliksiru. Szaleńcza i wymarzona przez każdego, kto posiada serce. Cała historia nasycona walką o szczęście i o miłość, uczucia targane jak gałęzie na wietrze, honor wystawiany na próbę. Ciągła walka o uczucie, na którym tak bardzo im zależało. Połączyła ich dopiero mogiła i bluszcz z niej wyrastający.

- Może trzeba było walczyć..? - zakończyła Irena.

- Mamo, o czym ty mówisz?

- A nic, nic, dziecko. Tak sobie głośno myślę. - Myślała o sobie i Janie Konieczkowskim.

Czasami nachodziły ją takie myśli. Nie była już młoda, a kontakt ze Strzyżowem urwał się po śmierci dziadków i nie

wiedziała wcale, co się tam mogło dziać. Nie wiedziała, czy Jan żyje, czy zdrow, czy samotny. Wątki miłosne obejrzone w sztuce bądź wyczytane w książkach, a czytała bardzo dużo, zawsze wywoływały w niej nostalgię.

Po dwóch tygodniach Grażyna znów zawitała w Pniewach. Stan Mimci pogorszył się. Siedziała przy niej bardzo długo. Obok była Halina. Nie sprawdziła się jako opiekunka. Czasami przychodziła, przynosząc czerstwy chleb. Wpływała na wizję życia i śmierci chorej Mimy.

Mieszkanko było zapuszczone, okna nieumyte, w chłodziarce kawałek masła i białego sera. Złość, jaka ogarnęła Grażynę, nie miała jak ujść. Nie chciała przy słabej Mimci wyzwać Haliny za niedbalstwo i brak odpowiedzialności. Sama wzięła się do sprzątanía. Nagotowała niani warzywnej zupy, którą ze smakiem zjadła, lecz, niestety, niewiele. Pani Halina w tym czasie siedziała jak jakiś sęp czekający na koniec swej ofiary.

- Może pani iść do domu. Nie jest pani tu dzisiaj potrzebna - zapowiedziała jej Grażyna.

- Marysia chce, bym tu z nią była - odrzekła i nie ruszyła się z miejsca.

- Ja najlepiej wiem, czego chce Marysia - próbowała dalej.

- Grażynko - słabym głosem odezwała się Mimcia - niech Halinka zostanie. Wiesz, obiecała, że po mojej śmierci zrobi mi wielki pomnik, taki wiesz... - odpoczywała chwilkę, bo i mówienie sprawiało jej już trudności - taki elegancki i duży, by wszyscy widzieli, że spoczywam tam ja i Jeremi. By

wszyscy wiedzieli, że Maria Mika-Nowaczyk tu spoczywa.

- Ależ, Mimciu, to oczywiste, że postawimy ci piękny nagrobek, dlaczego w to wątpiłaś?

- Halinka mi postawi... - zakończyła i usnęła.

Przebudziła się po godzinie. Halina nie ruszyła się z miejsca. Grażyna, krzątając się jeszcze po mieszkaniu, zaparzyła sobie wodę z cukrem, bo zapasu herbaty nikt nie uzupełnił.

- Grażynko - przebudziła się - weź z kalosza wiesz co...

Podeszła w znane sobie miejsce ukryte za wezglowiem łóżka, przykryte starą poszewką od poduszki. Ponieważ Halina nie sprzątała dokładnie, nie znalazła tego miejsca.

- To wszystko dla...ażynki... - majaczyła.

- Co mówisz, Mimciu? - zapytała zatrwożona.

Halina Baryła podniosła się z krzeselka, jakby słysząc swoje imię. Oczy miała tak okrągłe, że chciwość z nich bijąca nie mogła się nigdzie skryć. Ręce trzęsły jej się jak w jakimś letargu. Czuła intuicyjnie, że ta skromna kobieta ma coś ukryte, a może Mimcia jej coś kiedyś napomknęła? Trudno było to stwierdzić.

- To dla ...alinka - dopowiedziała.

- Halinki?? - zapytała, by mieć pewność.

Mima kiwnęła głową na znak potwierdzenia. Grażyna nie mogła uwierzyć własnym uszom, Halina natomiast chwyciła sakwę, naprędce się pożegnała i wyszła.

Wszystko ucichło. Grażyna miała wrażenie, że świat się zatrzymał. Ruch na ulicy ucichł. Ziemia przestała się kręcić. Koniec. Wola zmarłego lub umierającego była dla niej święta.

Tak ją uczono w domu. Czuła jednak, że stało się coś złego. Coś, co nie powinno się wydarzyć. Majątek tej słabej i pracowitej kobiety przepadł w rękach chciwej, wyrafinowanej harpii.

Ocknęła się jak z niemego filmu. Ściany mieszkania, choć brudne, odzyskały kolor. Trzeba działać.

- Mimciu - chwyciła ją za rękę - czy ty wiesz, co zrobiłaś?

- Tak, dałam ci złoto - odrzekła ze spokojem.

- Nie mnie, Mimciu, tylko Halince - prawie uniosła głos.  
- Mówiłaś: Halince.

- Nie, mówiłam: Grażynce...

Sytuacja była beznadziejna. Co zrobiłby tato?

„Tato! Pomóż!” - krzyczała w duchu do niego. Tyle rodzinnej biżuterii, która miała po śmierci Mimci wrócić do rodziny. Tak obiecała kilka miesięcy temu. Tak chciała zrobić. A teraz ta podła kobieta ucieka, wiedząc, jaki majątek trzyma w rękach, w tym broszę babki Marii.

- Co teraz? - zapytała samą siebie, lecz Mimcia jakby odzyskała przytomność.

- Musisz jej to odebrać! Szybko! Ubieraj się.

Wybiegła z kamienicy jak w amoku. Nie wiedziała, dokąd iść, w którym kierunku powinna się udać, choć doskonale wiedziała, gdzie ona mieszka. „Opanuj się. Spokojnie” - mówiła do siebie. Ta młoda dziewczyna musiała sprostać takiemu trudnemu zadaniu.

Pobiegła w kierunku kościoła. Gdy najmowała panią Halinę, myślała, że taka skromna i pobożna kobieta będzie



dla chorej idealna. Dobiegła do małego domku mieszczącego się za kościołem, blisko cmentarza. Stała przed tą lepianką, bo trudno to było nazwać solidnym siedliskiem. Zapukała w odrapane niebieskie drzwi. Zza nich słychać było szmery, szepty. Podeszła do okna, które mieściło się jakiś metr nad ziemią i sięgało biodra. Framugi stare, z łuszczącą się farbą. Dlaczego teraz to wszystko widziała, dlaczego wcześniej nie zauważyła tych detali? Może w tej koszmarnej sytuacji wszystko nabrało jaskrawszego koloru... koloru biedy i szachrajstwa.

- Otwieraj! - Teraz już waliła pięścią w drzwi.

Cisza.

- Otwieraj, bo wrócę tu z milicją! - Na szczęście posterunek był niedaleko, co wzbudziło strach u Baryłów.

Drzwi się uchyliły. W środku panował mrok. Jakieś małe dzieci zaglądały zza framugi drzwi jadalni. Wszystko w środku wyglądało jak z koszmaru, w powietrzu unosił się zapach staroci i brudu.

„Dlatego wtedy nie zaprosiła mnie do środka” - pomyślała.

- Czego chcesz? - zapytała Halina.

- Oddaj to, coś ukradła! - krzyknęła.

- Nie ukradłam! Dostałam, sama słyszałaś! - Teraz i ona krzyczała.

Grażyna nie była przyzwyczajona do krzyków, nikt nigdy w jej otoczeniu nie krzyczał. Wszystkie konflikty rozwiązywało się w rozmowie, spokojnej i rzeczowej, lecz nie w tej sytuacji, nie wśród tych prostych i aroganckich ludzi.

- Zbałamuciłaś Marysię! Obiecałaś złote góry, tymczasem złote góry ukradłaś - kontynuowała Grażyna. - Mówiła „Grażynki”, zbałamuciłaś i mnie, tak że straciłam rozsądek! Dobrze zwęszyłaś, że śmierć jest blisko i że coś ci musi skapnąć. Oddaj to wszystko, bo wrócę z milicją - zagroziła ponownie.

Do izby wszedł stary i chudy mąż, trzymając w ręku sakiewkę. Wysunął ją w jej kierunku. Wzięła sakiewkę w dłoń. Dobrze wiedziała, że to koniec. Złoto zostało w większości skradzione. Dobrze wiedziała, ile sakiewka ważyła przed niespełna dwiema godzinami, a ile waży teraz. Koniec. Nic już nie da się zrobić. Ukryli złoto, zanim tu doszła, może w kościele, może na cmentarzu. Kto to wie... Nie było sensu nawet wzywać milicji. Czasy były ciężkie i można było sobie tym tylko napisać jeszcze większej biedy, bo skąd niby tyle złota miałyby znaleźć się u jednej biednej kobiety i drugiej jeszcze biedniejszej? A w tym wszystkim ona, dwudziestoparolatka, próbująca walczyć o swoje.

Odeszła z tego przekłętego domu. Nie chciała tędy już nigdy nawet przechodzić. Chciała wymazać to zdarzenie z pamięci, na zawsze.

Wróciła do Mimci. Usiadła na łóżku i płakała w kołdrę. Ręka Mimci spoczęła na jej głowie jak kiedyś, gdy była mała.

- Nie płacz, córuś, nie płacz. Wszystko będzie dobrze. Pokaż, co masz.

Gdy łyzy już obeschły, wysypała zawartość sakiewki na łóżko. Mimcia pokiwała głową.

- Mogłam dać ci to dawno temu... Dlaczego nie

pomyślałam, ja stara, głupia... - Miała do siebie żal.

- Tu leży zmaterializowana twoja ciężka praca, i to niecała. Zasłużyłaś na to wszystko, a ona wzięła większość za nic, po prostu z chytryści i nieuczciwości - stwierdziła Grażyna. - Dobrze, że odzyskałam chociaż tyle. Brakuje tu wielu rodzinnych pamiątek, ale przede wszystkim żal mi broszy. To była pamiątka i symbol...

- Zawień to wszystko i zabierz do domu.

Była już bardzo wyczerpana. Te przeżycia osłabiły ją jeszcze bardziej. Grażyna postanowiła jednak nie wracać tego dnia do domu. Zadzwoiła z poczty do matki i powiadomiła ją o podjętej decyzji. Nakarmiwszy Mimcię, ułożyła ją do snu i poszła przenocować do swojej szkolnej przyjaciółki.

Dobrze się stało, że została. Następnego dnia, gdy ze świeżym chlebem przekroczyła próg mieszkania Mimci, wiedziała, że to koniec. Mimcia leżała bez ruchu. Oczy miała zamknięte jak we śnie. Jej piękne i gęste czarne, nigdy nieposiwiałe włosy spoczywały na poduszce jak uczesane. Wyglądała bardzo spokojnie. Ręce skrzyżowane niczym do modlitwy oparte miała o podbrzusze. Umarła chyba szczęśliwa, że sprawy ułożyły się w efekcie pozytywnie, a jej tęsknota za Jeremim wreszcie się skończyła. Teraz pewnie w niebie chodzą razem pod ramię, jak kiedyś ulicą Spichrzową ze młyna do rynku.

Organizacja pogrzebu nie zajęła wiele czasu. Grażyna wybrała ładną sosnową trumnę, zamówiła kwiaty oraz ceremonię pogrzebową.

Dwa dni później wróciła z Ireną, by pochować kolejną bliską osobę na pniewskim cmentarzu.

## Rozdział 14. | Miłość. Miłość

Teraz Grażyna odwiedzała dwa groby. Odwiedzała bliskich, jak tylko mogła. Czuła, że choć nie ma ich wśród żywych, oni ciągle z nią są. Ojcu opowiadała wszystko, co wydarzyło się na studiach, o tym, że już pomaga ludziom, radząc im, jak mają się zachować, gdy popadną w kłopoty.

Tak jak wtedy, gdy spotkała na ulicy płaczącą kobietę. Nie mogła przejść obojętnie obok tylu łez i smutku.

- Co się stało? - zagadnęła nieznajomą.

- Oj, proszę pani, straszne kłopoty... - Szlochała dalej. - Ale to nie na pani młodą główkę.

- Proszę jednak powiedzieć. Może będę mogła pomóc - uparła się młoda studentka prawa.

- Widzi pani - przysiadła na ławeczce znajdującej się przy chodniku - wychowuję samotnie troje dzieci. Mój najstarszy syn Witek poszedł do pracy. Nareszcie będę miała z niego pomoc. Tak myślałam. Do wczoraj. - Otarła łzy chusteczką.

- Co się stało?

- Dostał pracę miesiąc temu w fabryce sztucców. Był bardzo zadowolony. Ma tam kolegę, na nieszczęście, który lubi wypić alkohol o każdej porze. Całą swoją pensję wydaje

na alkohol, nie dając nic matce, bo młody też jest i żony jeszcze nie ma - kontynuowała.

- Ale co jego alkoholizm ma z Witkiem wspólnego? - dopytywała się.

- Ma, ma! Sprowadza go na złą drogę i psuje mu opinię. Pewnego dnia w przerwie na śniadanie kierownik wyjął z kieszeni pęk kluczy od swojego kantorka. Trzyma tam różne dokumenty, ale również swoje rzeczy. W tym czasie na stołówce był już tylko Witek i ten pijak Marek. Pod koniec dnia zrobiło się w pracy szumnie, zawołano Witka do dyrektora i oskarżono o kradzież. - Rozpłakała się ponownie.

- Czy Markowi postawiono te same zarzuty? - dociekała Grażyna.

- Nie, bo on powiedział, że żadnych kluczy nie widział i że wyszedł ze stołówki przed Witkiem. Kłamca jeden! - krzyknęła. - Wiem, kogo wychowałam, nigdy by nic nie ukradł. Pensję oddaje mi co do grosza, haruje tak bardzo, żeby mi pomóc, a przez tego... - ugryzła się w język - ma same problemy.

- Co skradziono?

- Podobno portfel, a klucze wyrzucono do kosza przed drzwiami kantorka.

- Nikt nic nie widział?

- Nikt nie wsypie Marka, bo to kolega po flaszcze tych innych, no i pracuje z nimi już dwa lata. Zawsze winny jest ten nowy. Mój Wituś. Co my poczniemy? Zawiesili go. Nie ma pracy ani szansy na inną, bo jeśli go oskarżą, a kierują sprawę do sądu, to już żadnej innej nie dostanie. To koniec.

Koniec...

- Proszę się uspokoić i napisać mi tu na tej karteczce - podała jej notes, który zawsze ma ze sobą - swój adres oraz dane personalne.

- Jakie dane? - zapytała skrepowana.

- Jak się pani nazywa i jak nazywa się pani syn. Nazwę fabryki. Postaram się pani pomóc.

- Dziecko, ale jak? Właściwie już mi pomogłaś. Mogłam ci to opowiedzieć... Nie chciałam martwić młodszych dzieci...

- Jestem studentką prawa na trzecim już roku. Czegось się w końcu nauczyłam. - Uśmiechnęła się do tej poczciwej kobiety. - Postaram się tę wiedzę wykorzystać.

- Bóg ci zapłać, dziecko.

Po powrocie do domu zamknęła się w swoim pokoju na poddaszu i wertowała kodeks, by znaleźć paragrafy na to, że nie można bez dowodów ani wyroku zwalniać ludzi z pracy. Dodatkowo opisała wersję wydarzeń Witka. Napisała długie pismo i wysłała do dyrektora zakładu oraz do okradzionego kierownika. Uzasadniła prawnie racje, na które nie mieli argumentów. Jak się okazało podczas wizyty u pani Jolanty, bo tak miała na imię matka nieszczęśnika Witka, przywrócono go do pracy w trybie natychmiastowym. W dodatku podczas tej rozdmuchanej już afery jeden z kompanów złodzieja Marka przyznał, że tego samego wieczoru pili za pieniądze z kradzieży. Po kilku głębszych Marek wygadał, jak to sprytnie wkopał młodego kolegę. Nikomu się to nie spodobało, więc postanowili przerwać znowę milczenia i wyznać prawdę, co tylko potwierdziło

prawdziwość listu napisanego przez Grażynę.

Pani Jolanta dziękowała i zapewniała, że będzie jej wdzięczna do końca życia.

- I tak, tatku, pomogłam tej kobiecie - podsumowała opowiadanie. Poprawiła przyniesione kwiaty i ocierała ściereczką zakurzony nagrobek.

- Dzień dobry, Grażynko - usłyszała za plecami.

Odwróciła się zaskoczona. Nie mogła uwierzyć w to, co zobaczyła.

„To niemożliwe” - pomyślała.

A on jakby słyszał jej myśli.

- Tak, to ja - potwierdził Adam.

- Ty tutaj?

Stała wpatrzona, a nogi przyrosły jej do ziemi.

- Wróciłem po roku. Kolega chorował dłużej i przedłużono mi kontrakt. Może opowiem ci to podczas spaceru? - zaproponował.

- Dobrze. - Odwróciła się jeszcze do nagrobka. Szepnęła: „Do zobaczenia, tatku” i odeszli w stronę grobu Mimci.

Słońce świeciło wysoko. Lato zbliżało się wielkimi krokami. Uwielbiała tę porę roku. Zielone liście na wszystkich drzewach. Słońce wczesnie wstające i coraz później opuszczające dzień, jakby chciało jeszcze z każdym zostać, ogrzać, otulić swoimi promieniami. Wiosenno-letnie deszczyki, lekkie muskające policzki wiatry - to było dla niej esencją życia. Wiosna kojarzyła jej się zawsze jednocześnie z narodzinami i ze śmiercią. Tak już pewnie pozostanie do końca jej życia.



Spojrzała ku słońcu i zamknęła oczy. Intuicyjnie chwyciła go pod ramię.

- Lubisz je? - zapytał.

- Tak, chyba rozumiemy się dobrze. - Zaśmiała się. - Ono opala moją cerę i ciało, a ja daję mu na to przyzwolenie.

Na słowo „ciało” spuścił wzrok. Nie dało się ukryć, że Grażyna to piękna, młoda kobieta o talii osy, jak zwykle opasana szerokim paskiem. Sukienka do kolan w kolorze wina, czółenka na niewysokim obcasiku ze względu na wygodę w podróży.

- To grób Mimci.

Przystanęli nad usypaną górką pokrytą jakąś dziwną mieszanką kamyków, nad którą był krzyż z metalową tabliczką.

„Jak tak można...” - zamyśliła się.

- Co się stało?

- Opiekunka Mimci wyłudziła od umierającej masę złota w zamian za to, że zrobi jej piękny nagrobek. Minęło już tyle czasu i widzisz sam, jak to wygląda. Zasłużyła na więcej. Zajmę się tym, jak tylko przyjadę tu następnym razem. Będiesz miała piękny nagrobek, Mimciu - rzekła jakby do niej. - Obiecuję ci to.

- Opowiesz mi o tym? - zapytał nieśmiało Adam, chcąc przedłużyć to spotkanie. Obawiał się bowiem, że jak tylko opuszczą bramy cmentarza, pożegnają się i już więcej jej nie zobaczy. Ona miała to samo przeświadczenie. Nie chciała go opuszczać. Wszystko, co czuła kiedyś, odżyło jak za dotknięciem magicznej różdżki. Jakby drzwi do skrywanej

miłości nagle otworzyły się i ktoś dał przyzwolenie na przekroczenie ich progu.

- Pod warunkiem że opowiesz mi o Anglii. - Uśmiechnęła się.

- To zapraszam cię do Barnaby na wino.

Barnaba to jedyna w Pniewach restauracja. Ponure jej wnętrze nie zachęcało do odwiedzin, lecz nie było żadnego wyboru. Nie chciała przekładać spotkania i zmarnować okazji, tak jak zmarnował ją kilka lat temu.

W oknach wisiały bure story, krzesła obite były brązowym pluszowym materiałem. Białe obrusy na wysoki połysk oraz dobiegające z kuchni zapachy przypalonego tłuszczu nie zachęcały do pobytu. Po tym jak zobaczył wielki świat, to wszystko wydawało mu się jakąś abstrakcją, jakimś kadrem z filmu, w którym tylko gra. Niestety, to była rzeczywistość.

Tylko Grażyna wyglądała niezmiennie pięknie. Usiedli jak najdalej od ludzi i baru.

Zamówili po kieliszku wina, najlepszego, jakie było w karcie. Jego smak nie miał zresztą znaczenia. Wszystko stało się już bezwonne i bezsmakowe w jej otoczeniu. Tylko ona w jego oczach miała smak miodu i mleka. Była dla niego słońcem i nocą zarazem. Wiedział już, że nie pozwoli jej odejść, że on nigdy od niej nie odejdzie.

Opowiedziała mu historię Haliny Baryły i jej podłej intrygi. Nie mógł pojąć, że takie rzeczy się zdarzają, że chciwość ludzka nie ma granic, a taka młoda Grażyna musiała sobie z tym poradzić.

On opowiedział jej o swojej pracy w Anglii, o tym, jak zobaczył świat tak inny niż w Polsce. Tak kolorowy i stabilny. Nie wiedział, czy ma wracać. Uczelnia chciała go zatrzymać, mógł nauczać dwóch języków, niemieckiego i polskiego dla Polonii. Czuł jednak, że musi wrócić, że coś lub ktoś czeka na niego w tym szarym kraju, w tym kraju o nieznannej przyszłości, jednak JEGO kraju. Kraju jego rodziców i przodków. Gdzieś w głębi duszy był patriotą, a przekonał się o tym właśnie tam, tysiąc sześćset kilometrów od domu.

Dlatego wrócił. Teraz, siedząc u boku Grażyny, wiedział, po co. Wiedział już na pewno, że to dla niej. To przecież nie przypadek zrządził, że spotkali się dziś na cmentarzu, na który nigdy nie chodzi. Tego dnia rano wstał i poczuł, że jest tam jedyne „coś”, co może go połączyć z Grażyną. Grób jej ojca. Nie pomylił się. Gdy ją tam zobaczył, pochylając się nad grobem ukochanego taty, serce mu zadrżało. Wiedział, że ten moment zaważy na jego, na ich dalszym życiu.

Zawsze żywił przekonanie, że o życiu nie decydują przypadki. Życie każdego zapisane jest już dawno. Od dnia narodzin każdy ma swoje przeznaczenie. Ktoś, kto pisze ten scenariusz, wie dokładnie, co się stanie. Może Bóg? Być może czasami koryguje ten plan, choć budzi to w nim wątpliwości.

- Grażynko, tęskniłem za tobą - powiedział z odwagą powodowaną zapewne wypitym kieliszkiem wina.

- Ja również...

Nastąpiła cisza.

- Przepraszam, że cię zostawiłem. Byłem głupcem. Tak

bardzo mnie potrzebowałaś, a ja wybrałem inny świat. Tak bardzo oderwany od ciebie. Przepraszam. Będę tego żałował do końca życia i postaram się to naprawić.

Nachylił się ku niej i delikatnie pocałował. Nie opierała się wcale. Czekwała na to od dawna. Czekwała, by poczuć męczyznę, tego męczyznę.

Nie miała czasu myśleć o sobie. Życie z samotną matką, ciężka nauka na studiach, praca wieczorami, by zarobić parę groszy dla siebie, nie sprzyjały tworzeniu związku. Nie miała na to czasu.

Pocałunek osłabił ją całkowicie. Świat zawirował wokół, otoczenie zniknęło. Zapach Adama – tylko on pozostał. Nie była już nastolatką i całowała się z mężczyznami, mimo to żaden z nich nie osiągnął takiego skutku jak ten jedyne. Poczuli się tak jak wtedy, gdy stała u progu domu sto dni przed maturą. To była kontynuacja tego pocałunku. Te trzy lata wcale nie minęły. One rozplynęły się gdzieś... Wtedy i teraz to jedność. On i ona to jedność.

Nic nie mówiąc, wyszli z restauracji i poszli do niego. To abstrakcyjne dla obojga. To nieważne. Nieważne było już nic poza nimi. Nieważne, co powiedzą inni. Nieważne, co powie matka. Nic nie jest ważne.

Chcą siebie i nie zmarnują już ani minuty nigdy więcej. Tego byli pewni!

Przekroczyła próg jego skromnego wynajmowanego mieszkania. Nieistotny był jego wygląd, wielkość. Istotny był tylko pocałunek, którym uraczył ją, gdy jeszcze stała oparta o drzwi. Niepewna do końca, nieśmiała. Zakochana jednak

od zawsze i spragniona jak nigdy.

Akt miłości, jaki rozegrał się między nimi, pozostanie w jej pamięci na zawsze. Już zawsze będzie taki sam. Taki sam cudowny, taki sam czuły, pełen niespodzianek i szaleńczego uniesienia.

Leżeli na podłodze. Ona wtulona w jego ramię. Czowała ciepło jego ciała. Jego zapach. Gładziła dłonią jego włosy, dotykała uszu, szyi... Tak jakby chciała na zawsze zapamiętać ich kształty, fakturę. Czowała strach, że to się nigdy nie powtórzy, że on się tylko zapomniał. Chciała znać zapach Adama i pamiętać go do końca swoich dni. Tak na wszelki wypadek...

- Kocham cię od zawsze - powiedział i pocałował ją w czoło.

- Dlaczego nigdy nie napisałeś?

- Nie chciałem przeszkadzać ci w życiu, nie wiedziałem, co dalej ze sobą pocznę. Przeżywałaś smutek związany ze śmiercią ojca, zmianą planów zawodowych, przeprowadzką do Poznania. To zbyt wiele na tak młodą dziewczynę... Nie mogłem dawać ci nadziei i burzyć tak trudno osiągniętego spokoju... Do momentu gdy zrozumiałem, że nie przestałem cię kochać. Zanim zasnęłam, każdego wieczoru przypominałem sobie ciebie... Jak chodziłaś, jak poruszałaś się w klasie, jak biegłaś korytarzem spóźniona na zajęcia. Najwspanialszym jednak wspomnieniem jest to, gdy na balu przeszłaś koło mojego stołu, spoglądając na mnie ukradkiem. Twoją niebieską sukienkę... twoje włosy... twoje usta... Dlatego jestem tutaj. Nie wiedziałem, jak cię szukać, ale

wiedziałem, że znajdę...

- To dzięki tacie.

- Słucham?

- Tak, on już wtedy w samochodzie wiedział, że kocham się w kimś. Tym kimś byłeś ty. Nie musiałam mu mówić. On wiedział. A teraz pomógł nam być razem. To jego sprawka.

- Wobec tego trzeba mu podziękować. Zbieraj się! Idziemy na cmentarz.

I tak stanęli nad grobem Kazimierza. Trzymając się za ręce, modlili się, dziękując mu za ten dar. Słońce zachodziło. Ostatnie promienie rzuciły się na wypisane na płycie imię ojca. To był znak i potwierdzenie.

- Do zobaczenia, tatku.

Adam odprowadził Grażynę na ostatni PKS. Pocałował i pożegnał, obiecując jak najszybsze spotkanie.

Po trzech dniach otrzymała pierwszy list. Irena dopytywała, kim jest nadawca, lecz Grażyna nigdy nie była z matką tak blisko, by zwierzać się ze swoich uczuć, zwłaszcza tak nowych i świeżych.

*Ukochana moja...*

*Tęsknię za Tobą tak bardzo. Mam nadzieję, iż nie żałujesz tego, co między nami zaszło. To było dla mnie spełnieniem marzeń, nie ze względu na sam akt miłosny, lecz ze względu na Twoją bliskość.*

*Czułem każdy kawałek Twego pięknego ciała, o którym marzyłem każdego dnia tam, daleko od Ciebie. Zapach Twoich włosów, widok Twojej drobnej twarzy. Muzyka*

*Twoich słów towarzyszy mi każdego dnia, zanim zasnę.  
Analizuję każde wypowiedziane przez Ciebie słowo.*

*Wiem, że to, co połączyło nas kiedyś i teraz, to to samo  
uczucie, to miłość. Marzę i modlę się codziennie, by to  
nigdy nie minęło. By nikt mi Ciebie nie zabrał i nie skradł  
Twego serca.*

*Tęsknię do bólu, moja ukochana...*

*Twój na zawsze  
Adam*

Takie listy przychodziły każdego tygodnia. Ona odpisywała mu na każdy. Kochała te listowne rozmowy, dzięki którym tak naprawdę mogli się poznać. On opowiadał, co u niego w pracy, ona, co na studiach. Poznawała jego poglądy, jego uczucia, a ona nie szczędziła ich jemu. Po kilku tygodniach wiedziała o nim bardzo dużo.

Miała ostatnio wiele nauki. Zbliżała się sesja, toteż nie jeździła do Pniew. W ostatnim liście Adam wyznał: *Mam dla Ciebie niespodziankę, moja kochana...*

Zachodziła w głowę, cóż to mogło znaczyć. No cóż, po sesji się przekona.

Egzaminy zaliczyła ze stopniami dobrymi. Zbliżał się czas odpoczynku i oczywiście wizyty u ukochanego Adama.

Postanowiła, że to ona zrobi mu niespodziankę i odpowiedzi go dzień wcześniej. Była przekonana, że z takiej niespodzianki na pewno się ucieszy. „Niespodzianka za niespodziankę” – uśmiechnęła się na samą myśl. Już wyobrażała sobie, jak on otwiera drzwi, wpadają sobie

w ramiona, jak czuje jego usta na swoich. Snując te marzenia, czuła miłe łaskotanie w podbrzuszu. Poznała to uczucie. Poczowała szarpnięcie. Obudziła się. Autobus zatrzymał się na przystanku w Pniewach. Gdyby nie szarpnął tak mocno, przespałaby swoje miasteczko i pojechała Bóg wie dokąd.

Wybiegła z autobusu. Przystanek był blisko cmentarza.

- Cześć, tatku - krzyknęła, biegnąc obok. - Wpadnę do ciebie później i wszystko opowiem.

Głośniej zapukać się nie dało. To może jeszcze raz. I jeszcze raz. Jest południe, niemożliwe, by spał. „Może wyszedł po zakupy” - zastanawiała się, jej serce biło tak mocno. Tak bardzo się bała.

- Kogo pani szuka? - usłyszała głos za plecami.

Czuła się, jakby ktoś przyłapał ją na złym uczynku, jakby zrobiła coś złego, jak wtedy w liceum, gdy potajemnie kochała się w nauczycielu miłością zakazaną.

- Hm... Szukam pana Szajnera - odpowiedziała zmieszana.

- Tego wysokiego bruneta? On już tu nie mieszka - skwitowała krótko kobieta.

Ziemia usunęła jej się spod nóg. Zakręciło się jej w głowie. Czuła pustkę i ciszę zarazem. To koniec. Wybiegła pędem z kamienicy, nie usłyszała, że kobieta coś jeszcze mówiła.

Uklękła nad grobem ojca, płakała tak mocno. Już dawno tego nie robiła. Od śmierci ojca wiedziała, że w jej życiu nic nie będzie w stanie wywołać takiego smutku jak jego



odejście. Pomyliła się. Odejście Adama podziało tak samo. Kochała go tak mocno. Tak bardzo. Zaufała mu.

Nie wiadomo, ile czasu siedziała tak bez ruchu. Ludzie odwiedzający cmentarz podchodzili do niej i pytali, czy wszystko dobrze. Czy dobrze się czuje, bo bladość jej twarzy wskazywała na jakąś ciężką chorobę.

Słońce zachodziło. Czas wracać do domu. Dobrze, że nie powiedziała nic matce. Nasłuchałaby się teraz, jak bardzo jest nieodpowiedzialna, o jej nadszarpniętej moralności nie wspominając.

Położyła się spać, wysłuchując jednak wcześniej skarg matki, że dach przecieka, że płytki się ukruszyły, i miliona innych ważnych domowych spraw. Podziwiała matkę za to, że dobrze daje sobie radę bez męża i gosposi z tym całym domkiem. Faktem jednak jest, że zmieniła się bardzo. Nigdy nie była zbyt wylewna w okazywaniu czułości dzieciom ani Kazimierzowi. Brało się to zapewne stąd, że mimo iż wychowała Irenkę ukochana babcia, to miłości rodzicielskiej jej zabrakło. Nigdy nie wybaczyła matce Zofii, że ją porzuciła.

Zofia próbowała nawiązywać kontakty z córką, gdy ta była młodą mężatką. Irena jednak nie miała złudzeń co do tego, że matką oładnął jej nowy „nie-mąż”. Żyła z nim w konkubinacie. Dawniej nie można było rozwieść się tak łatwo jak dzisiaj. Nie byłoby to zresztą takie proste, bo Zdzisław przebywał za granicą i nie wiadomo było właściwie do końca gdzie.

Zofia żyła w Sopocie, urodziła syna. Jej partner, hrabia

Strzegocki, był bardzo bogaty. Posiadał dwie apteki. Wszystko miał odziedziczyć jego syn. Prawdopodobnie nie kochał Zofii, a jej córkę Irenę miał za nic. Raz tylko była z wizytą u Zofii, jako dziecko. Poczwała wtedy, jak bardzo nie znosił jej Strzegocki. Wydziałał jej kromkę chleba, a nawet wydał zarządzenie na piśmie, by dziecku Ireny nic nie dawać, a i samej Irenie nic się nie należy. Najgorszym w tym wszystkim było to, że Zofia nic z tym nie zrobiła, nie zareagowała. Nie stanęła w obronie swej jedynej córki. Tego właśnie Irena nie wybaczyła jej do końca życia. To był powód, dla którego nigdy więcej się z nią nie zobaczyła. To był powód, że nie pojechała na jej pogrzeb i nigdy nie stanęła nad jej mogiłą.

Rozmyślając nad życiem matki, Grażyna usnęła, zapominając o swoim smutku. Śniły jej się koszmary, szamotała się w łóżku. Wstała w nocy, by otworzyć okno. Było już prawie lato. Ciepłe powietrze owiało jej ciało. To ciało, które powinno być teraz wtulone w objęcia Adama. Zeszła do kuchni po szklanę mleka. Mimcia zawsze mówiła, że ciepłe mleko jest najlepszym lekarstwem. Miała chyba rację, bo Grażynie udało się zasnąć.

Rankiem postanowiła nie rozpaczać i pomóc matce w domowych pracach. Włożyła roboczy strój, wdziała rękawiczki i poszła do ogrodu. Przekopywała ziemię, grabiła pozostałości po zimie. Od czasu do czasu tylko popłakiwała w kąciku ogrodu, by matka nic nie zauważyła.

- Pięknie ci idzie, Grażynko - chwaliła ją matka. - Spróbujemy później dokleić płytki w łazience. Sąsiad dał nam

jakieś rozrobione mazidło, może uda się co nieco naprawić.

Matka oszczędzała bardzo. Każdy fachowiec oszukiwał w stawkach za usługę, zwłaszcza kiedy widział dwie nieznające się za bardzo na niczym kobiety. Tego oszukiwania miała Irena dosyć. Postanowiła, że obie nauczą się drobnych prac remontowych, by nie dać oszustom zarabiać. Nauczyły się więc kitować okna, naprawiać klamki, malować płoty i ściany. Wszystkiego, co tylko fizycznie mogły zrobić dwie kobiety.

I tak w natłoku zajęć minęła cała sobota. Smutek przez ciężkie prace zelżał, dało się we znaki zmęczenie. Tego wieczoru obie nie miały kłopotu z zaśnięciem. Tak, na smutki najlepsza jest praca. To stara prawda.

Obudził ją dzwonek do drzwi. Przeczesała dłonią włosy i zbiegła na dół. Spojrzała na zegarek. Była dziewiąta. Matka lubiła pospać dłużej, więc jej przypadło otwieranie drzwi przed dziesiątą.

„Kogo lichy niesie?” – pomyślała.

- Dzień dobry, Grażynko.

Nie mogła uwierzyć. Adam. Stał po raz pierwszy u progu jej domu. Stał, a w oczach miał strach. Ona natomiast jakiś obłąd. „Co on tu robi? Jak śmie?” – myślała w duchu.

- Pan kogoś szuka? – próbowała być złośliwa.

- Grażynko, co ty mówisz? Dlaczego? – W jego głosie słyszała gorycz.

- Jak możesz? Jak mogłeś mi to zrobić? – krzyknęła. Świadomość jednak, że obudzi matkę, pomogła jej się

opanować. Zamknęła drzwi i poszła w stronę sadu. On udał się za nią.

- Nic nie rozumiem. Czekałem na ciebie wczoraj, tak jak się umówiliśmy. Nie przyjechałaś. Nie rozumiałem dlaczego. Popadałem w obłęd. Bałem się, że już mnie nie kochasz. Że zapomniałaś, że nie jestem ciebie wart... - wyrzucił to wszystko jednym tchem.

- Co?? Byłam u ciebie. W piątek. To miała być niespodzianka! Nie mieszkaś już przy Głównej. Myślałam, że znowu mnie zostawiłeś, że wyjechałeś nagle, jak kiedyś... - Rozplakała się.

- Boże, dziękuję ci. - Upadł na kolana.

Nie zrozumiała. Co on robi?

- Kochanie, wynająłem dla nas większe i lepsze mieszkanie. Nie chciałem, byś mieszkała ze mną w tym obskurnym, szarym mieszkaniu. Zaslugujesz na więcej. Nie pisałem ci o tym w liście, bo to właśnie miała być niespodzianka. Czekałem wczoraj na ciebie z kwiatami. Chciałem, abyś poszła ze mną do tego mieszkania. Nie mogę uwierzyć, że tak się to wszystko poplątało. Co musiałaś przeżyć przez te dwa dni. O sobie nie chcę nawet już wspominać.

- Adamie, nie róbmy sobie już więcej niespodzianek. Niespodzianki w naszym wydaniu nie są dobre. - Przytuliła się do niego tak mocno jak tylko się dało. Postanowiła już go nigdy nie puścić, nigdy nie wątpić w jego miłość.

- Grażynko, co się tutaj dzieje?

- Mamo, to Adam Szajner. Adamie, moja mama Irena.

Ucałował ją szarmancko w dłoń, czym od razu pozyskał jej sympatię.

- Zapraszam na kawę - odrzekła.

Przy kawie opowiedzieli o swej miłości. Irena kiwała tylko głową. Nie wiadomo, czy z powodu aprobaty spontanicznej miłości i porywów serca, czy też z dezaprobaty. Tak czy owak, mleko się rozlało, jak to mawiała Mimcia, i miłość wypłynęła na szerokie wody.

## Rozdział 15. | Spełniamy życzenia

Juwelia *wishes*. Tak, ta nowa linia zrobiła zamieszanie w branży. Tworząc ją, zainspirowałam się tym, co sama przeżyłam i czego oczekiwałam od producentów czy indywidualnych złotników.

Zawsze chciałam odtworzyć coś, co było unikatowe, inne, niespotykane i nie do kupienia. Jak biżuteria mojej prababki. Jak brosza, którą wykonał dla mnie Patryk.

Czułam, że jest taka luka, i postanowiliśmy ją jako firma wypełnić.

Otworzyliśmy małą pracownię na rynku przy naszym firmowym salonie. Do dyspozycji mamy profesjonalny sprzęt do projektowania oraz masę ołówków i kartek, by każdy, kto zechce, mógł przyjść i tworzyć to, co tylko mu wyobraźnia podyktuje.

Osobiście zajęłam się nadzorem nad doskonaleniem tej ścieżki w rozwoju firmy. Pomagałam klientom spełniać ich wizje. Niesamowitym jest, jak się okazało, jak różne wymagania i preferencje mają klienci. Podczas tych dokonań tworzy się analiza odczuć i preferencji klienta, które ciężko było do tej pory uchwycić.

Zamówienia indywidualne były strzałem w dziesiątkę. Po

odpowiedniej reklamie na billboardach oraz w internecie o Juwelii zrobiło się głośno. Niektórzy tylko przychodzili porozmawiać i dowiedzieć się, na czym to dokładnie polega, ile kosztuje i tym podobne. Opowiadali swoje historie, często rozsiadając się w czerwonym fotelu i popijając pyszną kawę serwowaną oczywiście przeze mnie.

- Wie pani - zaczął pewien starszy mężczyzna - jesteśmy małżeństwem z Janinką od pięćdziesięciu lat... - Zamyślił się.

- To piękne - odpowiedziałam pełna zachwytu, jednocześnie wyobrażając sobie siebie za choćby lat dwadzieścia.

- Poznaliśmy się latem. - Z jego twarzy jakby ubyło zmarszczek, naprężył się jak młodzieniec. - Janina wracała polną drogą do domu. Ja byłem na wakacjach u wujostwa na wielkopolskiej wsi. Rodzice wysłali mnie tam, bo byłem dość chorowitym młodzieńcem. Uznali, że trzeba mi świeżego powietrza oraz zdrowego jedzenia, a takie mogli mi zapewnić tylko ludzie ze wsi. Skończyłem studia. Miałem zdrowy i silny przystąpić do pracy jako nauczyciel fizyki.

Rozsiadłam się wygodnie i postanowiłam wysłuchać tej ciekawej opowieści. Kocham takie historie, mogłabym słuchać ich codziennie. Kocham, gdy ktoś mi opowiada. Ponieważ studio to nie sklep, wiedziałam, że nikt nam nie przeszkodzi.

- Była bardzo smutna. Minęliśmy się na polnej drodze. Spojrzałem na nią i już wiedziałem, że nigdy o niej nie zapomnę. Słońce świeciło tak wysoko. Ptaki ćwierkały nad głowami. Zapach traw unosił się w powietrzu. Czuję go do

dzisiaj. Każdego lata jadę tam, by poczuć ten sam klimat...

Snuł tak pięknie swoją opowieść. Janina miała siedemnaście lat. Była jednym z pięciorga dzieci. Leona zaintrygował i zmartwił jej wielki smutek w oczach. Nie mógł o nim zapomnieć. Każdego dnia o tej samej porze wybierał się na tę samą drogę w nadziei, że spotka ją ponownie. Niestety. Postanowił działać. Czuł, że to nie był przypadek, że ona i on na tej drodze to przeznaczenie, dotyk Bożej ręki.

Ciotka Hela, pracowita kobieta, czuła, że z chłopakiem coś się dzieje. Martwiła się, że zamiast zdrowszy wróci do miasta jeszcze słabszy, niż przyjechał, choć tężyzna fizyczna wskazywała, że nastąpiła poprawa. Jednak w duszy coś mu zalegało. Podpytała go dyskretnie, a on postanowił to wykorzystać.

- Ciociu, kim jest ta dziewczyna z domu przy leśnej drodze?

- Dlaczego pytasz, Leosiu? - Zawsze się tak do niego zwracała, jak do dziecka.

- Hm... Tak tylko, minęliśmy się na drodze i zsunęła jej się z warkocza wstążka, chciałem zwrócić. - Wymyślił kłamstwo na poczekaniu.

- Janinka, najmłodsza córka Kowalików. Nieciekawa sprawa... - zaczęła jakby do siebie.

- Co mówisz, ciociu?

- A nic, nic. Tak, mieszkają pod lasem, ale lepiej tam nie chodzić. To nieobliczalni ludzie. Nikomu nie wolno się tam zbliżać. Szcują psami. Jednego ze wsi to nawet tak poszczuli, że trafił do szpitala. Nic im nie zrobili, bo



i milicjant bał się tam podejść.

- Jak ona tam żyje? - Zdenerwował się.

- Nie pytaj, synku. Nie pytaj... Każdy ze wsi ubolewa, zwłaszcza nad dziewczynami, ale cóż zrobić...

Tego wieczoru był bardziej niespokojny niż do tej pory. Te informacje tak go przygnębiły, że postanowił coś z tym zrobić. Nie pozwoli, by ona tam została.

Zakradł się wieczorem pod ich dom. Nie wiadomo, skąd znalazł w sobie tyle odwagi, ale zrobił to. Podkraść z chłodziarki ciotki cztery kiełbasy. Zabrał z komody nóż, tak w razie czego. Czuł się jak żołnierz, który ma do spełnienia misję. Misję życia. Misję ocalenia.

Z pól dobiegały odgłosy wszystkiego, co żyje w trawie. Słyszał to wszystko tak wyraźnie, jakby dostawiono mu do ucha jakiś niewidzialny głośnik. Wyostrzyły mu się chyba wszystkie zmysły, począwszy od słuchu, na węchu skończywszy.

Zakradł się do płotu. Usłyszał krzyki i szczekanie psów. Krzyki męskiego, ciężkiego głosu oraz płacz dzieci. Psy szczekały coraz głośniej.

- Kto tam jest? - Drzwi domu się uchyliły. - Czego? Bo psami poszczuję!

Psy jakby zrozumiały, podbiegły pod płot dokładnie tam, gdzie zaczął się Leon. Nie miał wyboru. Czas działać. Rzucił kiełbasę. Te głupie psy nabrały się na to. Przestały szczekać. Prawdopodobnie jadły tak zachłannie, bo były wygłodzone. Następną kiełbasę podał im już z ręki. Nie obyło się bez strachu. Te wielkie psiska poczuły w nim kompana. Zdobył

ich zaufanie. Pogłaskał je po łbie. Dzięki temu fortelowi mógł podejść do okna domu. Psy towarzyszyły mu cały czas, zapewne czując ostatni kęs, który na wszelki wypadek pozostał w kieszeni.

W pomieszczeniu paliło się światło. Jedna z córek krzątała się po kuchni. Druga leżała na podłodze i płakała. To była Janina. Sukienka zadarta powyżej kolan ukazywała siniaki. Z nosa sączyła się krew. Ten widok wzburzył Leona. Chciał tam natychmiast wkroczyć, rzucić się na pomoc, ale wiedział, że nie może. Nie może, bo zginie i nikt go nigdy nie znajdzie.

- Uratuję cię, daj mi tylko czas... - szepnął tak, jakby miała go usłyszeć.

Nie wiadomo, jakim cudem, ale spojrzała na okno. Spojrzała, jakby czuła, że on tam jest. Ten obcy, raz widziany.

Wycofał się. Wracił tak zszokowany, że nie wiedział, co najpierw zrobić. Musiał to przemyśleć. Na początek postanowił, że będzie czekał tak długo na skraju drogi, aż ją spotka. Musi przecież wyjść do sklepiku po jakieś produkty.

Nie pomylił się. Po dwóch dniach oczekiwania, ku narzekaniom ciotki, wreszcie ją spotkał. Nie musiał nic tłumaczyć. Nie musiał wiele mówić.

- Ucieknij ze mną.
- Dobrze - odpowiedziała.
- Jutro będę czekał o tej samej porze. Porozmawiamy.
- Dobrze.

Poszła dalej. Tak zrezygnowanej i pięknej osoby nigdy

w życiu nie widział. Była jak małe zastraszone zwierzątko, gotowe oddać się w każde ręce byle nie tego oprawcy, własnego ojca.

Od tego dnia spotykali się codziennie. Na krótko, bo nie mogła wzbudzić podejrzeń kata. Opowiadali o sobie, a właściwie to on opowiadał. Ona milczała i zachwycona nim całym gładka jego ciemne kręcone włosy. Czowała się przy nim bezpiecznie, a on dawał jej to poczucie z wielką szczęśliwością.

Na każde spotkanie przynosił jej bukiet niezapominajek.

- Dlaczego niezapominajki? - zapytała pewnego razu.

- Dlatego, żebyś o mnie nigdy nie zapomniała, nawet na pięć minut.

Zaśmiali się wtedy głośno, jej śmiech miał taką piękną barwę, jakby po raz pierwszy wyzwolił się ze szponów własnego ciała. Strach pomyśleć, że ta dziewczyna nigdy tak się nie śmiała. Nie śmiała się, bo nie miała ku temu okazji, bo życie było dla niej zbyt okrutne...

Ostatniej nocy przed wyjazdem ze wsi leżeli na łące. Wokół były niezapominajki. Uśmiechała się do niego, lecz miała w oczach strach, że to się skończy, on wyjedzie i skrzywdzi ją. Dlaczego miałyby postąpić inaczej. Nie zaznała ani miłości, ani szacunku. Czy to możliwe, że on jest inny?

- Zamknij oczy, Janinko.

Chwytał jej dłoń i wsunął coś na palec.

Na palcu miała obrączkę ze słomy. Błyszczała w słońcu, jakby była ze szczerego złota.

- Nie mogę ci wiele dać, Janinko. Nie mam pieniędzy,

zaczynam od września pracę. Nie wiem, co powiedzą rodzice. Nic nie wiem. Wiem jednak jedno. Nigdy cię nie skrzywdzę i będę cię kochał do śmierci. Jeśli to ci wystarczy, to wyjdź za mnie, bo ja cię Kocham. Kocham do szaleństwa. Kocham od dnia, gdy zobaczyłem błękit twoich oczu.

- Dobrze! - Ta krótka odpowiedź zawsze znaczyła bardzo wiele.

Wyjechali ze wsi. Nie musiała się pakować, bo nie miała nic, co mogłaby ze sobą zabrać. Kiedy oznajmiała ojcu, że wyjeżdża, trzymała Leona pod ramię niczym koło ratunkowe, którym był w istocie. Kat stał i z powodu szoku nie powiedział ani słowa, nie zaprzeczył, nie zaszkodził. Rodzice Leona od razu zaakceptowali jego wybór. Wiedzieli, że zadba o ich jedyne go syna, a dla nich będzie dobrą córką. Może utwierdził ich w tym błękit jej oczu, tak bardzo przypominający niezapominajki.

- Tak, pani Adrianno, mogę się tak do pani zwracać? - zapytał. - Minęło pięćdziesiąt lat i Kocham Janinkę jak wtedy, a może nawet bardziej, o ile to możliwe. Proszę nie płakać. - Zauważył moje łzy. - Nie chciałem pani wzruszyć.

- Jednak zrobił to pan, ale nie żałuję. To jest piękna opowieść i piękna miłość. Co robimy wobec tego dla żony? Sugeruję niezapominajkę ze złota z kwieciem zrobionym z turkusów.

Naszkiecowałam szybko mój pomysł. Chciałam, by ta niezapominajka była trwała i zawsze razem z nimi. By nie musiał w tym wieku biegać latem po polach i szukać żywych kwiatków.

Pomysł bardzo mu się spodobał. Miał ze sobą kruszec, który dostał po rodzicach. Wpłacił zaliczkę i szarmancko się ze mną pożegnał.

Nie mogłam już pracować. Zamknęłam studio i zabrałam się do wykonania szczegółowego projektu, tak by jak najszybciej wdrożyć go do produkcji. Cały czas miałam w głowie jego historię. Myślałam, że taka miłość zdarza się tylko w książkach. Pomyliłam się. Może moja i Patryka będzie taka sama... Zrobię wszystko, by tak było - postanowiłam i zamknęłam szkicownik.

Nastała zima. Śnieg sypał bez przerwy przez kilka dni. Za oknami biało, tak biało, że miało się wrażenie, iż kolory zniknęły z powierzchni ziemi i nie ma ich już nigdzie. Na pewno nie ma ich na zewnątrz. Nawet kolorowe samochody przybrały białe czapy. Punktami zwrotnymi byli kolorowo ubrani ludzie, aczkolwiek i oni po chwili stawali się białutcy jak reszta otoczenia.

Patrzyłam w okno. Bardzo lubię to robić. Mieszkanie nasze mieści się na pierwszym piętrze kamienicy z widokiem na mały park. Każdego dnia chodzę tam z Ninką na spacer. Jest przestronny i dobrze oświetlony, dzięki czemu nawet późnym popołudniem czujemy się tam bezpiecznie. Lubię obserwować ludzi. Zawsze to lubiłam. Mam w przeciwieństwie do mojej babci Irenki dar słuchania i obserwowania ludzi. Interesuje mnie ich los, ich poczynania, szczęścia i nieszczęścia. Mam to na pewno po mamie.

Praca daje mi możliwość obserwowania ludzi i do tego

uszcześliwiania ich. Pan Leon na przykład, uwielbiam go. Od czasu gdy wykonałam dla niego niezapominajkę, wpada do mnie zwykle raz w miesiącu i wypijamy razem herbatkę. Opowiada mi wtedy historyjki z życia, które naprawdę potrafią mnie rozbawić nawet w najsmutniejszy dzień. I takie czasami miewam, choć większość znajomych sądzi, że jestem człowiekiem z wiecznym uśmiechem na twarzy. Coś w tym jest, jednak i mnie bywa smutno. Nie wiadomo do końca dlaczego.

Zima ma w sobie coś czarującego. Lubię te długie wieczory. Zapalam wtedy wszystkie świece, które są w domu. Ninka siada czasami koło mnie, Patryk przytula mnie do siebie. Kocham tę atmosferę. W tym czasie, tak bliżej mikołajek, moje mieszkanie jest już całe przybrane na święta. Masa światełek w każdym kącie, dających przemiły klimat. Gdyby było to możliwe, nie ściągałabym ich przez cały rok. Niech by sobie tak były.

Sięgam wtedy po stare albumy. Oglądamy zdjęcia moich przodków, opowiadam ich historię. Niestety, babcia Irenka już nie żyje i nie może nam ich opowiedzieć sama, lecz mama wiele pamięta i dzięki niej te historie ożywają ciągle na nowo z istotnymi szczegółami. Te historyjki nasza pięcioletnia Ninka uwielbia. Zawsze czeka na babcię Grażynkę i dziadka Adama, by znowu posłuchać opowieści.

- Babciu - zapytywała Ninka - dlaczego masz takie wielkie kokardy na głowie?

- Tak, to zabawne - odpowiadała z uśmiechem Grażyna.  
- Widzisz, skarbie, moja mama, a twoja prababcia uważała,

że kokardy muszą być jak największe. Moja niania, ukochana Mimcia, codziennie krochmaliła te wstążki i prasowała, by były ładne, czyste i ogromne.

- Ale po co? I co to znaczy krochliła? - nie pojmowała Ninka, co wzbudziło śmiech w nas wszystkich.

- Krochmaliła, kochanie, to znaczy wkładała do mikstury, która powodowała, że były sztywne i nie opadały, tylko sterczały cały dzień tak, jak je rano na główce mojej zamontowano. A miałam ich zawsze dwie. Dwie większe od mojej małej główki. - Mama zaśmiała się szczerze.

- Takie jak na tym zdjęciu? - Mała pobiegła szybko do półki, na której leżały stare albumy, i przyniosła jeden z nich.

- Tak - potwierdziła babcia. - Stoję tu w misce, tak dla zabawy, i faktycznie mam te wielkie kokardy na głowie.

- Ja też takie chcę!! - zawołała Ninka.

Śmiechom nie było końca. Mała Ninka zawsze rozbawiała nas wszystkich do łez. Miała jasne włoski jak ja, lecz lekko kręcone po Patryku. Oczy niebieskie i takie same jak ojciec maleńkie uszka. Była przesłodka i bardzo grzeczna. I co muszę stwierdzić, była sroczką jak ja i moja babcia Irenka. Nie ma możliwości, by coś, co się świeci (czytaj: biżuteria), umknęło jej uwadze. Widziała wszystko i oczywiście wszystko chciała mieć, co jej ukochany tatuś z przyjemnością spełniał. Na szyi nosiła łańcuszek z wisiorkiem wzorowanym na kształt jej ulubionego misia zwanego Pongo. W ten sposób Pongo był zawsze przy niej.

Faktem jest, że dzięki naszej małej Nince zrodził się pomysł nowej linii produktów, mianowicie *Baby jewelery*.

Zrobiliśmy biżuterię, która miała przypominać rodzicom o najwspanialszych chwilach od momentu poczęcia dziecka do momentu ich urodzenia i dalej. Biżuteria symboliczna dla matek oraz biżuteria dla samych dzieci. Piękne naszyjniki, pierścioneczki oraz bransoletki z przywieszkami przedstawiającymi bajkowe postaci. Ninka była pierwszy małym recenzentem i doradcą, co powinniśmy zrobić. Jakie motywy i jakie produkty powinniśmy reklamować. To, co z reguły wybrała Ninka, my reklamowaliśmy i okazywało się sukcesem. Oko małego konsumenta było najtrafniejsze.

Zbliżały się święta. Od zawsze u nas. Mama i Adam przyjeżdżali do nas w wieczór wigilijny i spędzaliśmy go razem wśród śmiechu małej Niny.

Na dworze nadal biało. Park opustoszał, bo wszyscy krzątają się w kuchni, by po ukazaniu się pierwszej gwiazdy zasiąść do stołu.

Choinka przystrojona zawsze we wszystkich kolorach. Lubimy jej blask i wielkość. Zawsze żywa i do samego sufitu. Wiszą na niej oprócz nowoczesnych również stare bombki mojej babci Irenki. Zostało ich już tylko kilka. Zawsze gdy je wieszam, budzą we mnie sentyment.

- Wiesz, Adriancko, gdy byłam mała, przyglądałam się tym bombkom z bliska. Okręcałam je delikatnie, by nie upadły z gałązki, i dopatrywałam się w nich jakichś cudów - zagadnęła mnie mama, podczas gdy ja wieszałam jedną po drugiej.

- Moja matka, a twoja babka Irenka nigdy nie przystrajała choinki przy dzieciach. Zawsze robiła to



z Mimcią wieczorem, a właściwie w nocy. Gdy rano schodziłam do salonu, oczom moim ukazywała się taka duża jak twoja teraz choinka. Nie było wprawdzie lampek elektrycznych, tylko podoczepiane świece, ale kolorów było na niej bez liku. Jak ja to dobrze pamiętam. - Zamyśliła się Grażyna.

- Mamuś, dobrze się czujesz? - zapytałam, bo miałam wrażenie, że pobladła.

- Tak, tak. Wiesz, mama zawsze mówiła, że ubrały ją aniołki, a ja chyba do dziesiątego roku życia, jeśli nie dalej, wierzyłam w tę opowieść. Miało to w sobie czar.

- Wiesz, mamuś, to może i my tak powiemy Nince? Co myślisz?

- To byłoby wspaniałe, gdyby poza świętym Mikołajem wierzyła w aniołki przystrajające nocą choinkę. - Uśmiechnęła się.

- To będzie nasza następna tradycja rodzinna - powiedziałam i zaśmiałyśmy się szczerze, a mama jakby nabrała rumieńców.

Kończyłam ubieranie. Najbardziej lubię tę starą, dużą, wytartą już bombkę. Cała różowa, z Mikołajem na saniach, a wokół prezenty. Od zawsze jest moją ulubioną.

- Kiedyś dzieci nie miały tak pięknie i wygodnie... - Zasepiła się znowu mama. - Pamiętam, że zanim nastął wieczór wigilijny, dzieci z miasteczka przybiegały pod okna naszego domu, bo takiej choinki nie miał w Pniewach nikt. Tylko my. Matka była dumna, a mnie było jakoś przykro, że tylko ja mam tak dobrze. Cieszę się z perspektywy lat, że

miałam to szczęście dorastać w tak zwanym bogatym domu, lecz smuci mnie to, że tak wiele dzieci nie miało tego przywileju...

- Nie martw się, mamo, czasy się zmieniły, twoje koleżanki żyją sobie w zdrowiu i cieszą oczy takimi choinkami u swoich dzieci. Pewnie nie pamiętają już tych czasów smutniejszych i mniej kolorowych.

- Pewnie masz rację, Adrianko. - Zakończyłyśmy opowieści i ubieranie choinki.

W dzień Wigilii jak co roku byliśmy znowu razem, moi rodzice i my. Rodzice Partyka spędzali święta jak zawsze u swojej córki Agaty w górach. Taka to już była tradycja.

Tradycją było również to, że w przeddzień Wigilii wszyscy jechaliśmy do Pniew na cmentarz do dziadków. Zapalaliśmy znicze, które w śnieżny dzień pięknie lśniły, jakby ze zdwojoną siłą. Modliliśmy się nad ich grobem, prosząc o pomyślność na Nowy Rok dla całej naszej rodziny. Mama zawsze stawała po stronie dziadka Kazimierza, szeptała mu jak zawsze. Ten nawyk nigdy nie zniknął. Zmieniła tylko tembr i głośność, by ludzie nie wzięli jej za niepoczytalną kobietę. Szeptała ojcu to, co dla niej było ważne. Adam znał to od zawsze i nigdy się temu nie dziwił. Pamiętał dobrze, jak młoda Grażyna, licealistka, kochała swego ojca i jak bardzo szanowała go za wszystko, czego w życiu dokonał.

My stawaliśmy po stronie babci Irenki. Oczywiście to było, bo przecież ją znaliśmy, więc kontakt był łatwiejszy, bardziej zmaterializowany.

Na pożegnanie przeżegaliśmy się wszyscy, mała Ninka również, i poszliśmy w stronę bramy.

- Pa, tatusiu - powiedziała na pożegnanie Grażyna, tak jak zawsze to robiła.

- Babciu, opowiedz jakąś ciekawostkę o pradziadku, proszę. - Ninka spojrzała błagalnie na babcię.

- No cóż, może to nie ciekawostka, ale zabawna historia.  
- Uśmiechnęła się Grażyna. - Nie zna jej nawet twoja mamusia.

Tym razem i ja się zdziwiłam. Co też mama chce nam opowiedzieć, o czym jeszcze nie wiem?

- Wejdźmy na herbatkę do kawiarenki, bo zmarzliśmy wszyscy, to wam opowiem.

Zgodziliśmy się chętnie, bo faktycznie wszystkim zimno dało się we znaki. Zaleźliśmy się w Barnabie. Grażyna spojrzała na Adama. Przypomnieli sobie natychmiast spotkanie sprzed wielu, wielu lat. Spotkanie tak ważne, że zaważyło na całym ich wspaniałym, jak się okazuje, życiu.

Oczywiście Barnaba to już nie ten zapyziały, obskurny lokal z jednym winem w karcie oraz kawą zwaną lurą. To elegancka restauracja, z daniami kuchni polskiej oraz grzanym piwem.

- Tak, wiele się zmieniło... - zamyśliła się Grażyna.

- Jedno na pewno nie. - Adam pocałował ją w czoło.

Zasiedli do wielkiego stołu, przy którym natychmiast zjawiała się kelnerka z wielką kartą.

- Dzień dobry, panie profesorze! - uśmiechnęła się młoda dziewczyna z długim warkoczem.

- Dzień dobry, Aniu. Co ty tu robisz? - zapytał.

- Pracuję.

- Ale jak to? Miałaś takie dobre wyniki w nauce, chciałaś iść na studia! - Prawie się zdenerwował.

- Tak, lecz rodziców nie było stać, by mnie wysłać na uniwersytet, więc pracuję, by zarobić. Ale cóż tam o mnie - zmieniła temat. - Co państwo sobie życzą?

Zamówiliśmy ciepłą zupę, by nieco się ogrzać, herbatę owocową.

- Dziadku, skąd ta pani cię zna? - zapytała zdziwiona Ninka.

- Kochanie, wiesz przecież, że jestem nauczycielem w tutejszej szkole, w liceum, do którego również chodziła twoja babcia. Znają mnie całe pokolenia uczniów, skarbie.

- A mnie też będziesz uczył, dziadku? - dopytywała się mała.

- No cóż, w szkole raczej już nie, ale chętnie udzielę ci prywatnych lekcji, specjalnych dla mojej wnuczki.

Wszyscy ubawili się tą sytuacją i ciekawością Ninki.

- Babciu, ale miałaś nam coś opowiedzieć.

- Tak, tak... Twój pradziadek Kazimierz, gdy był w twoim mniej więcej wieku, doznał uszczerbku na zdrowiu.

- Co to znaczy? - zafrapowała się Ninka.

Sześć- może siedmioletni Kazimierz spacerował z grupą małych kolegów wokół kamienicy w rodzinnym Lwowie. Kamienica ta była budynkiem kończącym ulicę. Za nią był kawałek ziemi. Ni to park, ni to pole. W każdym razie dzieci uwielbiały się tam bawić, a rodzicom zdawało się, że

to bezpieczniejszy kawałek miejsca niż ulica. Tak więc puszczali tam swoje pociechy bez większych obaw. Obszar miał wyboje i dziury fragmentami przypominające szwajcarski ser. Były to świetne kryjówki i wspaniałe miejsce do zabawy w chowanego. Tego dnia szukającym miał być dziewięcioletni Mietek, jeden ze starszych chłopców z paczki. Gdy odliczał swoje „dziesięć”, usłyszał wielki huk. Nie wiedział, co się stało. W uszach dudniło mu strasznie, poczuł nawet powiew powietrza, który spowodował chwilową utratę równowagi. Ogarnął się jednak i zobaczył, że z jednej nory wydobywa się jakiś dym. Wszyscy chłopcy wybiegli ze swoich kryjówek tylko nie mały Kazimierz.

- Kaziu, Kaziu!! - nawoływali.

Nic. Cisza.

- Trzeba zajrzeć do tej nory, może tam jest - dowodził Mietek posiadający nie wiadomo skąd tyle odwagi, może po ojcu żołnierzu.

- Kaziu! Kaziu! - nawoływał, wchodząc do dziury. - Jest, jest! Przyszykujcie nosze! - zarządził.

Ponieważ chłopcy w tym wieku, a zwłaszcza dzieci z okresu powojennego, często bawili się w wojnę, sanitariuszy oraz żołnierzy, toteż umieli sklecić nosze za pomocą dwóch brzózek oraz kurtek, których rękawy przywiązali do belek, tworząc wyściółkę tychże noszy.

Podnieśli razem nieprzytomnego Kazia. Z oka leciała mu krew. Właściwie krwawił wszędzie. Dzieci były przerażone. Nie poddały się jednak i jak dzielni partyzanci zanosły Kazika na noszach do mieszkania jego rodziców.

- Co się stało? - krzyknęła pani Karolina, matka Kazika.

- To niewypał. Wybuchł podczas zabawy, chyba w dłoni Kazika - odpowiedział jak na rozkaz Mietek.

Matka nie zdążyła nawet podziękować chłopcom. Zorganizowała pogotowie, które zabrało Kazika prosto na blok operacyjny. Naczekali się z Wawrzyńcem, ojcem Kazika, strasznie długo. Matka odchodziła od zmysłów. Kazik był najgrzeczniejszy z jej dzieci. Zawsze poukładany i posłuszny. Nie spodziewała się, że najbezpieczniejsze miejsce do zabawy okaże się najgroźniejszym. Nie wiedziała, że po pierwszej wojnie zostało tyle niewypałów, tyle niebezpieczeństw. Teraz wiedziała, lecz Kazio mógł stracić życie.

- Pani Karolina Czelný? - Lekarz wyszedł z sali operacyjnej i podszedł od razu do zmartwionych rodziców.

- Co z nim? - zapytała przerażona.

- Żyje. Jest okaleczony.

- Jak to?

- Ten młody człowiek nie jest jedynym, który trafił do nas na oddział. To nieszczęście wojny, za które pokutują nasze dzieci. Niewypał wybuchł mu w dłoni. Stracił trzy palce lewej dłoni oraz prawe oko.

Zemdlała. Nie wiadomo, czy z radości, że żyje, czy ze strachu przed jego kalectwem. Kazimierz doszedł szybko do siebie. Młody człowiek ma silny organizm, więc poradził sobie z okaleczeniem. Do swojego wyglądu nie przykładął wielkiej wagi. Spotykał się z kalectwem w różnych postaciach, toteż nie był tak całkiem inny niż wszyscy.

W oczodół wstawiono protezę, więc jeśli ktoś nie przyglądał się zbyt dociekliwie, to nic nie zauważył.

Od tamtego dnia Kazimierz w swojej paczce nazywany był „weteranem wojennym”, co przysporzyło mu nawet popularności i szacunku. Dzieci co sobotę przychodziły do pani Karoliny i zajadały się ciastkami w podziękowaniu za uratowanie życia Kazika. I miało być tak już zawsze.

Grażyna opowiadała, a wszyscy, nawet Adam, siedzieli nad zimną już zupą z otwartymi na wpół buziami, bo nikt nie znał tej historii.

- Babciu, co było dalej? - dopytywała się Ninka.

- Kazimierz, mój ojciec, twój pradziadek, Nineczko, nie poddał się oczywiście. Ponieważ był bardzo mądrym człowiekiem, chciał uczyć się, jak najlepiej tylko potrafił. Jego brat Stanisław, dwa lata starszy, poszedł na medycynę. Chciał leczyć ludzi i pomagać im w chorobie. Kazimierz, choć bardzo pragnął, to jednak bez trzech palców nie mógłby operować i leczyć ludzi. Zdecydował więc, że będzie pomagał zwierzętom, i tak też uczynił. Został weterynarzem. Doktorem weterynarii.

- Babciu, ale co w tej opowieści jest zabawnego? Mówiłaś, że to zabawna historia, a mnie jest smutno.

- A tak! Przepraszam, kochanie. Zapomniałam o puencie - kontynuowała. - Zabawne w tym wszystkim jest to, że gdy Kazimierz oświadczał się prababci Irencie, to ona nie wiedziała o jego kalectwie. Tak bardzo obawiał się odmowy, że cały czas trzymał tę okaleczoną dłoń w kieszeni spodni, niby tak nonszalancko. Kiedy Irena się zorientowała, było już

za późno. Zresztą i tak wyszłaby za Kazimierza, lecz to już dłuższa historia, kochanie. Wiesz, nawet ja, a byłam przecież jego córką, długo nie zauważałam, że nie ma oka. Tak sprytnie to kamuflował. Ale wiesz, kochanie, morał tego wszystkiego jest taki. Zapamiętaj to proszę - powiedziała Grażyna. - Kochamy innych za to, kim są, a nie za to, jak wyglądają. To bardzo ważne! Tak właśnie ja kochałam swego ojca, a twoja prababcia za to go szanowała.

Dopiliśmy napoje, po czym wyszliśmy. Wszyscy lekko oszołomieni opowieścią mamy. Tak, dziadek, choć znam go tylko z opowiadań, to człowiek wart poznania. Takich ludzi nie ma wielu.

Wigilia. Lubię ten dzień. Mama nauczyła mnie wszystkiego. Gotować tradycyjne potrawy. Stroić choinkę wysoką do sufitu. Pakować nocą prezenty. Wszystko jak w domu rodzinnym.

Zasiedliśmy do stołu, gdy Ninka oznajmiła, że pierwsza gwiazdka jest na niebie. Nie sprawdzaliśmy, czy to prawda, bo w duszy śmialiśmy się z Patrykiem, że chyba raczej troszkę naciągana, by móc szybko zjeść kolację i otworzyć wreszcie wymarzone prezenty.

Mikołajem, w Wielkopolsce zwanym Gwiazdorem, była zawsze Ninka. Rozdawała prezenty każdemu. Oznaczone były obrazkami, tak by mogła wszystkich po tych charakterystycznych hieroglifach odszyfrować. Nie umiała jeszcze czytać, trzeba więc było to jakoś opracować, z sukcesem, jak się okazało. Robiła to bezbłędnie i tak każdy



na swych kolanach miał paczkę.

Nigdy nie otwieraliśmy prezentów chaotycznie, tylko tak samo jak u mnie w domu, każdy po kolei. Dziadkowie byli zadowoleni ze swoich podarków. Ojciec otrzymał ciepły kaszmirowy sweter, a mama piękny delikatny naszyjnik z sekretnikiem, w którym wklejone było zdjęcie Adama i Ninki. Założyła go od razu na szyję i nie zdejmowała nigdy. Ja otrzymałam od męża bransoletkę z wielkim złotym sercem.

Ninka, no tu był wielki ubaw. Rozpakowała bowiem swoją paczkę i zaśmiewała się do łez. W paczce były wielkie białe kokardy. Wykrochmalone i ułożone jak kiedyś te, które jej babcia nosiła jako dziecko.

- Załóż mi je, babciu, natychmiast. - Podbiegła do niej. - Mamusiu, zrób mi zdjęcie i zobaczymy, czy jestem podobna do babci, gdy była mała.

Śmiała się i biegała od lustra do lustra, oglądając się ze wszystkich stron pełna zachwyty dla samej siebie.

Na dnie pudełka znalazła bransoletkę zwieńczoną złotą kokardką, tak by symbolizowała tę Gwiazdkę i jej wielkie krochmalone kokardy.

Na końcu swój prezent rozpakował Patryk.

- Dziwnie lekki - zastanawiał się, obracając pudełko w dłoniach.

Spojrzał na mnie tajemniczo. Zaczął uchylać papier i zaglądać do środka. Jego oczy zrobiły się wielkie jak cebule, gdy ujął w dłonie to, co zawierała paczuszka. W swych delikatnych, szczupłych palcach trzymał maleńkie błękitne

buciki.

- Czy to...

- Tak, kochanie, to oznacza, że będziemy mieli dziecko. Ninka będzie miała brata, a dziadkowie wnuka. - Uśmiechnęłam się i oczywiście nie obyło się bez łez.

Wszyscy staliśmy wokół choinki szczęśliwi, chyba wyglądaliśmy jak z tandetnej amerykańskiej pocztówki. Byliśmy to jednak my. MY.

- Skąd wiesz, że to będzie chłopiec?

- Wiem. Wiem, że to będzie Igor. Igor Silski.

- Nina i Igor. Kochanie, jesteś wspaniała. Kocham cię.

- Ja ciebie. Najbardziej.

Położyliśmy się spać dobrze po północy. Ninka zasnęła na moich kolanach, ciągle szepcząc coś do swojego na razie niewidzialnego brata. Opowiadała mu, jak urządzi mu pokój i w co się będą bawić. Oczywiście Ninka ze skłonnością jedynaczki ustaliła, nie pytając brata o zdanie, no bo niby w jaki sposób, że to ona będzie wszystkim dowodzić. Jak ten Mietek z opowiadania babci Grażynki.

## Rozdział 16. | Zakochana Irena

Miłość Adama i Grażyny kwitła przy pełnej akceptacji matki. Adam podobał się jej, choć nieraz wspominała, że to ona głównie będzie utrzymywać ich wspólny dom, bo on, nauczyciel, nie zapewni jej dobrobytu. Grażyna była głucha na te, można by rzec, biadolenia. Wiedziała, że Adam jest miłością jej życia i nigdy go nie opuści z tak banalnego powodu, jakim jest dobrobyt.

Instynkt samozachowawczo-egoistyczny, jak można by określić przy bliższej analizie postępowanie Irenki, włączył jej się już wtedy, gdy przyjęła propozycję babci Marii, by wyjść za mąż za Kazimierza, choć serce wyraźnie mówiło jej, że kocha Jana Konieczkowskiego. Kiedyś Grażyna wyznała córce, że życzeniem Ireny było, by po jej śmierci zdjęcie Jana włożono do jej trumny. Ma się rozumieć, że Grażyna przez lojalność wobec swego ukochanego ojca nie spełniła tej prośby.

Lata mijały, Grażyna skończyła studia i wróciła na pniewską prowincję. Za złoto, które otrzymała od Mimci, a było bardzo wiele warte, kupili dom. Grażyna wykazała się tu żyłką do interesu i przerobiła małe, złote, dukatowe monetki na pierścionki u lokalnego złotnika, po czym

sprzedawała je z zyskiem. Ta zaradność oraz oszczędności Adama pozwoliły kupić niewielki, ale uroczy domek pod Pniewami, w którym urządzili małą kancelarię prawną, miejsce pracy dla Grażynki.

Irena została w swoim poznańskim domku sama. Z lokatorami. Od czasu gdy została wdową, bardzo się zmieniła. Niestety, nie była to zmiana na korzyść. Jej egoizm i chęć posiadania pieniędzy, ciężko zresztą zdobywanych, spotęgowały się niezliczoną ilość razy. Przestała widzieć kogokolwiek. Nigdy nie była szczególnie wylewna ani podatna na wpływy innych. Nie dostrzegała biedy ani nieszczęścia. To, co miała w sobie dobrego, wyzwalał w niej Kazimierz, przy nim była lepsza.

Poznań rozrastał się, powstawały nowe obiekty, nowe przedsiębiorstwa. Nowe wydziały na akademiach przyciągały studentów. Niestety, zazwyczaj otrzymywali akademik i z wynajmem pokojów stało się krucho, co niezwykle martwiło Irenę. Plony z sadu, niewielkiego, ale zawsze, skrzętnie sprzedawała, wywieszając na płocie kartkę: „Sprzedam jabłka, brzoskwinie”, jednak przynosiły niewielki i sezonowy dochód.

Siedziała w ogrodzie, wdychając poznańskie powietrze, w oddali nasłuchując jeżdżącego tramwaju. Szum jakby nadciągającej burzy. Lubiła odgłosy miasta. Lubiła ten smog, choć wtedy jeszcze niewielki, bowiem mało kto posiadał samochód.

- Bonjour - usłyszała za plecami. - Dzien dobry.

Odwróciła się szybko. „Jak on tu wszedł?” - zastanawiała

się. Bramka zamykana jest na zamek, który otworzyć może kluczem lub domofonem. Chyba jej nie domknęła.

- Słucham pana?

Spojrzała na niego. Wyglądał zupełnie inaczej niż inni mężczyźni. Niewysoki, śniady. Ciemne włosy wypełniały całą powierzchnię głowy, opadając nawet na czoło. Odgarnął je zamasyście i oczom jej ukazała się ładna i zdrowa cera oraz białe zęby.

„Czego on tu szuka? - pomyślała. - I do tego wygłupia się, mówiąc po francusku”.

- W czym mogę pomóc? - zapytała po francusku, sądząc, że odechce mu się żartów, gdy nic nie zrozumie.

- Szukam mieszkania, a mówiono na osiedlu, że pani wynajmuje pokoje.

Zaskoczyło ją to i ucieszyło zarazem.

- Tak?

- Czy możemy porozmawiać? - kontynuował po francusku, nie próbując już łamać polszczyzny, zwłaszcza że jakimś cudem znalazł kobietę władającą jego językiem.

Ona nie posiadała się z dumy, że nie zapomniała języka, którego uczono ją jako panienkę, a którym władała, bywając z ojcem w Paryżu. Poczwała się wspaniale. Postanowiła w mgnieniu oka wykorzystać sytuację i dowiedzieć się, czegoś to od niej może potrzebować. Chciała też pokazać wszystkie swoje wdzięki.

On zaskoczony przywitaniem w jego ojczystym języku czuł, że złapał Pana Boga za nogi. Ta piękna kobieta, z rysami niczym grecka bogini, o rozjaśnionych włosach

i błękitnych oczach, podała mu dłoń. Tak delikatną i drobną. Ozdobioną szykowną biżuterią. Irena nigdy jej nie zdejmowała, nawet do prac w ogrodzie. Dłonie oszczędzała, pracując w rękawiczkach.

- Oui... - zaczął, gdy usiedli w elegancko umeblowanym saloniku Irenki. - Jestem René. Poszukuję pokoju, a właściwie mieszkania. Firma, dla której pracuję, buduje w Poznaniu i okolicy sieć hoteli. Jestem głównym inżynierem, który ma nadzorować budowę. Potrzebuję zakwaterowania na czas około dwunastu miesięcy.

- Dlaczego nie zamieszka pan w hotelu w mieście? - zapytała, choć bardzo bała się usłyszeć odpowiedź z obawy, że zasugeruje mu inne rozwiązanie.

- Pani dom mieści się niecałe dziesięć minut drogi od inwestycji, nie chcę marnować czasu na dojazdy z centrum miasta. Czy pani ma coś przeciwko mojemu zamieszkaniu tutaj?

Oczywiście, że nie miała. Był tak przystojny i tak wyjątkowy, że czuła, że wynajęłaby mu ten pokój nawet za darmo. Pachniał tak pięknie. Żaden polski mężczyzna nie pachnie tak jak Francuz. Polak pachnie wodą kolońską, a on prawdziwymi perfumami. Znała smak i zapach luksusu. Musiała go tylko w sobie obudzić. Obudzić to, co w jej instynktach usnęło na jakiś czas.

- Oczywiście, całe piętro jest do pana dyspozycji.

- Oui, to widzimy się za tydzień. Za dokładnie siedem dni wprowadzę się do pani, to znaczy do pani domu. - Zakłopotał się tym, co powiedział. Jego wyobraźnia zapewne płatała mu

figle.

Pożegnali się dziwnie czule, podała mu dłoń, a on wylewnie pocałował ją w policzek. Znowu poczuła przyływ gorąca w ciele. W ciele, które od kilku lat spało, a może drzemało tylko. W końcu kobietą jest się do końca życia.

Poszedł. Patrzyła jeszcze za nim, choć już dawno odjechał. „Czy to możliwe? Czy to może się jeszcze zdarzyć?” – zastanawiała się do samego wieczora.

Gdy zabierała filiżanki, z których pili herbatę, dotykała pieczołowicie tej, z której pił. Dotykała nią swoich ust, jakby chciała poczuć jego. Tak... to wróży zmianę.

Wyjęła karty. Rozłożyła. Dawno tego nie robiła, od momentu gdy karty pokazały śmierć Kazimierza, nie wyciągała ich ze szkatuły. Teraz nadszedł ten moment, gdy poczuła, że musi się upewnić, zobaczyć to, co ma się stać. Musi być przygotowana, nie zniesie miłosnego zawodu. Karty pokazały to, co chciała zobaczyć. Na stole ukazała się czerwień w całej krasie. Kiery, kiery, kiery. Przy niej, przy nim. Miłość. Tak. To jest to. Nadszedł czas namiętności i miłości w tym zamarłym organizmie.

Następnego dnia rano zorganizowała ekipę remontową, by dla René odświeżyć piętro. Kazała pomalować ściany na modne jasne kolory, by było elegancko. Tapicerowi w tempie ekspresowym nakazała obić rozkładany tapczan na bordowo. Do tego dwa foteliki. Wstawiła kwiaty, umyła okna. Pomagała jej młoda sąsiadka za parę groszy z obawy, że w tydzień nie zdąży wszystkiego zrobić sama.

Po sześciu dniach piętro było gotowe. Piętro, na którym

nie było kuchni. „Na szczęście” – pomyślała Irena. On nie zapytał, a ona nie powiedziała, że to ona będzie go karmić. To ona wdrze się na wyżyny kulinarne i będzie mu gotować, zaspokajając jego kubki smakowe. Odpuści sobie żywienie się wiecznie gotowanym kalafiolem i parówkami, co zresztą i jej wyjdzie na zdrowie. Zakupiła nawet dwie książki kucharskie, jedną o kuchni polskiej, drugą o francuskiej. Z trudem zresztą zdobyła.

Oczywiście liczyła, że od czasu do czasu zjedzą w restauracji w mieście. Ubierze się wtedy elegancko i zaprezentuje swoją klasę i szyk. W końcu tego się nie zapomina.

Dokładnie siedem dni później René stawił się u jej progu. Wyglądał jeszcze piękniej niż poprzednio, tym razem wyczekiwała go odpowiednio do tego przygotowana. Włożyła błękitny sweterek podkreślający kolor jej oczu, białą wąską spódnicę, by podkreślić zgrabną sylwetkę. Wczorajsza wizyta u fryzjera zrobiła swoje. Świeżo nałożony blond oraz henna na brwiach odjęły jej lat. Zakupiła nawet flakonik niewielkich perfum na bazarku, gdzie można było kupić wiele produktów sprowadzonych z zagranicy. Skropiła się nimi delikatnie na szyi oraz nadgarstku, tak by przy powitaniu poczuł tę woń.

W prawej ręce trzymał bukiet czerwonych róż, w lewej zaś modną walizkę w wielką szkocką kratę. Nie posiadała się z zachwytem nad nim oraz nad całym tym rytuałem. Czuła, jakby to była randka, a nie banalne wynajęcie pokoju. René był zadowolony ze swojego pięterka. Widział, że Irena postarała się bardzo, czuł świeżość farby oraz ogólne



przygotowanie. Czuł się wyjątkowo i nie żałował, że zawierzył tej madame, decydując się na mieszkanie bez uprzedniego oglądania go. Postawił w kącie walizkę i zeszli na kawę do kuchni właścicielki.

Rozmowa była bardzo przyjemna, tak przyjemna, że kontynuowali ją na werandzie, otulając się pięknym, ciepłym, letnim wieczorem. Około północy pożegnali się, wiedząc o sobie troszkę więcej. On wiedział, że ona jest wdową z zamężnymi córkami, ona za wiele nie wywnioskowała z jego opowiadania.

Długo nie mogła zasnąć. Już dawno się tak nie czuła. Słyszała jeszcze jego kroki, gdy krzątał się po mieszkaniu u góry. Słyszała, jak schodził do łazienki oraz jak rozkładał tapczan, by móc zasnąć spokojnie lub miała nadzieję, że niespokojnie, myśląc o niej.

Irena od lat czuła się starą kobietą. Owszem, wiedziała, że jest atrakcyjna, że mężczyźni oglądają się za nią. „Lecz co to za mężczyźni?” – mawiała. Nic wartego uwagi. Nie była w związku z tym ani dla nich przychylna, ani nawet miła.

Wstała z łóżka. Zapaliła lampkę. Stała przed lustrem. „Tak, nogi zgrabne – zaczęła wyliczankę. – Skóra na ciele też może być, gładka, pomimo zbliżającej się wielkimi krokami pięćdziesiątki. Brzuch płaski dzięki Kazimierzowi, który po każdej ciąży nakazywał owijać się elastycznym bandażem, by nie stracić jędrności. Tak, ten ładny brzuch to zasługa Kazimierza. Teraz czas, by mógł zobaczyć go ktoś inny” – pomyślała z dziwnym uśmiechem na twarzy. Uznała, że czas kupić kilka nowych, bardziej eleganckich koszulek. Bilans

zakończyła na plusie, uznając, że jest jeszcze całkiem ponętą kobietą, choć w tej kategorii dawno się nie oceniała.

Usłyszała lekkie pukanie do drzwi. Czyżby jej się zdawało? Poczekała. Jeszcze raz. Zawinęła się w szlafrok, niestety, bawełniany, w kolorze kremowym. „Nic seksownego, niestety” – przeszło jej przez myśl. Otworzyła.

René padł w jej ramiona, nie pytając o nic. Ona przyjęła go, nie opierając się ani o cal. Całował jej szyję, usta, każdy centymetr jej ciała. Upadli na podłogę. Irena myślała, że świat się kończy. To koniec. Dozna rozkoszy i skona. Czuła jego dłonie na swoim, przed chwilą tak skrupulatnie analizowanym ciele. Czuła jego ciało pod swoim. Czuła go na sobie. Zapach. Siłę. Francuskie słowa. Francuska miłość. „Umarłam i jestem w niebie” – pomyślała. Nigdy w to niebo nie wierzyła za bardzo, ale jeśli ono istnieje, to właśnie tak sobie je wyobraża. Opadła z sił przy drugim szczytowaniu. Nie wiedziała, że tak można. Nie wiedziała, że w ogóle można...

Z mężem kochali się okazjonalnie, bez specjalnej czułości ani szaleństwa. Miłość fizyczna traktowana była raczej jako obowiązek, a nawet narzędzie do tworzenia nowych istot. Światło było zawsze zgaszone, wszystko odbywało się pod pierzyną, bo tak wypadalo, cichutko, tak jakby było zakazane. Ona nie domagała się więcej, zresztą mąż nie wzbudzał w niej podniecenia. Kochała go i szanowała, on szanował ją i przez ten dziwny szacunek nie zaznali szaleństwa, jakim jest seks w czystej postaci.

Usłyszała lekkie pukanie do drzwi. Czyżby jej się

zdawało? Poczekała. Jeszcze raz. Zawinęła się w szlafrok, niestety, bawełniany, w kolorze kremowym, nic seksownego.

„A sen był taki piękny i realistyczny” – pomyślała, otwierając drzwi.

Stała przed nim w tym szlafroku, z włosami w nieładzie, z żalem w oczach. On już ubrany, przygotowany do wyjścia do pracy.

„Po tym ranku nic z tego wszystkiego nie będzie” – pomyślała. Zamiast zaprezentować się jak dnia poprzedniego, ukazała mu się niczym zaspana kura domowa. Wszystko przez tę wyobraźnię. Żeby nie ten sen, bądź co bądź piękny, stałaby tu z przygotowaną jajecznicą na bekonie, a teraz René pójdzie do pracy głodny, a ona pozostanie z niesmakiem niespełnionej misji.

- Przyniosłem bułeczki. - Uniósł papierową torbę, w której znajdowały się świeże bułki.

- Zapraszam! - Tylko to przyszło jej do głowy.

Owinęła się szczelniej szlafrokiem, nastawiła czajnik i zjedli wspólne śniadanie. Dobrze, że miała w spiżarce pyszny malinowy dżem. Francuzi kochają delikatne śniadania składające się z białego pieczywa oraz różnych dżemów. Może i dobrze, że plan z jajecznicą upadł, bo kompromitacją byłoby, gdyby jej nie zjadł.

Śniadanie przebiegło w miłej atmosferze. Ta naturalność Ireny bardzo przypadła René do gustu. Ucieszył się, że w naturalnej wersji, bez makijażu oraz ufryzowania, wygląda tak ładnie.

Jadąc do pracy, myślał o niej. Ona o nim. Próbowwała zejść

na ziemię, lecz nic z tego. Po śniadaniu natychmiast udała się tramwajem do miasta. Przejeżdżała obok miejsca, w którym budował się hotel nadzorowany przez René. Nawet wydawało jej się, że widzi go tam wśród tych robotników. Że wskazuje coś ręką, że gestykuluje i tłumaczy. Pewnie jej się zdawało, lecz teraz wszędzie, gdzie będzie, zobaczy jego sylwetkę, wszędzie słyszeć będzie francuski język. Taka fascynacja.

Do domu wróciła późnym popołudniem z torbą zakupów. Znajdowała się w niej elegancka bielizna, począwszy od nowej koszulki nocnej i pseudojedwabnego szlafroka, skończywszy na koronkowym, z trudem zdobytym staniku i figach. Tak, teraz była przygotowana. Tylko na co? Czuła się trochę grzesznie, ale zarazem tak, jakby skoczyła co najmniej ze spadochronem. Adrenalina i emocje były tak wielkie, że nie dało się nad nimi zapanować. Zresztą wcale nie chciała.

„*Carpe diem*” – pomyślała. Czuła, że jest między nimi ta chemia, o której się mówi, choć ona myślała zawsze, że to jakiś wymysł. Gdy jednak dobrze poszpera we wspomnieniach, przypomina sobie, jak Jan całował jej dłoń, a motyle szalały w brzuchu. Jak wtedy, gdy podczas spaceru ich dłonie przypadkiem ocierały się o siebie. Mrowienie w stopach, szybkie bicie serca, bezsenność. To wszystko jest chemią, a prościej mówiąc – podnieceniem wywołanym przez drugą osobę. Była pewna. Jest i będzie coś między nią a René.

Francuz pracował od rana do wieczora. Śniadania jadali

razem. Irenka starała się bardzo, by zaspokoić jego głód, a jednocześnie podsycić zmysły. Te wszystkie dni przebiegały jednak bardzo poprawnie, bez zbliżeń. Martwiła się, że może jednak nie przypadła mu do gustu, a tylko miała takie wrażenie. Pomyliła się i tyle. Martwiło ją to, noce były bezsenne, pełne marzeń o uniesieniach.

- Ireneo - zakomunikował pewnego dnia. - Wyjeżdżam do Paryża na kilka dni. Wrócę w niedzielę wieczorem.

Spojrzał na nią. Ta dojrzała kobieta miała w oczach smutek dziewczęcia. Jakby strach. Obawiała się, że już nie wróci. Pocieszała się szybko, że przecież musi, hotel jeszcze nie jest gotowy. „Tak, musi wrócić” - pocieszała się.

Pożegnał się jak zawsze, jakby unikając jej wzroku. No cóż, człowiek i ciało myli się jednak czasami. Postanowiła, że nie będzie siedzieć sama w Poznaniu, odwiedzi Grażynkę i Adama w ich nowym domku na wsi. Może i ta wieś dobrze jej zrobi. Postanowiła wyjechać jeszcze tego popołudnia.

Zajechała autobusem na główny przystanek PKS-u. Adam i Grażyna odebrali ją z przystanku. Wstąpili również na cmentarz, który był blisko zajezdni. Pomodlili się nad grobem. Nie wiadomo, co Irenka w tej sytuacji mówiła Kaziowi, czy opowiadała mu w duszy, co czuje, czy prosiła go o przyzwolenie, a może prosiła o wsparcie. Dość wiedzieć, że wyszła z cmentarza zadowolona i uśmiechnięta.

Domek Grażynki przypadł jej do gustu. Był niewielki, ale ładnie urządzone. Na komodzie obok pianina, bo grywała często, stały zdjęcia ojca. Nad pianinem wisiał oprawiony doktorat z wielką pieczęcią oraz orłem w koronie.

Czasami Grażyna nie mogła się nadziwić, że lekcje gry, którymi raczyła ją pani Gertruda Poszwińska, przyniosły takie efekty i choć tyle lat nie grała, szło jej to z lekkością i jakimś takim frywolnym rytmem. Adam i matka słuchali jej z przyjemnością. Ojciec ze zdjęć zerkał na nich wszystkich, sprawiając wrażenie, iż uśmiecha się z zadowoleniem. Tylko Irenka była zamyślona, pewnie marzenie o René nie opuszczało jej ani na krok. Miała przeczucie, że nie mogła się pomylić, do tego karty tak ładnie pokazały miłość.

Pierwszą noc spała spokojnie. Wiejskie powietrze, miłość Adama do Grażynki napełniały ją nadzieją i radością, zwłaszcza że podzielili się z nią dobrą wiadomością. Na świat przyjdzie jej pierwsza wnuczka lub wnuczek. Miała mieszane uczucia, oczywiście cieszyła się niezmiernie, lecz strach przed starością zyskał jakby nowe, groźniejsze oblicze. Niedługo jakaś mała istota powie do niej „babciu”.

„To koniec! Będę stara! Nie, jestem stara!” – pomyślała.

Trzy dni minęły szybko. Wróciła do domku w niedzielne południe. Postanowiła nie zamartwiać się więcej. Jeśli René zechce, to musi wykonać pierwszy krok. Jeśli nie, to będzie po prostu zwykłym lokatorem i basta.

Wykąpała się, uczesała włosy, które sięgały podbródka, ubrała pudrową sukienkę i takie pantofle. Włączyła radio. Miła, spokojna, acz romantyczna muzyka wprowadzała ją w spokojny nastrój. Piła waniliową herbatę, którą dostała od René. Zawsze lubiła smak wanilii. Od dziecka.

Nagle usłyszała szmer pod drzwiami. Uchyliła je. Wypadł wciśnięty w futrynę kawałek papieru. Podniosła go.

*Dla Ciebie  
Dla Ciebie jestem,  
dla Ciebie trwam.  
Co za siła połączyła nas?  
Czy to przypadek?  
Losu przeznaczenie?  
Tak... na pewno -  
To naszych marzeń spełnienie.  
René J.*

Nie wierzyła w to, co przeczytała. To było piękne i takie prawdziwe. Jednak czuł to samo. Przeczucia jej nie zawiodły. Przygasiła światło. Ściszyła radio. Usiadła i zastanawiała się, co teraz powinna zrobić. Wie, co powinna. Powinna położyć się do łóżka spać. Ale robi całkiem odwrotnie. Tym razem nie zmarnuje szansy na prawdziwą, porywającą miłość. Podbiegła do szafy. Wyjęła zakupioną wcześniej koszulkę, a na nią włożyła prześwitujący szlafrok. Poluźniła gładko zaczesane włosy, by sprawiały wrażenie naturalniejszych, delikatnie zaróżowiła policzki.

Stanęła przed jego drzwiami cała przerażona. Nigdy tego nie robiła, nigdy nie zakradała się do mężczyzny, nigdy pierwsza. Chciała poznać jednak to uczucie, to samo, co przeżyła we śnie, a obudziła się po prawdziwym spełnieniu.

Zapukała. Nie czekała na odpowiedź. Weszła. Na stole stały kwiaty i butelka prawdziwego szampana. Czekał. Wiedział, że przyjdzie.

Podeszła do niego. Nie musiała stać na palcach, by go

pocałować. Był tylko nieznacznie wyższy od niej. Czują go całym ciałem. On zachwycił się jej urodą, powabem oraz niewinnością, pomimo jej dojrzałego wieku. Miał wrażenie, że znalazł jakiś szlachetny kamień wśród jałowej ziemi.

Kochała się tej nocy jak nigdy. Tyle czułości i pieśczoć nigdy w życiu nie zaznała. Szczytowała trzykrotnie, mdlejąc prawie po każdym z nich. Nie znała tego uczucia. Miała wrażenie, że ziemia usuwa jej się spod ciała, że wpada w jakąś ponadludzką przestrzeń, z której najchętniej nie wracałaby już nigdy. René całował jej ciało, włosy, dłonie. Szeptał, że jest piękna, niespotykana. Po tej nocy nie poszedł do pracy. Spędzili ze sobą całą noc i dzień. Nie mogli nasycić się swoimi ciałami. Swoją bliskością.

Opowiedział jej, że wyjazd był pretekstem, że chciał uciec na chwilę, by to wszystko przemyśleć. Od pierwszego dnia czuł, że zakochał się w niej bez pamięci. Zdawał sobie jednocześnie sprawę, że jego pobyt w Polsce jest czasowy, a nie chciał jej skrzywdzić. Całe dni się zadręczał, lecz postanowił, jak się okazuje, dokładnie tak jak ona, postawić wszystko na jedną kartę. Nie żalowali. Mieli przed sobą długi wspólny rok.

Był świt. Spojrzała przez okno. Już dawno tak wcześnie nie wstawała. Była rześka i pełna energii. Słońce wznosiło się nad wierzchołki jej owocowych drzew. Miało kolor soczystej pomarańczy. W głowie układały się słowa. Wzięła do ręki papier i pióro. To samo bordowe stare pióro, które było w jej posiadaniu od zawsze. Pióro, które zostało już dawno wyparte przez długopisy i inne cacka. Ona pozostała



mu wierna. Nie pisała wiele, lecz gdy już to czyniła, to tylko nim.

Usiadła przy kawowym stoliczku w rogu salonu. Zaczęła kreślić słowa, zwroty. Rozmarzyła się. Spoglądała w okno i na drzwi, jakby chciała tam coś lub kogoś zobaczyć.

„Pióro masz bardzo dobre, Irenko” – mawiał zawsze Kazimierz, zwłaszcza wtedy, gdy pisała na prośbę Grażynki opowiadania do szkoły. Teraz nie w głowie był jej jednak ani Kazimierz, ani Grażynka. Tylko René. Dla niego napisała wiersz. Wiadomo, że Irenie, kobiecie tak bardzo czytanej, kochającej literaturę oraz wiersze, nie przysporzyło to wiele trudu. Pisywała czasem do szuflady. Jednak nigdy z takim zapałem jak tego ranka. Tego ranka pisała z miłości i fascynacji, kreując konkretny obraz jej uczuć.

Zegar wybił ósmą. Czas przygotować śniadanie. Uwielbiała te ranki z René. Już od tak dawna jadała sama, że zapomniała, jak miło jest jeść w towarzystwie, a w takim zwłaszcza. Nastawiła wodę na herbatę, pokroiła pieczywo. Tradycyjnie oprócz wędliny i sera był dżem jako dopełnienie posiłku. Taki swoisty deser, zajadany na końcu. René rozpływał się nad jej zdolnościami kulinarnymi, nie wiedząc, że wcześniej nie miała się gotowania wcale. To wszystko było dla niego. Nieprawdopodobnym jest, jak wiele kobieta może zrobić z miłości do mężczyzny, jak wiele dotychczasowych zasad złamać. Czy mężczyźni potrafią tak samo?

Pokroiła pomarańczę, tę, która przypominała poranne słońce. Ułożyła ją w formie płatków kwiatu i podawała René do ust, on karmił ją, a ciekący po jej dłoniach sok

pieczołowicie szałowywał.

Te miłosne gierki skończyły się rozkosznym aktem zwieńczonym ekstazą. Już od dawna René nie był punktualny w pracy. Na pożegnanie Irena podała mu karteczkę. Swoje poranne dzieło, tym trudniejsze do napisania, że po francusku. To był dobry moment. René łąpczywie czytał.

*O Tobie*

*O Tobie ciągle marzę,  
ciągle śnię.*

*Zasnąć nie mogę,  
czasami coś zjem.*

*Tęsknota bardzo trudna jest,  
uczucia płoną.*

*Pragnienia – to nie do zniesienia.*

*Jak długo jeszcze podołać temu mam?*

*Do kresu wytrzymałości,  
ile starczy sił...*

*Kocham Cię*

*Wystarczy, żebyś był...*

Upadł przed nią na kolana. W oczach miał łzy. Czyżby nikt nigdy dla niego nic nie napisał? Całował ją po kolanach, ona głaskała jego włosy. Miała wrażenie, że to wszystko jest snem, że niemożliwe, by przydarzyło się jej coś takiego w jesieni życia. Może to jest nagroda za wyrzeczenie się miłości do Jana, może spotkała ją nagroda za silną wolę, jaką wtedy się wykazała. „Nie kara, jak zawsze” – myślała...

Czas z René mijał na uniesieniach. Tak jak przewidywała, zabierał ją do teatru, do kina. Późne kolacje w eleganckich lokalach, przy świecach i winie. Ona piękna, dystygowana. On uroczy, wzbudzający zachwyt innych kobiet. Cudzoziemiec, łakomy kąsek dla każdej Polki marzącej o emigracji z tego szarego kraju, lecz on był właśnie z nią, Ireną.

Czy to tak jest, że pewne losy, sytuacje, epizody mają swoje źródło w historii? Historia lubi się powtarzać - tak się właśnie mówi. Francja zawsze kojarzyła jej się z ojcem, który porzucił ją i jej matkę Zofię. To on zamieszkał w Paryżu. To on władał francuskim jak ojczystym językiem.

Teraz ona, Irena, spotyka René, Francuza, i przeżywa z nim miłość w każdej jej postaci. Opowiedziała mu to, jak również trochę historii jej losów. Jego podziw dla niej urósł jeszcze bardziej. Czuł, że jest wyjątkowa, lecz że jest szlachcianką z krwi i kości, nie śmiał przypuszczać. Teraz rozumiał, że te gesty, ta mimika i wychowanie mają swoje solidne podstawy.

Gdy wrócili do domu, pokazała mu albumy ze zdjęciami rodziców oraz wychowujących ją dziadków.

- Jesteś podobna do Marii - powiedział.

- To miłe, chciałabym być taka jak ona. Nie jestem jednak i nigdy nie będę. - Zdobyła się na refleksję z głębi serca. - Ona była ideałem kobiety, żony i matki. W jej sercu mieściły się niezliczone pokłady dobroci. W moim nie ma chyba nic poza miłością do ciebie, René.

- Mylisz się, jesteś wspaniała, lecz musisz w to uwierzyć.

- Przytulił ją do siebie. Zasnęli razem w objęciach.

Grażyna dowiedziała się o ich związku po kilku miesiącach. Irena nie wiedziała, jak jej to powiedzieć. Jak powiedzieć córce, że się zakochała. Przez ten okres stwarzali pozory dobrych znajomych, choć Adam czuł, że sytuacja jest nienaturalna. Widać było, że doskonale się rozumieją i że patrzą na siebie pełni obustronnego zachwytu. Gdy jednak zdobyli się na wyznanie prawdy, Grażyna wstała i wyszła do ogrodu bez słowa. Adam pobiegł za nią.

- To niemożliwe! Jak ona może zdradzać ojca! - krzyknęła nienaturalnie, zbyt głośno, jakby chciała, by matka ją usłyszała.

- Ależ, Grażynko, Irena nie zdradza twego ojca, bo jest wdową. Nie uważasz, że miłość to piękna rzecz i każdemu się należy?

- Ale ona jest... starsza. - Nie chciała powiedzieć stara.

- Kochanie, nie denerwuj się tak. Miłość nie zna granic wieku, czasu ani sytuacji.

- Sama nie wiem...

- Kochanie, przypomnij sobie nasze perypetie, jak długo na siebie czekaliśmy, jakie kłody rzucono nam pod nogi, z racji wieku, pozycji... Nie powinnaś być teraz taka niesprawiedliwa wobec matki. Była lojalną żoną przez całe małżeńskie życie i godnie reprezentowała twego ukochanego ojca. Lecz teraz z życia też jej się coś należy, nie uważasz?

Zamyśliła się. Spojrzała na sad, był taki piękny. Wiedziała dlaczego. Matka wkładała w niego dużo pracy i serca. Życie nie może polegać tylko na pracy.

- Dobrze, że cię mam, Adamie. Masz rację. Jesteś taki mądry. Kocham cię.

Przytuliła się do niego i poczuła kopnięcie małej stópki w brzuchu, jakby na znak pojednania i zgody. Trzymając się za ręce, wrócili do salonu, w którym stali niepewni Irena i René. Czuli się tak jak młoda para przed ślubem, a przecież oni chcieli być tylko razem. Sytuacja René była nieokreślona, a Irena obawiała się go zapytać. Bała się, że ma żonę i wróci do niej. Na razie nie chciała tego wiedzieć ani o tym myśleć.

- Przepraszam, mamó - powiedziała Grażyna, przestępując próg. - Trochę mnie zaskoczyłaś. Naprawdę cieszę się, że jesteś szczęśliwa.

Przytuliły się do siebie na znak pojednania i zrozumienia. Dopili pyszną herbatę, Adam nawet skosztował francuskiego wina. Nie lubił wytrawnego, lecz wersję podaną przez René uznał za wyśmienitą. Pośmiali się trochę. Grażyna podziwiała matkę za umiejętność władania francuskim. W ogóle widziała w niej przemianę, wyglądała młodziej, była bardziej uśmiechnięta, ogólnie promieniała. René bardzo jej kogoś przypominał. Nie mogła tylko skojarzyć kogo.

W drodze powrotnej do domu doznała olśnienia.

- Wiesz, Adamie, on przypomina Jana.

- Tego, w którym twoja mama kochała się jako młoda dziewczyna?

- Tak, tego.

- To niebywałe. Teraz to wszystko jest jeszcze bardziej interesujące.

- Tak, i niesamowite.

Hotel rósł jak na drożdżach. Był piękny i okazały. Oznaczało to, niestety, że zbliża się czas rozstania. Irena odsuwała tę myśl od siebie jak najdalej. Nie rozmawiali o tym ani nie liczyli dni. Ona nie liczyła, on dobrze wiedział, że do zakończenia inwestycji pozostało dokładnie siedemnaście dni. Siedemnaście dni do opuszczenia Polski, siedemnaście dni do opuszczenia Ireny.

Postanowił zrobić to w wielkim stylu, takim, na jaki zasługuje. W przeddzień wyjazdu zamówił stół w najdroższej restauracji w mieście. Stały na nim kwiaty, wielki bukiet czerwonych róż. Szampan się mroził, a kelner był tylko do ich dyspozycji.

- Irenko, wiem, że szampan jest do ucztowania. Dziś jest smutny dzień. Jutro wyjeżdżam.

Irena już od kilku dni zbierała się w sobie, by nie okazać słabości. Potrafiła to zrobić, zawsze umiała pokazać, że jest twarda, choć nie zawsze taka była. Jednak nie tego dnia. Tego dnia była krucha jak porcelana Rosenthala, którą dostała od babci Marii. Czowała, że gdy upadnie, to rozsypie się na maleńkie ostre kawałeczki. Wie, bo kiedyś stłukła jedną. Pokaleczyła sobie dłonie, gdy zbierała te okruszki. Teraz wiedziała, że gdy upadnie, to pokaleczy przede wszystkim siebie i bliskich. Musi być twarda.

- Tak, wiedzieliśmy o tym oboje - powiedziała jakby bez emocji.

Nie znał jej takiej.

- Nie wiem, co powiedzieć. Zakochałem się w tobie tak bardzo, lecz nie mogę zostać. Mam we Francji...

- Nie kończ! Nie chcę wiedzieć. Wolę myśleć, że masz tam po prostu pracę.

- Niech tak będzie. Chcę jednak powiedzieć ci, że nigdy nikogo tak nie kochałem i nie przeżyłem tylu doznań, co z tobą.

Spuściła głowę, by ukryć łzy, których już dłużej nie mogła skrywać.

- Mam dla ciebie drobny prezent.

Wyjął z pudełeczka pierścionek. Był srebrny i okazały. W kształcie stożka czy góry z osadzonym na czubku agatem. Stożek był jakby rzeźbiony, sprawiał wrażenie koronki. Nałożył jej na palec. Leżał idealnie, choć niecałkiem pasował do złota, w które była przystrojona.

- Irenko, on symbolizuje naszą miłość, górę miłości, koronki twojej bielizny, zielony agat to kolor moich oczu, którymi patrzyłem na ciebie z zachwytem. Będę myślał o tobie zawsze i mam nadzieję, że ty nie zapomnisz o mnie nigdy.

- Jest piękny! - Naprawdę się nim zachwyciła. Tanim kruszcem, którego nigdy nie miała w poważaniu, lecz pięknym, bo od René. - Nigdy go nie zdejmę! - przyrzekła.

Trzymała się dzielnie, zdobyła się nawet na kilka żartów. Udawała, że bawią ją jego dowcipy, choć tak naprawdę miała w głowie pustkę i widmo rozstania następnego dnia. Czuła się jak kostka lodu, co odpowiadało zresztą temperaturze jej ciała. Stopy i dłonie miała lodowate ze zdenerwowania.

Wrócili do domu, mieli przed sobą ostatnią noc. Spędzili ją upojnie, przeplatając ją łzami, które raz płynęły z oczu

jego, raz jej. Rozmawiali do późnej nocy, może do świtu, usnęli w objęciach.

Okolo południa pożegnali się i René opuścił domeczek Ireny. Otulona jedwabnym szalem w letnie popołudnie, dokładnie takie samo jak wtedy, gdy pierwszy raz przeszedł przez bramę jej domostwa, stała sama i opuszczona.

Gdyby nie pierścionek, który teraz pieściła na swoim palcu, miałyby wrażenie, że to wszystko było snem, że przysnęła w ogrodzie i obudziła się w rzeczywistości swojej samotności.

Nie był to jednak sen, odgłos jadącego w dali tramwaju obudził ją z letargu. Weszła na werandę, podniosła z podłogi koszyczek i zaczęła zrywać jabłka. Na bramce wywiesiła kartkę „Jabłka, brzoskwinie sprzedam” oraz „Wynajmę pokoje”.

Tym aktem dała znak, że wróciła do rzeczywistości.



## Rozdział 17. | Podmiejskie życie

Spojrzała na swoje pianino. Uwielbiała je. Czarne, lekko zniszczone, z klawiszami z kości słoniowej oraz rzeźbionymi ręcznie nogami. Dotknięte zębem czasu. Pianino zakupili od rodziny, której dorosłe dzieci wyemigrowały i nie miał kto na nim grać. Stało w kącie jakby smutne, jakby puste, odarte z duszy, i to spowodowało, że zdecydowali się na jego sprzedaż. Na szczęście ogłoszenie wywiesili w szkole, zapewne myśląc, że ktoś z młodzieży zechce uczyć się grać. To było dobre miejsce, bo ogłoszenie zdjęł Adam i zdecydował o jego zakupie. Radość, jaką sprawił Grażynie, była nie do opisanania. I choć było rozstrojone, ona od razu usiadła i zaczęła grać.

Wezwali stroiciela z Poznania, który doprowadził dźwięki do porządku, i z instrumentu popłynął czysty, piękny zestaw gam.

Za każdym razem zastanawiała się, czy dziecko, które w sobie nosi, pokocha muzykę. Czy tak jak ona będzie grać na pianinie. I choć nie była muzykiem, tylko miłośnikiem, to jednak była z siebie dumna, że może bliskim zagrać coś miłego. I nawet jeśli po tylu latach od nauki zdarzył jej się jakiś fałsz, nie zrażała się tym wcale i grała dalej,

a słuchacze, czyli Adam i dziecko w łonie, udawali, że tego nie usłyszeli.

- Jak się czujesz, Grażynko? - Z zamyślenia wyrwał ją Adam.

- Sądzę, kochanie, że powinnam rodzić w Poznaniu. To nasze pierwsze dziecko i myślę, że bezpieczniej i pewniej będzie rodzić w szpitalu, który jest lepiej wyposażony niż nasze prowincjonalne. Co o tym myślisz?

- A jeśli nie zdążysz dojechać na czas?

- Zostanę u mamy na tydzień przed rozwiązaniem. Gdy się zaczniesz, będę miała do szpitala niedaleko i dotrę tam szybko taksówką.

- Bardzo dobry pomysł.

Tak, dobrze im się żyło. Byli tacy szczęśliwi. Domek ładnie urządzone, wymalowany, odnowiony. Uwielbiali spędzać w nim czas. Grażyna nigdy nie mogła pojąć, co tak ciągnęło jej matkę do wielkiego miasta. Przecież na prowincji jest spokój, zdrowe jedzenie, mili ludzie, często potrzebujący pomocy, której Grażyna chętnie udzielała.

Najważniejsze jednak, że blisko był grób ojca. Mogła znowu do niego chodzić tak często jak kiedyś.

Przechodziła też niejednokrotnie obok rodzinnego domu. Stawała zawsze w zamyśleniu. Przypatrywała się bardzo długo, tak długo, że czasami obawiała się, że ktoś wezwie milicję. Tak, wtedy jeszcze milicję. Domownicy przyzwyczaili się jednak do tego, że Grażyna ma do tego domu szczególny sentyment. Pewnego razu zaprosili ją na herbatę. Opowiadała im wtedy, co gdzie się u nich mieściło, gdzie

były pokoje domowników. Największą zadumę wzbudzał w niej zawsze korytarz domu, tak wielki, choć teraz, gdy była już dorosła, zmniejszył się jakby, zmienił proporcje. Ona nie jest już małą dziewczynką patrzącą na świat z dołu, pędzącą na rowerku w tę i z powrotem przez ten właśnie hol. Jest dorosłą kobietą.

Miło spędziła czas z domownikami. To sympatyczni ludzie. Pamiętali moment zakupu domu, pamiętali panią Irenę, elegancką, lecz smutną kobietę.

Wracając do domu, spotkała koleżankę ze szkoły. Tak bardzo ucieszyła się, że widzi Grażynę.

- Grażyno, z nieba mi spadasz.

- Co się stało, Bogusiu?

- Słuchaj, wiem, że jesteś prawnikiem. Pamiętasz panią Genowefę, która mieszka pod lasem? Tę, której mąż umarł, która ma niepełnosprawnego syna?

- Tak, oczywiście.

- Potrzebuje pomocy. Mogę ją do ciebie przywieźć?

- Tak, tylko najlepiej dziś lub jutro, bo jak widzisz, niedługo mam rozwiązanie i wyjeżdżam do mamy do Poznania, by tam urodzić.

- Przyjedziemy dzisiaj. Przywiozę ją.

Tak umówione rozstały się. Popatrzyła jeszcze na Bogusię. Nie zmieniła się za wiele. Może lekko się zaokrągliła po urodzeniu dwójki dzieci. Nie wyniosła się nigdy z Pniew, wyszła za mąż za kolegę z klasy. Wyglądała na zadowoloną i chyba tak w istocie być musiało, bo gdyby miała swoje problemy, nie angażowałaby się w cudze.

A jednak chciała nieść bezinteresowną pomoc innym. Jak tak sobie przypomnieć, zawsze miała coś ze społeczniczki. „To dobra cecha” – pomyślała Grażyna, wolno zbliżając się do domu.

Biuro pomocy prawnej – tak nazwała swój gabinet mieszczący się w przedsionku domu, tak by klienci nie przechodzili przez jego wnętrze. Często pomagała ludziom ze wsi i miasteczka. Często za darmo. To były nierzadko biedne osoby, bez niczego, za to z wielkimi kłopotami. Nie miała sumienia pobierać od nich opłaty, wiedząc, że nie mają za co żyć. Pamięta, że robił tak jej ojciec. Nigdy nie pobierał należnej mu sumy od biednych. Ona tak bardzo była do niego podobna.

Pod dom podjechał stary fiat 126p. Bogusia przywiozła panią Genowefę.

Kobieta była bardzo skrepowana. Pamiętała Grażynę jako młodą, ładną dziewczynkę, zawsze grzeczną, a teraz stała przed nią kobieta, i do tego prawniczka.

- Co się stało, pani Genowefo? – zapytała po przywitaniu.

- Nie chciałam sprawiać kłopotu. To Bogusia nalegała – zaczęła skrepowana.

- I bardzo dobrze zrobiła – zapewniła starą kobietę.

- Robi się coraz zimniej – zaczęła opowieść. – Czas zbierać opał na zimę. Nie mam pieniędzy, by go kupić. Chodzę codziennie do lasu i zbieram drwa, co do palenia się nadają.

- Nic w tym złego.

- No tak, przy lesie, tam przy drodze, stało takie stare,

połamane przez burzę drzewo. Wzięłam małą siekierkę i zaczęłam łupać te gałęzie, takie grube jak ręka. - Zaczęła prezentować na sobie. - Nagle jak spod ziemi zjawił się strażnik leśny. Spisał, że kradnę drewno i niszczę własność Lasów Państwowych.

- Co dalej?

- To był ten młody Marek od Kluzikowej, pamięta pani Kluzikową? - zapytała.

- Pamiętamy! - stwierdziła Bogusia.

Kluzikowie to nowobogacka pniewska rodzina, która dorobiła się na nie wiadomo czym, nie wiadomo z kim. Wszyscy w miasteczku wiedzą, że nie doszli do majątku uczciwą pracą. Syn ich Marek chodził o dwie klasy niżej niż Grażyna. Był pierwszym donosicielem i kapusiem szkolnym, co nauczycielom bardzo odpowiadało. Uwielbiali go i to jego donosicielstwo. Jak widać, po liceum poszedł pracować do nadleśnictwa, by tam łapać starych, schorowanych ludzi, bo z młodymi bał się zadzierać. Chciał wykazać się przed przełożonymi wynikami w pracy.

- No i ten Mareczek - tu powiedziała ze złością - dał mi mandat. Pięćset złotych. Oczywiście nie miałam z czego zapłacić. Sprawę skierował do komornika, który naliczył odsetki i kary, z których wyszło, że mam do zapłacenia ponad tysiąc pięćset złotych, które zabierają mi z renty. Nic mi już prawie na życie nie zostaje. - Rozpląkała się. - Ani opału, ani pieniędzy, zemrzemy na zimę.

- Niestety, sprawa już była w sądzie i nic na ten czas zrobić się nie da, ale wymyślę coś. Niech się pani nie martwi.

Na przyszłość jednak proszę szybciej mnie odwiedzić, będę wtedy mogła coś zaradzić na drodze prawnej.

- Dobrze. - Kobięcina się zmartwiła, nie widząc dla siebie żadnego ratunku.

- Proszę zostawić mi te dokumenty i listy komornicze. Oddam je pani jak najszybciej.

- Jesteś tak podobna do ojca, Grażynko - powiedziała na odchodnym pani Genowefa.

To był największy komplement, jaki usłyszała ostatnio. Być podobna do ojca, to było jej marzeniem. Chciała w życiu zyskać taki szacunek u ludzi, jaki miał jej tato. Wiedziała, że na to pracuje się całe życie. To był zaledwie mały kroczek w tym kierunku.

- No, maleństwo - powiedziała do swojego brzucha, gładząc go delikatnie - musisz jeszcze chwilę poczekać z tym przyjściem na świat.

Wieczorem naradziła się z Adamem, jak można pomóc pani Genowefie. Na drodze sądowej jako prawnik niestety nic. Można jednak wiele zrobić jako człowiek. Postanowili, że zakupią opał na zimę dla pani Genowefy, a wtedy z długiem ona sobie jakoś poradzi. Adam martwił się trochę, nie były to małe pieniądze, a na świat miało przyjść ich dziecko, co wiązało się przecież z wydatkami. Nie opierał się jednak i postanowił pomóc.

Kilka dni później wóz z węglem zajechał pod stary domek pod lasem. W oknie siedział Janek, niepełnosprawny syn pani Genowefy. Zaczął krzyczeć swym dziwnym, zniekształconym głosem do matki, która wybiegła przed dom, również

krzycząc.

- To pomyłka! Ja nic nie zamawiałam, ja nic nie zamawiałam, ja nie chcę!!

Bała się zapewne, że znowu poniesie konsekwencje jakiejś karkołomnej pomyłki, których już nie podźwignie.

- Pani Genowefo, spokojnie, to na pewno dla pani - odrzekł przewoźnik.

- Ja nie mam pieniędzy, ja nie chcę! - Rozpląkała się.

Jak nieprawdopodobnym jest, ile zła i strachu w ludzkiej psychice może zasiać jeden człowiek. Już na zawsze kobieta będzie się bała ruszyć cokolwiek, co do niej nie należy, ze strachu przed innym Markiem Kluzikiem.

- Mam napisane na zleceniu, że zapłacono.

- Jak to?

- Nie wiem, ja tu jestem od dowozu i rozładunku. Gdzie wysypać?

- Tam przy oknie do piwnicy - wskazała palcem.

Janek klaskał w dłonie jak małe dziecko, choć liczył sobie już ponad trzydzieści wiosen. Upośledzony umysłowo czuł jakimś siódmym zmysłem, że zdarzyło się coś dobrego, że coś lub ktoś poratował ich i wywołał łzy, a zaraz potem uśmiech jego spracowanej matki.

Cały dzień z zapalem wrzucała węgiel do piwniczki, zachodząc w głowę, od kogo, kto mógł być tak dobry. „Może ksiądz z parafii? Nie, on nigdy nie przejmował się jej losem. Nawet na święta nie otrzymywała darów od niego, choć dobrze znał jej ciężką sytuację, a była zbyt honorowa, by iść i prosić o jałmużnę. Kto więc? Może Bogusia, zawsze

przejmowała się losem ludzi, lecz sama ledwo przędzie. Grażyna, tak na pewno Grażynka. Ta mała Grażynka z wielkimi kokardami na głowie”. Uśmiechnęła się. „Muszę się jej odwdzięczyć. Wiem jak”. Od dawna nie czuła się taka pokrzepiona, taka... szczęśliwa.

Grażyna czuła zadowolenie. Czuła się lekka jak piórko, czuła, że mogłaby latać pomimo swojej ciężowej wagi. Niesienie pomocy daje siły.

- Tak, maleństwo, czas szykować się na świat. - Poklepała swój brzusek.

Adam śmiał się z tych zabawnych nawyków żony, kochał je jak ją całą. Mówienie do grobu ojca, jak gdyby tam stał, mówienie do brzucha, jakby dziecko miało coś usłyszeć. Wątpił w to, lecz nigdy nie negował. Kochał tę inność.

Spakowaną Grażynkę odwiózł do Poznania. Zamieszkała z matką. Irena cieszyła się na swój sposób. Siedziały wieczorem i oglądały albumy. Wspominała porody w czasie wojny. Jak było ciężko bez szpitala, czasami bez lekarza. Błogosławieństwem był mąż Kazimierz, przy nim czuła się bezpiecznie. Opowiedziała, jak wyglądało przyjście na świat Grażynki, że ojciec w nim uczestniczył. Adam nie będzie mógł. Nie wolno. Zobaczy dziecko dopiero przy wypisie ze szpitala.

Dni mijały. Podczas kontrolnej wizyty lekarz orzekł, że to kwestia dwóch dni i dziecko będzie na świecie. Był chyba dość mądrym lekarzem, choć może to nie jest odpowiednie słowo, lepsze - starającym się. Przy badaniu powiedział, że główka dziecka jest malutka i to prawdopodobnie



dziewczynka.

- Dziewczynka! Czy to możliwe?

- Zobaczymy po porodzie. - Uśmiechnął się.

Do domu wróciła zadowolona. Marzyła o córeczce. Oczywiście najważniejszym jest, by dziecko było zdrowe, ale dziewczynka to szczyt jej marzeń.

W nocy poczuła bóle. Mocne bóle. Odeszły jej wody. Zaczęło się. Nie panikowała jednak. Zatelefonowała do Adama.

- Odeszły mi wody, kochanie. Bardzo boli, wezwałam już taksówkę. Zaraz jadę do szpitala z mamą. Kocham cię. Pa! - kończyła szybko, bo ból stawał się nie do zniesienia.

Zapakowały się do spóźnionej oczywiście taksówki. Kierowca, gdy zobaczył, że zbliża się poród, spanikował i nie chciał ich zabrać z obawy, że urodzi w aucie i zabrudzi mu tapicerkę.

- Jedź, człowieku! - krzyknęła poirytowana Irena, jednocześnie wciskając mu banknot przewyższający trzykrotnie wartość kursu.

To pomogło. „Pieniądze jednak ułatwiają życie” - pomyślała Grażyna w boleściach. Zaczynało już świtać.

Na oddział przyjęto ją bez większego pośpiechu, dopełniając wszelkich procedur, wypełniając ankiety, zgody na ewentualne zabiegi, cesarskie cięcie i tym podobne. Po jakiejś godzinie znalazła się na porodówce, sama. Było jej smutno, że ani Adam, ani matka nie mogą być przy niej. Cóż, takie czasy.

Poród zaczął się na dobre i wyglądało, że szybko się

skończy. Była już godzina południowa, gdy pielęgniarka przyniosła wiadomość, że mąż czeka pod szpitalem i usilnie prosił, by jej to powiedzieć. Ucieszyła się niezmiernie i poczuła od razu silniejsza.

- No, maleńka, nie męcz mamy i wychodź na świat! Tata czeka - powiedziała ostatni raz do brzucha i mocno parła. Po chwili usłyszała kwilenie, a zaraz po tym płacz dziecka.

- To dziewczynka - oznajmiła położna.

- Dziewczynka... - Nie mogła opanować łez. - Adrianna.

Dziecko zważono, zmierzono, przyznano 10 punktów w skali Apgar. Zdrowa dziewczynka. Grzybelek, jakby powiedział dziadek Kazimierz.

Po kilku godzinach na salę poporodową przyniesiono małą, śliczną Adriannę. Miała czarne włoski, maleńkie rączki, uszka, wszystko miała takie piękne i maleńkie. „Takie dziecko to cud” - pomyślała Grażyna.

- Proszę pani - usłyszała od drzwi. - Pani mąż już chyba szóstą godzinę stoi przed szpitalem. Proszę pokazać mu dziecko przez okno, bo inaczej zamarznie tam na śmierć - zaproponowała pielęgniarka szczerze i z uśmiechem.

Zima zbliżała się wielkimi krokami. Wstała nie bez bólu, podeszła do okna. Podniosła wyżej becik. Adam stał tam otulony w płaszcz, nerwowo stąpał z nogi na nogę. Zobaczył swoje dziewczyny. Wiedział już od pielęgniarek z recepcji, że ma córeczkę. Wiedział, że Adriannę. Nie widziała jego wzruszenia, stał dwa piętra niżej. Widział ją w koszuli szpitalnej oraz białe zawiniątko z czarną kropką na szczycie, to znaczy owłosioną główką maleństwa.

Pomachał im i odszedł na parking. Wiedziała, że wróci po nią za dwa dni. Po nią i po Adrianę.

Do domu zawitali w piątek, towarzyszyła im Irena, która czuła się niezbędna w tych pierwszych dniach życia wnuczki. Domek był ciepły i przytulny. Adam zadbał o wszystko. Małeństwo ułożyła do kołyski w salonie. Marzyła o kołysce dla dziecka, by mogło spać koło nich, lekko bujane przez rodziców. Wiedzieli, że będzie ich oczkiem w głowie.

- Co to jest, Adamie? - Dopiero po chwili zwróciła uwagę na paczkę leżącą na komodzie. Owiniętą w szary, niepozorny papier. Na niej było napisane: „Grażyna Czelný”.

- Nie wiem, znalazłem pod drzwiami któregoś dnia i wniosłem do domu, zaadresowana do ciebie. Chyba nadawca nie zna twego aktualnego nazwiska.

Wzięła pakunek na kolana. Był lekki. Starannie opakowany. Odchyliła papier. Nie mogła uwierzyć. Jej oczom ukazał się piękny szydełkowy biały kocyk. Takiej ręcznej roboty nie widziała już dawno. Pamięta takie dzieła z domu rodzinnego, lecz nie są do kupienia w sklepach. Na dnie karteczka: „Dziękuję! G.”.

- Pani Genowefa. - Przytuliła się do Adama.

Przykryli kocykiem śpiącą Adriannę. Wyglądała jak mała porcelanowa laleczka prosto z bajki.

## Rozdział 18. | Pomoc

„Wieje i wieje. Nie wytrzymam już tej ponurej aury” – pomyślałam. Ciągłe jakiś smutek i szarość. Wszystko jakby sprzysięgło się przeciwko nam, ludziom, przeciwko mnie.

Od zawsze nie cierpię jesieni, nie lubię ponurości tej pory roku. Wywołuje we mnie smutek i melancholię. Nawet ból głowy pojawia się nie wiadomo skąd, choć w pierwszej połowie roku nie miewam go nigdy. Jeszcze ten wiatr hulający na poddaszu, niespokojny, jakby czekał, by urządzić komuś nieśmieszny cyrk z latającym dachem i dywanami.

Zaparzyłam sobie herbaty. Ninka już spała, choć niespokojnie. Zaglądałam do niej od czasu do czasu. Od momentu gdy którejś wichury oberwał się dach naszego domu, nie jesteśmy spokojne. Byłyśmy wtedy same. Patryk wyjechał w interesach na kilka dni. Spałyśmy razem, co robimy zawsze, gdy naszego mężczyzny nie ma w domu. Zasnęłyśmy przytulone do siebie. W środku nocy obudził nas niesamowity hałas, który gwałtownie wyrwał nas obie ze snu. Byłyśmy przerażone. Można było odnieść wrażenie, że ściany się poruszyły. „To koniec” – pomyślałam wtedy, mocno przytulając Ninę do siebie. Nie mamy dachu, nie mamy domu. Teraz tylko czekać deszczu padającego nam na głowę

w środku nocy.

Szybko zadzwoniłam do Patryka, by poczuć się bezpieczniej. I poczułam. Deszcz nie padał na głowę, a jego kojący głos dodał nam obu otuchy. Następnego dnia okazało się, że część poszycia dachu zerwała się, a że jest blaszana, to narobiła więcej hałasu niż szkody. Interweniował lokalny dekarz i szkodę naprawił. Od tamtej pory jednak lęk pozostał i u mnie, i u córeczki.

Melisa pomogła. Czekałam na Patryka, który miał wrócić później. Wzięłam do ręki album ze zdjęciami. Kocham uwieczniać chwile z życia oraz wszystkiego, co jest wokół mnie. Mam tę pasję po dziadku Kazimierzu, który bez aparatu nie ruszał się prawie nigdzie. Teraz jest wygodniej. Aparat cyfrowy daje komfort robienia zdjęć, przy czym zabiera coś z magii oraz niespodzianki, co uchwyciła klisza. Tak, stara, poczciwa klisza ze swoimi ograniczeniami w liczbie dwudziestu czterech, a później trzydziestu sześciu klatek. Następnie wywoływanie w ciemni, mieszanie odczynników w kuwetach, przyciemnione czerwone światło. To była frajda. Teraz wystarczy zgrać na przenośny nośnik i zanieść do punktu wywoływania zdjęć. Takie to proste.

Siedem lat. Spojrzałam na nasze wspólne zdjęcie. Siódma rocznica. Patryk i ja. On nadal szczupły jak nastolatek z lekko posiwiałymi skrońmi, ja... cóż, może nie z figurą nastolatki, zwłaszcza w dziewiątym miesiącu ciąży, lecz z dobrym genotypem po Irence.

Żadnych zmarszczek, długie jasne włosy. Widać, że jesteśmy szczęśliwi. Na swetrze mam przypiętą broszkę, jak

zawsze w rocznicę. Zawsze. To jest jak rytuał. Nie ma rocznicy bez broszy z wielu powodów. Po pierwsze, symbolizuje historię mojej rodziny. Po drugie, ma w sobie rubiny przynoszące szczęście. Po trzecie, dał mi ją Patryk w dniu pierwszej rocznicy. Wiedział, że i tak nigdy nie przestanę poszukiwać oryginału, lecz chciał, bym miała choć tę replikę. W dniu rocznicy od rana zastanawiam się, co na siebie włożę, tak by brosza ładnie się komponowała ze strojem. Co do koloru mojej garderoby to nie mam wątpliwości, dziewięćdziesiąt siedem procent moich rzeczy to kolor czarny, reszta zaś to przypadek. Kocham ten kolor na sobie. Włożyłam ciemnografitową ciężową sukienkę, a na nią luźny kardigan i do niego właśnie przypięłam moje чудо. Zawsze najważniejsza w moim całym stroju jest biżuteria. To ona nadaje szyk.

Ciągle wieje. Niech on już wróci. Zaczęło padać. Podniosłam się ociężale z fotela. Podeszłam do okna.

- Mamusiu! - Nina przebudziła się. - Mamusiu!

- Jestem, kochanie, przy tobie, nic się nie dzieje, to tylko wiatr i trochę deszczu - uspokajałam ją, choć naprawdę zaczynałam się bać. - Przeczytam ci coś. - Sięgnęłam po *Pippi Långstrump*, Ninki ulubiony zbiór opowiadań o rudowłosej zabawnej dziewczynce.

Czytałam i czytałam. Nina w końcu zasnęła, ja natomiast poczułam się bardzo źle. Czułam, że poród nadchodzi wielkimi krokami.

Usłyszałam odgłos zamykanych drzwi. To Patryk, jak dobrze. Wyszłam do niego i wtuliłam się mocno.

- Tak bardzo się bałam, kochanie.

- Wiem, jak nie znosisz takiej pogody. Spotkanie przeciągało się, ale gdy już byliśmy prawie na finiszu, postanowiłem przenieść formalności na jutro. Pozostało tylko podpisanie umowy.

- Wszystko dobrze poszło, zakupię bransoletki?

- Tak, bransoletki będą sprzedawane w Moskwie i prezentowane na targach.

- To wspaniale, w takim razie sukces. Powinieneś uczcić to szampanem.

- Chcę tylko ciebie i nic więcej. Wezmę prysznic i zaraz wracam.

Nie powiedziałam mu nic o tym, co zaczynam odczuwać. Gdy brał prysznic, zadzwoniłam do mamy, by zjawiała się tutaj rano, bo chyba będzie potrzebna opieka do Ninki. Chciała budzić ojca i przyjeżdżać natychmiast, lecz nie pozwoliłam na to, by nocą narażali się na niebezpieczeństwo, zwłaszcza przy takiej pogodzie. Doszliśmy do porozumienia i planowo spodziewałam się ich rano.

Patryk wyszedł spod prysznica owinięty tylko ręcznikiem. Muszę przyznać, że po siedmiu latach nie przestał mnie pociągać. Umięśnione, wysportowane ciało zawsze wzbudzało we mnie podniecenie. Nawet teraz, kilka godzin przed porodem. Może nawet bardziej. Hormony szaleją, dziecko chce wydostać się na świat, a ja rozmyślam o seksie. Zwariowałam.

Usiadł przy mnie taki pachnący. Taki przystojny, taki seksowny. A ja? Gruba, z wielkim brzuchem, opuchniętymi

nogami, dobrze, że manicure i pedicure zrobione odpowiednio na czas. „Nawet w ciąży trzeba ładnie wyglądać” – mawiała babcia Irenka.

- Wiesz, kochanie – stęknęłam z bólu – chyba jutro zostaniesz po raz drugi tatą.

- Ale termin masz za tydzień.

- Tak, ale czuję, że to już za kilka godzin. Nie zostawisz mnie, prawda?

- Będę przy tobie! Obiecuję! – Przytulił mnie do siebie tak czule.

Zadzwoił do lekarza, który prowadzi moją ciążę, i powiadomił, że jutro stawimy się na wizytę.

Położyliśmy się wcześniej ze względu na mój ciągły niepokój oraz konieczność odpoczynku przed czekającym mnie wysiłkiem.

Pogoda nie zmieniła się. Jakby sprzysięgła się przeciwko mnie. Jedno nigdy mnie nie zawodzi, mianowicie rodzice. Przed godziną ósmą byli już w Poznaniu gotowi opiekować się wnuczką.

Drzwi naszego samochodu omal nie odfrunęły, gdy Patryk je otworzył, bym mogła wejść do szpitala. To wszystko nie podobało mi się i wzbudzało dodatkowy strach. Przy porodzie Ninki nie czułam tyle niepokoju, może po prostu z braku świadomości. Mniej wiesz, mniej się boisz. To tak jakby idąc na thriller do kina, myśleć, że idziesz na komedię. Zaczynasz bać się dopiero po jakimś czasie, bo świadomość podpowiada, że to musi być śmieszne, bo tak zapowiadali.

Tym razem wiedziałam dobrze, co to jest poród i ile bólu



ze sobą niesie. Ile trzeba wycierpieć, zanim zobaczy się upragnione dziecko. Czy Bóg specjalnie tak to zrobił, że najpierw musi być ciężko, a potem dopiero nagroda? Może dlatego, że wartość często rośnie w miarę ciężkiej pracy i trudu włożonego w projekt, taki jak na przykład praca, dom, mąż czy rodzenie dziecka. Dlaczego lody bardziej smakują dziecku, które nie jada ich na co dzień z powodu biedy? Dlatego, że jak już je jada, to albo na nie ciężko zapracowało, albo ciężko wyprosiło. Coś w tym schemacie na pewno jest. Z porodem jest tak samo. Nic za darmo, nic lekko.

Ja nie mogę narzekać. W moim życiu wszystko układa się jak w bajce. Kochający mąż i rodzice, praca marzeń, wspaniałe i udane dziecko. Czegóż chcieć więcej?

Tylko ta wichura... Mój ciągły niepokój...

Przewieziono mnie na salę przedporodową, jak ją nazywam. Przeszłam wstępne badania i okazuje się, że na pewno będzie to dzisiaj. Dzisiaj zobaczę swoje dziecko, swojego syna. Choć nie prosiłam lekarza przy badaniu USG, by potwierdził moje przeczucia, czułam, że to syn.

Sala była do połowy zielona, biała na pozostałej powierzchni. Surowa. Szpital państwowy nie charakteryzuje się szczególnym luksusem, co tu ukrywać. Wielkie okno za moimi plecami sygnalizowało, że już południe. Wczesnojesiennego słońca jednak zobaczyć nie było sposób. Wiatr szalał nadal i targał gałęzie przedszpitalnego drzewa, uderzając nimi o szybę mojej sali. Znajdowałam się w tym samym szpitalu, może nawet pomieszczeniu, w którym przed

laty Grażynka, moja mama, rodziła mnie. Warunki były wtedy o wiele gorsze, Adam absolutnie nie mógł jej towarzyszyć, tak jak teraz Patryk mnie. Stał pod szpitalem i zebrał o wieści o rodzącej żonie. Na szczęście dzisiaj jest inaczej. Sale nie zmieniły się może zbyt, ale personel jest miły i stara się bardzo, poza tym wprowadzenie porodów rodzinnych to zmiana na lepsze, przynajmniej dla rodzących.

Czułam coraz większe bóle. Poród zbliżał się nieuchronnie. Patryk trzymał mnie za rękę i gładził brzuch, który napinał się coraz bardziej. Poszedł po pielęgniarkę, bo czas było przenieść nas na salę porodową.

Porodówka nie różniła się wiele od poprzedniej sali. Te same kolory. „Nie znoszę zielonego” – pomyślałam. Zielony kocham tylko w naturze, w plenerze, a nie na płytkach na ścianie. Znajdowało się tu więcej sprzętu, aparatury oraz personelu. Na szczęście nie było okna tak wielkiego jak tam. Nie musiałam widzieć i słyszeć tego, co działo się na zewnątrz.

Zaczęło się. Dziecko mocno pragnęło wyjść na świat. Nie krzyczałam, zaciskałam tylko mocno zęby, by nie wrzeszczeć. Oddychałam poprawnie, bo po pierwszym porodzie nauczyłam się, jakie to ważne i jak bardzo pomaga. Patryk pilnował, bym odpowiednio to robiła, aby uniknąć opuchnięcia twarzy, przekrwienia oczu i innych paskudnych efektów nieodpowiedniego rodzenia. Pamiętam, jak mama opowiadała mi, że gdy rodziła, chciała krzyczeć, lecz było jej po prostu głupio. Jak tak krzyczeć wniebogłosy? To przecież nie wypada. Tak, nie wypada. Kobiety za ścianą krzyczały,

ale Grażyna zachowywała fason i cierpiała w spokoju. Cała moja mama. Ja czułam, że krzyczenie to panika, a panikować nie zamierzałam, choć w duszy czułam strach. Jak nigdy.

Po kilku godzinach i dziwnie pełnym personelu urodziłam chłopca. Urodziłam Igora. Z oczu popłynęły mi łzy, które Patryk ssał mi z policzków, szepcząc, że mnie kocha. Dziękował, że dałam mu córkę i syna. Więcej szczęścia nie mógł ogarnąć.

Dziwiłam się tylko, dlaczego nie położono mi małego na piersi, dlaczego pokazano mi go tak połowicznie, po czym zabrano. Myślałam, że na jakieś badania, zatraciłam rachubę czasu, ale czułam, że to trwa zbyt długo. Zbyt długo nie widzimy własnego dziecka.

Poproszono Patryka, by opuścił salę. Miałam być umyta i przeniesiona na salę ogólną. Patryk miał tam czekać. Pielęgniarki były jakieś ciche, nierozmowne. Czułam, że coś jest nie tak. Nikt nic nie mówił.

Przecucia potwierdziły się, gdy zawieziono mnie na oddzielną salę, w której czekał na mnie Patryk. Minę miał zbolaną, był blady. Nigdy w życiu go takiego nie widziałam. Coś się stało z naszym dzieckiem. Wiedziałam to na pewno. Bałam się zapytać.

- Nasz Igorek jest pięknym chłopcem, waży prawie trzy kilogramy, ma czarne włoski, chyba po mnie. - Uśmiechnął się nikle. - Jest piękny...

- Patryk, co się stało? - Mój strach przemienił się w panikę. Nie czułam już bólu po trudach porodu. Chciałam wstać i biec do dziecka.

- Leż spokojnie, kochanie. Wszystko będzie dobrze.  
W tym momencie do pokoju wszedł pediatra.

- Nazywam się Lesław Szadkowski, jestem profesorem, kardiologiem.

Zbladłam. Patryk trzymał mnie za rękę.

- Państwa synek ma nieprawidłową budowę serca.

- Co to znaczy?

- Nedorozwój lewego serca, mówiąc ściślej. Państwa synka czeka natychmiastowa operacja. Takie operacje wykonuje się w pierwszych...

Nie słyszałam nic więcej. Zemdlałam. Czarno.

- Adrianno, Adrianno!! - Poczułam lekkie przywracanie mnie do rzeczywistości.

- Dlaczego to nie był sen? Dlaczego? - spytałam słaba.

- Kochanie, wszystko będzie dobrze. Zobacz, mama przyszła do nas. Tata został z Niną.

Mama przytuliła mnie do siebie. Płakałyśmy obie. Nie wiem jak długo, ale miałam poczucie, że nigdy nie przestaniemy.

- Co powiedział lekarz? - dopytywałam Patryka, gdy doszłam trochę do siebie.

- Igorka czeka operacja. Przeprowadzi ją profesor, który niejedną taką operację ma za sobą. Dobrze, że jesteśmy tu, w Poznaniu, gdzie są ku temu warunki. Profesor mówi, że Igor to silny chłopak i że przejdzie jeszcze potem kilka zabiegów po to, by w przyszłości mógł biegać i zachowywać się jak każdy maluch.

- Musimy być dobrej myśli i zaufać mu - powiedziała

mama. – Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Muszę wracać do ojca, opowiedzieć mu wszystko, bo czeka i martwi się.

Pożegnałyśmy się. Nie czułam się dobrze, nie potrafiłam patrzeć pozytywnie, miałam najczarniejsze myśli. Gdyby nie obecność Patryka, chyba bym umarła. Spojrzałam na niego. Miałam wrażenie, że skurczył się o połowę, że przybyło mu siwych włosów. Wszystko poszarzało.

– Chcę go zobaczyć! Natychmiast!

Zorganizował wózek, pielęgniarkę i pojechaliśmy do leżącego w inkubatorze Igora.

– Jaki piękny, kopia Ninki, gdy była taka malutka. – Uśmiechnęłam się pierwszy raz od bardzo wielu godzin. – Wszystko będzie dobrze, syneczku, zobaczysz – powiedziałam do niego, żeby słyszał, że jesteśmy blisko.

Popłakałam się. Spojrzałam w okno. Słońce. Przestało wiać. Nareszcie.

– Będzie dobrze! Jestem tego pewna.

Jak za dotknięciem jakiejś czarodziejskiej różdżki, a może za dotknięciem promienia słońca poczułam, że nabrałam sił, że wstąpiła we mnie energia, która długo ze mnie nie ujdzie. Będziemy walczyć o jego zdrowie i na pewno będzie to wygrana walka.

Podpisaliśmy zgodę na operację, która miała się odbyć nazajutrz. Ten dzień oraz noc spędziliśmy przy dziecku.

Grażyna i Adam uszykowali Ninke i pojechali do Pniew. Grażyna uznała, że nie ma na co czekać. Rodzice zostaną w szpitalu jeszcze kilka dni, a małej na wsi będzie lepiej. Powrót ten jednak podyktowany był zupełnie innym

motywem. Adam nie musiał pytać żony, dlaczego ten pośpiech. Dobrze wiedział. Gdy tylko wjechali do miasteczka, zaparkował samochód przed cmentarzem.

- Babciu, dokąd idziemy? - spytała Ninka, która przebudziła się po podróży.

- Ubierz się, dziecinko. Idziemy do twojego pradziadka Kazia porozmawiać.

Mała narzuciła kurteczkę, szaliczek i wyszła z samochodu. Chwyliła dziadka mocno za rękę. Jej dłoń była taka malutka w dłoni dziadka. Postanowili opowiedzieć jej o stanie jej narodzonego braciszka, lecz tak, by nie wzbudzić w niej wielkiej troski. Dzień był bardzo ładny, słońce wysoko świeciło, jakby chciało wszystkim zainteresowanym powiedzieć, że los będzie im teraz sprzyjać. Grażyna i Adrianna zawsze słońcem wyrażały swój nastrój i prognozy na życie. Kochały je, zawsze chciały mieszkać w kraju, gdzie lato trwa cały rok. W tym smutnym dniu słońce miało znaczenie szczególne. Dawało nadzieję.

- Wiesz, Ninuś... - Spacerowali po cmentarzu, który nigdy w nikim z ich rodziny nie budził lęku ani nie kojarzył się ze smutkiem. Wręcz przeciwnie. Pniewski cmentarz był ukojeniem i miejscem do modlitw i prośb. - Twój braciszek Igor jest bardzo chory. Dzisiaj będzie miał operację serduszka.

- Ale dlaczego, babciu?

- Tak się złożyło, że trzeba je naprawić. Nie martw się jednak, bo jest pod dobrą opieką bardzo znanego profesora. Rodzice są przy nim, no i my oczywiście duchem również.

- Ale co robimy tutaj?

- Musimy wszyscy poprosić Kazimierza, twego pradziadka, o zdrowie dla Igora. On czuwa nad nami wszystkimi od zawsze. Wiem to. Muszę jednak poprosić go o to osobiście, z wami oczywiście.

- Dobrze, babciu, ale czy jesteś pewna, że dziadzius pomoże?

- Tak, kochanie. Jestem tego pewna.

Idąc dalej, opowiedziała wnuczce historię wypadku samochodowego, który miała jako młoda dziewczyna tuż po śmierci ojca. Wtedy również wiedziała, że ocalił ją i jej współpasażerów. Ninka otwierała ze zdziwienia oczy szerzej i szerzej. Wiedziała, że babcia rozmawia często z pradziadziusem, ale nie czuła, że to ma takie wielkie znaczenie.

- Więc on czuwa również nade mną, babciu? - zapytała.

- Oczywiście, nad wszystkimi, którzy są dla mnie ważni.

- A prababka Irena?

- Ona towarzyszy dziadkowi. Jest u jego boku i wspomaga go tak, jak to było za życia, lecz wiesz, skarbie, ja zawsze ze wszystkim zwracałam się do ojca. Kochałam go bardzo i wiedziałam, że zawsze mogę na niego liczyć. Nawet gdy nie mówiłam wszystkiego, on i tak wiedział, co chciałam mu powiedzieć.

- Naprawdę?

- Tak.

- Ciężko przeżyłam jego chorobę i odejście, ale wiedziałam, że tak naprawdę nigdy nie zostawił mnie samej.

Że jest tylko w innym miejscu i patrzy na mnie z góry. Pilnuje mnie przez całe życie. Zawsze gdy jest mi ciężko lub smutno, przychodzę tutaj i rozmawiam z nim.

- Tak, to prawda - potwierdził z uśmiechem dziadek Adam.

- Proszę go często o różne rzeczy. Niematerialne oczywiście, lecz o pomoc w załatwieniu różnych przeciwności, o zdrowie dla rodziny, o miłość, o spokój...

- Dzisiaj poprosisz go o zdrowie dla Igorka?

- Tak. Tylko z tą prośbą dzisiaj do niego przybyliśmy i proszę cię, abys i ty swoim małym, szczerym serduszkciem prosiła go o to samo.

Doszli do grobu. Jest to stary, dość duży grób składający się z trzech płyt położonych płasko na ziemi. Nad nimi stoją czarne granitowe płyty, a między nimi krzyż. Na płytach wypisane dane osobowe oraz daty. Pomnik jest zawsze zadbane i czyste. To zasługa Grażyny. Wszyscy od lat wiedzą, że ona zajmuje się tym pieczołowicie. Że nadal przychodzi do ojca jak w odwiedzinach do chorego. Uklękli wszyscy.

- Tatku, przyszedłam tu dzisiaj tylko z jednego powodu. Zapewne już wiesz jakiego. Twój prawnuczek jest ciężko chory. Jak ciężko, to ty już sam rozumiesz. Nie trzeba ci tego tłumaczyć - opowiadała mu tak wszystko, szepcząc, o profesorze, o tym, jak przebiegać będzie operacja i że będzie ona dzisiaj, bo pierwsze godziny są najważniejsze. - Tato, pomóż! Proszę cię! Ada nie przeżyje, jeśli małemu coś się stanie, ja nie przeżyję, wiesz o tym, proszę cię...

Adam spojrzał na nią ukradkiem. Dawno nie widział, by



tak płakała. Wyglądała jak ta siedemnastoletnia dziewczyna sprzed wielu lat. Tak samo. Przytulił ją do siebie. Przeżegnali się i odchodzili.

- Pa, tatku! - szepnęła na koniec.

W szpitalu panował smutek. Jakby wszyscy wiedzieli, że to dla nas ważny dzień, że to dzień zwycięstwa lub przegranej. Zbliżało się południe, piąta godzina operacji. Stałam z Patrykiem przy oknie. Patrzyliśmy w jakiś martwy punkt. Nic nie było ważne. Nic się nie liczyło. Dom, praca, stracone kontrakty. Liczyło się tylko zdrowie naszego syna. Nie mogliśmy go nawet przytulić. Poczuć, jak pachnie, jak miękka jest jego skóra. Nie wiemy, jak płacze, nie usłyszeliśmy nawet tego, bo po porodzie natychmiast go zabrano. Potem, gdy leżał w inkubatorze, był taki grzeczny i spokojny, jakby wiedział, że jego płacz zaniepokoi nas podwójnie, że będziemy szaleć ze zmartwienia, że szloch jeszcze bardziej uszkodzi jego serduszko.

Nie miał już ochrony w postaci matczynego łona. Nie byłam już dla niego barierą ochronną, zabezpieczeniem przed złem świata zewnętrznego. Nie mogłam go sobie zostawić tam na zawsze, by ochronić go przed ingerencją ostrych narzędzi, przed personelem medycznym, przed cierpieniem. Odłączeniem od matki.

„Może trzeba spojrzeć na to inaczej” - pomyślałam nagle. Może to błogosławieństwo... Te skalpele, ten rząd dusz nad nim, te lampy na sali operacyjnej... Gdyby nie to, gdyby urodził się pięćdziesiąt lat temu, umarłby. Bez szans.

I znowu poczułam ulgę i nadzieję.

- Będzie dobrze - powiedziałam do siebie, do słońca, nie wiadomo do kogo.

Z tego wszystkiego zapomniałam, że Patryk czuwa przy mnie, że jest cały czas obecny, że przeżywa nie mniej niż ja. Rozumie jednak, że to ja nosiłam małego pod sercem, zniosłam ból porodu i mam prawo odczuwać to bardziej, choćby z iście fizycznego punktu widzenia. Martwił się dodatkowo o mnie. Nie odpoczęłam po położeniu, nie spałam prawie wcale. Bolało mnie wszystko, lecz nie narzekałam. Ból widać było tylko na mojej twarzy, lecz mniej ten fizyczny, a bardziej ten związany ze strachem o Igora.

Zadzwoiłam do mamy. Chciałam wiedzieć, czy była już u dziadka, bo nie miałam, żadnych wątpliwości, że pojedzie na grób. Rozmawiałyśmy. Uspokoiła mnie troszkę. Poczułam się lepiej, wiedząc, że mam wstawiennictwo u Kazimierza.

- Mamusiu - przejęła słuchawkę Ninka - dziadziuś Kazimierz powiedział mi, że mam się nie martwić - powiedziała radosnym głosem.

- Naprawdę?

- Tak, sama słyszałam, jak wychodziliśmy z cmentarza. Odwróciłam się jeszcze i usłyszałam, jak do mnie mówi. Wierzysz mi? - zapytała zdziwiona, że nie dowierzam.

- No jasne! Cieszę się, kochanie. Przygotuj wszystko na przyjęcie braciszka. Uporządkuj jego pokój i czekaj na niego. Narysuj coś ładnego.

Chciałam, by Ninka nie czuła ciężaru sytuacji, a jednocześnie, by była zaangażowana.

„To ciekawe... Czy możliwe, by dziadek przemówił do

prawnuczki? Do mnie nigdy się nie odezwał. Wiedziałam zawsze, że ma moc, że jest, lecz nigdy nie słyszałam nic. Może to wyobraźnia spletała Nince figla. Może...” – pomyślałam.

Późnym popołudniem lekarz wyłonił się z sali operacyjnej i podszedł prosto do nas. Nie miałam siły, by się podnieść. Bałam się na niego spojrzeć. Był taki blady i mizerny. Bałam się, że coś poszło nie tak i dlatego jest w takim stanie. Nie podniosłam nawet głowy. Patryk stał dzielnie.

- Wszystko przebiegło zgodnie z planem, operacja się udała. Proszę odpocząć. Pani proponuję środki nasenne, a panu powrót do domu.

- Chcę go zobaczyć. - Wstałam.

- To niemożliwe. Jutro porozmawiamy i wtedy odwiedzicie małego. - Uścisnął nam dłonie i odszedł tak bardzo zmęczony.

Patryk odprowadził mnie do sali. Pielęgniarka podała mi jakiś zastrzyk, po którym usnęłam, nawet nie wiem kiedy. Ten sen był mi bardzo potrzebny. Opadałam już z sił. Patryk zasnął przy mnie. Gnieździliśmy się razem na jednym szpitalnym łóżku. Ważne, że byliśmy razem, że odpoczęliśmy trochę i nabraliśmy sił do dalszej walki.

- Mamusiu - szczebiotała do słuchawki Ninka - namalowałam dla Igora obrazek. Dzisiaj namaluję następny. Idziemy dziś znowu do dziadka, podziękować za naprawienie serduszka.

Dzieci. Jakie byłoby bez nich życie?

Dni w szpitalu mijały. Patryk musiał wrócić do pracy.

Mógł wrócić do pracy, bo stan zdrowia Igora poprawiał się z dnia na dzień. Mogłam karmić go piersią na zawołanie przy pomocy pielęgniarek. Rósł, jakby wiedział, że musi być silny, bo czekają go jeszcze dwa zabiegi w najbliższym półroczu. Był taki śliczny i wesolutki. Zupełnie jakby to nie on leżał kilka tygodni temu na sali operacyjnej, jakby nie on miał chore serduszko. Wada, jaka przytrafiła się naszemu synkowi, okazała się jedną z łatwiejszych do wyleczenia. Na szczęście. Teraz wiedzieliśmy już, że wszystko będzie dobrze, że trzeba tylko dbać o niego, a z czasem dojdzie, tak jak zapewniał profesor, do formy równej swym rówieśnikom.

Patryk przynosił mi wieści z pracy. Stęskniłam się za tym życiem pełnym kolorów i kamieni. Podczas ostatnich miesięcy ciąży nie pracowałam ze względu na dobro małego, teraz czuję, że niedługo muszę wrócić. Dla własnego zdrowia psychicznego.

- Wiesz, kochanie - opowiadał - Akram, pamiętasz? Napisał do nas.

- Naprawdę? Potrzebuje czegoś?

- Chciał, byś zaprojektowała mu pierścień zaręczynowy dla Amall.

- Nie wiem...

- Nie martw się. Napisałem mu wszystko o tym, co wydarzyło się u nas ostatnio. Nawet zdziwiłem się, bo bardzo się tym zainteresował i korespondowaliśmy przez cały dzień. Dopytywał, jaką wadę ma Igor, w jakim szpitalu leży, kto go operował i takie tam wiesz. Dziwnie szczegółowy był.

- Może przyniosłbyś mi szkicownik. Za tydzień

wychodzimy, jednak ja nudzę się trochę, gdy Igorek śpi. Poszkicowałam troszkę. - Uśmiechnęłam się zalotnie do męża.

Zawsze działał na niego mój szczeniacko proszący, zalotnie intrygujący uśmiezek.

- Dobrze, ale jeśli będziesz się przepracowywać, to zabiorę go i już.

- Przynies mi również list od Akrama z wytycznymi co do klejnotu.

- Dobrze. Odpoczywaj już dzisiaj. Jutro do was przyjdę. Całuski od Ninki. Tęskni za wami bardzo.

Wiedziałam, że tej nocy będę miała sny. Sny inne niż sala operacyjna, inkubator, zastrzyki. W moich żyłach obudziło się złoto. Dzisiaj śnić będę o pierścionku zaręczynowym dla Amall.

Od pierwszej operacji Igorka minęło już kilka miesięcy. Czas biegnie szybko, jednak czasami zadziwiająco powoli. To chyba ironia i kaprys losu, że miłe chwile mijają tak szybko, a smutne ciągną się w nieskończoność. Jak mój smutek i nieustanny strach, który towarzyszy mi od dnia narodzin Igora.

W życiu wszystko układa mi się pięknie, można by rzec, jak w bajce. I choć brzmi to banalnie, tak właśnie jest. Udane dzieciństwo, kochający się rodzice, którzy całą miłość przelewali tylko na mnie, swoją jedynaczkę. Niczego mi nie brakowało, począwszy od uczuć, skończywszy na dobrach materialnych. Bajka. Wspaniały mąż, wymarzona praca. Można chcieć więcej? Można. Zdrowie Igora jest tym, czego

w życiu jedynie pragniemy. I choć rokowania są bardzo dobre i malutki rozwija się prawidłowo, czuję ciągły strach. Każda wichura, burza wywołuje we mnie paniczny lęk o wszystko. Boję się. Czuję przez skórę, że wydarzy się coś złego. Patryk uspokaja mnie, wierzę mu. Wiem, że ma rację, jednak nie umiem z tym walczyć.

Sięgnęłam po kieliszek czerwonego wina, który przynosi mi ulgę prawie każdego wieczoru. Wiem, że to niedobrze, to nie jest rozwiązanie, ale czuję się słaba, zniechęcona. Jednego dnia mam ochotę nie wstawać z łóżka, bojąc się, że przegram walkę, innego dostaję taki zastrzyk energii, że mogłabym zawojować cały świat, i wiem, że wszystko będzie dobrze.

Jestem wdzięczna losowi i ludziom za to, co mam. W znaczeniu przenośnym i dosłownym. Podczas każdej wizyty u doktora Lesława czujemy się jak w domu. Zżyliśmy się z profesorem oraz pielęgniarkami tamtejszego oddziału. Za każdym razem mijamy mosiężną tabliczkę zawieszoną przy wejściu na oddział kardiologiczny, na której jest wypisane:

*Ofiarowuję za dar ratowania życia i poświęcenie dla innych.*

*Akram Hariri*

Akram podarował oddziałowi niebotyczną sumę pieniędzy, którą menedżerowie szpitala wraz z profesorami mieli zagospodarować według swego uznania. Zakupiono jakiś

specjalistyczny sprzęt na salę operacyjną i wykonano podstawowe remonty na oddziale. Nie wiem, jak to jest możliwe, by obcy człowiek, klient naszej firmy, wczuł się tak bardzo w naszą sytuację oraz w położenie wielu innych rodzin. Wiadomo, że każde dziecko, każdy rodzic przeżywa tutaj najczarniejsze chwile życia. Bywa, że nie widzi światełka w tunelu, a jedynie głębię czerni. Wiedzieliśmy już, dlaczego tak szczegółowo wypytywał Patryka o szpital i inne detale. Od razu miał plan pomocy. To przywraca wiarę w ludzi, bezsprzecznie.

Zaczynam wracać do pracy, zwykle pracuję w domu, rzecz jasna. Kończę pracę nad pierścieniem dla Amall. Oczywiście termin zlecenia przeciągał się niemiłosiernie, lecz Akram czekał cierpliwie. Interesował go tylko klejnot z naszej pracowni.

Uznałam, że pierścień będzie wykonany z rzadkim kamieniem. Chryzoberyl to rzadki minerał z gromady tlenków. Jego nazwa wywodzi się od greckich słów *chrysos*, czyli złoto, oraz *beryllos*, czyli beryl.

Posiadamy w swojej kolekcji tylko jeden taki kamień zakupiony jakiś czas temu, gdy wybraliśmy się na niewielką wystawę kamieni szlachetnych do Rosji. Zakupiliśmy tam odmianę zwaną aleksandryt, przezroczystą zmieniającą barwę w zależności od natężenia światła. W sztucznym bywa czerwona, w naturalnym świetle dziennym przybiera kolor zielony. Nazwana została na cześć cara Aleksandra II w 1842 roku, znaleziona prawdopodobnie na Uralu podczas poszukiwania szmaragdów. Fascynuje mnie ten kamień od

zawsze. Czasami gdy brak mi inspiracji, sięgam po niego, pieczę w dłoni, by poczuć jego zimno, zobaczyć kolory. To coś niesamowitego. Gdy go obserwuję, nachodzi mnie wiele przemyśleń. Czuję, jak działa on na mnie i inspiruje mnie do pracy, do rozmyślenia. Twardy, zmieniający się, a przecież to tylko kamień, minerał. Jak skomplikowana musi być natura ludzka i zachowania człowieka, skoro taki kawałek minerału kilka razy zmienia swoje oblicze w zależności od tego, gdzie się znajdzie? Człowiek robi to samo. Jest jednak bardziej skomplikowany, nieobliczalny i... mniej piękny.

„Tak, ten kamień jest idealny dla Amall” – pomyślałam i wzięłam się ponownie do pracy.

Igorek spał. Dostałam wenę, jakiej dawno nie doświadczyłam. Czułam w sobie wszystko: wdzięczność, gniew, piękno. Te uczucia mieszały się we mnie tak szybko, a ręka chodziła po papierze jeszcze szybciej. Wiedziałam, że dzisiaj jest dzień, w którym pierścionek dla narzeczonej Akrama będzie gotów. Byłam pewna. Po półtorej godziny, dokładnie tyle, ile dało mi dziecko, projekt zakończyłam.

- Tak, Akram będzie zadowolony - podsumowałam, czując się tak zmęczona, jakbym przeorała całe pole. Gdy dopada mnie pasja zrobienia czegoś takiego, wkładam w to całą energię, wszystkie siły, całą duszę. Jestem potem zmęczona, wyczerpana, ale zadowolona z efektów tej pasji.

Jeszcze tylko zdanie Patryka. Zawsze się z nim liczę, uwielbiam, gdy to on recenzuje moje projekty, gdy mówi mi, że są dobre, że niesamowite i wyjątkowe. Bywa wobec mnie niemal bezkrytyczny, może to niedobrze? Sama nie wiem.



Nie wydaje mi się jednak, by wbrew sobie, by zadowolić moje ego, oszukiwał. Nie, na pewno nie.

Postawiłam projekt na małej sztaludze. Lubię patrzeć na swoje prace jeszcze przez kilka godzin po ich zrobieniu. Bywa, że podchodzę do nich kilkakrotnie i lekko modyfikuję jakieś detale. Bywa, że wstaję podczas kolacji i coś poprawiam, żadna siła mnie nie powstrzyma. Musi być teraz i zaraz. Taki charakter.

Zbliżał się wieczór, kolacja prawie gotowa. Ninka biegała wokół stołu, śpiewając i tańcząc jednocześnie. Jest już taką dużą i śliczną dziewczynką. Jest podobna do mnie. Długie blond włoski spływają po jej szczuplutkich plecach. Błękit jej oczu zawsze zachwyca jej ojca. Zawsze chciał mieć córeczkę podobną do mnie.

- Dzień dobry, kochanie - usłyszałam jego głos w korytarzyku. - Cóż smacznego dzisiaj przyrządziłaś?

Podszedł i jak zawsze pocałował mnie. Nigdy nie jest inaczej. Zawsze witamy się i żegnamy pocałunkiem. Od lat.

- Kochanie, to jest genialne - zmienił temat, gdy zobaczył sztalugę.

Chryzoberyl lśnił na rysunku, otoczony dwoma kolorami złota. Tradycyjnym żółtym i różowym. W prostej oprawie ten dwukaratowy okazały kamień wyglądał imponująco, a do jego jednego boku doczepiłam płaskie serduszko z różowego złota, wysadzone trzema diamentami. Serce ma symbolizować miłość tych dwojga ludzi oraz - jak się okazuje - również miłość do innych. Obręcz pierścienia jest na tyle gruba, by można było wygrawerować tam imię ukochanego.

- To fascynujące, kochanie, jak ujęłaś istotę ich charakterów, miłość oraz elegancję. Mam nadzieję, że Akram będzie zadowolony jak zawsze. Siadajmy do kolacji, jestem dziś strasznie głodny.

Zanim jednak usiedliśmy do kolacji, porcja pieszczot dla córki oraz milion całusów dla Igora musiały zostać wykonane bez zwłoki.

Po kolacji ułożyliśmy dzieci spać, patrząc, jak spokojnie odpływają w krainę słodyczy i spokoju. Staliśmy nad łóżeczkiem Igora.

- Jest taki podobny do ciebie, kochanie. Ciemne włoski, lekko kręcone, drobne uszka, cały drobniutki. Cały ty. - Pocałowałam Patryka czule.

- Tak miało być, a teraz nam się też chyba coś od życia należy? - zapytał filuternie.

Zaciągnął mnie do sypialni, gdzie na łóżku leżał bukiet czerwonych róż. Wiedział doskonale, jak poprawić mi nastrój. Wiedział, że róże to zawsze dobre wspomnienie. Wspomnienie miłości, seksu, ukojenia...

Kochaliśmy się długo, czule. Jakbyśmy byli znowu tylko we dwoje, jak w Paryżu, jak w hoteliku w Niemczech, jak Adrianna i Patryk... Jak kochanka i kochanek, jak narzeczona i narzeczony, jak mąż i żona. Między aktami spełnienia opowiadaliśmy sobie o sprawach dnia codziennego, o anegdotkach z życia, potem znowu kochaliśmy się tak, jakby czasu miało zabraknąć, a potem nadszedł sen. Wspaniały, dziecinny, kolorowy, pozytywny, w ramionach.

Minęły niespełna trzy miesiące od realizacji projektu dla

Akrama, gdy dostaliśmy zdjęcia z uroczystych zaręczyn tej młodej arabskiej pary. Ich widok w scenerii bogactwa był niesamowity. Ściany zdobione tkaninami w klasycznych dla tamtego rejonu wzorach. Meble w bieli wyściełane najdroższymi tkaninami. Wszystko urządzone z przepychem, ale zarazem elegancją rodem z Europy. W każdym wazonie żywe ogromne bukiety kwiatów. Ogromne lustro w złotonej ramie dodatkowo potęgowało wielkość pomieszczenia.

Akram, przystojny i śniady, ubrany w elegancki kremowy garnitur, Amall bardziej klasycznie, w tunice z łososiowego jedwabiu wyszywanej drobnymi kamieniami. Całość jej kreacji uzupełniały satynowe buciki oraz szyfonowa chusta przykrywająca część jej kruczoczarnych włosów. Ogromne ciemne oczy oprawione rzęsami wyglądającymi jak francuska koronka. Delikatną śniadą cerę pokrywał rumieniec związany zapewne z przeżyciami tego pięknego dnia. Na palcu widnieje pierścionek zaręczynowy wykonany w naszej pracowni, z którego otrzymania, jak donosiła wiadomość, narzeczona była przeszczęśliwa. W uszach, w ramach naszego podziękowania za pomoc szpitalowi, miała otrzymane od nas drobne kolczyki z diamentem, takie, by pasowały do pierścionka.

Oglądając te zdjęcia, czuliśmy się członkami tej tak dalekiej i tak obcej nam w sumie rodziny. Łączyła nas jakaś dziwna więź, która zaczęła się od interesów, a właściwie indywidualnego zamówienia, po następnym, związane ściśle z ich życiem, a kończy się na korespondencyjnej wprawdzie, ale jednak przyjaźni.

## Rozdział 19. | Powiązania

Czas biegnie wolno i szybko jednocześnie. Trudno to zrozumieć, a dostrzec jeszcze trudniej. Dopiero jak spojrzymy na detale, na otaczające nas szczegóły, wiemy, ile czasu minęło. Dzieci są nieocenionym źródłem świadomości naszego wieku. Są jak chodząca metryka. Każdy jest w stanie oszacować nasz wiek na ich podstawie, z tolerancją plus minus pięciu lat. Tak, a cóż dopiero wnuki, to dopiero wyrocznia.

Grażynka zawsze powtarza: „Adrianko, taka byłaś malutka, a teraz masz sama takie duże dzieci. Starzejemy się...”. Tak, zarazem krótkie i długie to nasze życie. Dzieci w szkołach średnich, udało nam się z Patrykiem pięknie je wychować. Jesteśmy z nich bardzo dumni. Jedynymi problemami, jakie spotykaliśmy na drodze ich dorastania, były ich nieszczęśliwe miłostki. Co się zakochali, to nieszczęśliwie. Trzeba było coś zaradzić.

Oczywiście udaliśmy się na grób dziadka Kaziczka i co? Poprosiliśmy o pieczę nad serduszkami naszych dzieci, zwłaszcza tego Igorkowego z prawdziwą bliźną, by zbyt często nie zawodziły się na partnerach.

Grób dziadków towarzyszy nam całe życie. Nie tylko

nam. Moim dzieciom również. To już taka tradycja. Stojąc nad nim w jesienny, słoneczny dzień, myślałam o nas wszystkich, o tym, jak losy się łączą, jak bardzo jedno wynika z drugiego, jak bardzo jesteśmy wszyscy powiązani, nie tylko więzami krwi, lecz także jakąś niewidoczną nicią.

Stałam i obracałam na palcu pierścioneł zaręczynowy Irenki. Myślałam o jej losach. O niespełnionej miłości, choć może jednak spełnionej, pewnie zależy to od punktu widzenia. O jej pasjach, które niewątpliwie przeszły na mnie. Czy to w ogóle możliwe? Przecież genetycznie przenosi się uroda, choroby, ale nie zamiłowania. To jednak błąd w myśleniu. Właśnie zamiłowania przenoszą się najbardziej. Wiem to na pewno. Jak wytłumaczyć moją miłość to biżuterii? Jak? Jak wytłumaczyć miłość do fotografii, którą dziadek ukochał tak bardzo? Ja nie mam wątpliwości, że to, co w sobie noszę, nie jest tylko udziałem rodziców, ale i dziadków, a nawet pradziadków. Kocham historię mojej rodziny, szanuję ją i pielęgnuję. Zawsze tak będzie. Nasze dzieci już wiedzą, jakie pamiątki dostaną po prapradziadkach. I to nie są rzeczy materialnie wartościowe, lecz drobne przedmioty, mówiące o tym, że ktoś kiedyś istniał, był, dotykał, pracował i kochał. Świadectwem istnienia kogoś jest poza metryką jego grób, choć niektórzy cierpią każdego dnia, nie mogąc takiego grobu stworzyć dla ofiar wojny lub osób zaginionych. To strasznie smutne. Dobrze, że „nasz” stary grób jest zawsze na miejscu, choć wiemy, że tak naprawdę dziadkowie są zawsze przy nas.

Nigdy nie przestałam szukać broszy babci. Ciekawe, czy

kiedyś ją odnajdę. Jeśli nie - trudno, lecz Nina będzie próbować nadal, obserwując wszystkie antykwariaty, wystawy starej biżuterii i wszelakie pchle targi, a nuż odzyskamy klejnot rodzinny, i nie chodzi tu o jego wartość materialną, ale o tę sentymentalną.

Dobrze, że mam replikę podarowaną przez ukochanego, dziewiętnaście razy przypinaną do bluzki, każdego roku w dzień naszej rocznicy.

KONIEC

REDAKCJA: Monika Baranowska  
KOREKTA: Beata Gorgoń-Borek  
OKŁADKA: Sandra Dudek  
KONWERSJA DO EPUB/MOBI: [InkPad.pl](http://InkPad.pl)

© Magdalena Ludwiczak i Novae Res s.c. 2015

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-7942-746-8

NOVAE RES – WYDAWNICTWO INNOWACYJNE  
al. Zwycięstwa 96/98, 81-451 Gdynia  
tel.: 58 698 21 61, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl), <http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).

Wydawnictwo Novae Res jest partnerem  
Pomorskiego Parku Naukowo-Technologicznego w Gdyni.

